

P  
A  
N

14884

li społecznej.

VI.

# NASZ OBOWIĄZEK SPOŁECZNY

KWESTJE PRAKTYCZNE ETYKI  
INDYWIDUALNEJ I SPOŁECZNEJ.

Ks. NAUDET

PROFESOR NAUK SPOŁECZNYCH  
REDAKTOR CZASOPISMA „LA JUSTICE SOCIALE”.

---

WARSZAWA. 1907.

KSIĘGARNIA NAKŁADOWA M. SZCZEPKOWSKIEGO  
NOWOGRODZKA Nr. 23.

M-12367A

Z myśli społecznej. †



14884

VI.

# NASZ OBOWIĄZEK SPOŁECZNY

KWESTJE PRAKTYCZNE ETYKI INDYWIDUALNEJ I SPOŁECZNEJ.

KS. NAUDET

==== Profesor Nauk społecznych ====  
Redaktor czasopisma „La Justice sociale“.



WARSZAWA 1907

KSIEGARNIA NAKŁADOWA M. SZCZEPKOWSKIEGO.  
==== NOWOGRODZKA Nr. 23. ====

14884



R  
10.7.63.  
A.274/63  
PAN

---

Druk L. Bilińskiego i S-ki, Nowogrodzka 17..

<http://rcin.org.pl>

PAN 14884



## Wstęp.

Dawno to już było temu.

Sprawił król Baltazar ucztę wielką dla dostojników swoich. I zgromadzili się oni liczni bardzo, z żonami swemi i nałożnicami swemi.

I jedli i pili i ucztowali i weselili się.

I ciągnęła się uczta długo, mijały dni i tygodnie.

Aż oto u schyłku dnia jednego, gdy wesołość i zabawa doszły do najwyższego natężenia —

Ujrzał król Baltazar, gdzieś u stropu sali, wśród obłoków z dymów kadzideł wonnych, i wśród odblasków złożonych kapiteli i alabastrowych pilarów—rękę, co ogniste wypisywała słowa:

„Mane, thekel, phares“.

„Policzył Pan królestwo twoje, znalezioneś mniej ważącym; rozdzielone jest

królestwo twoje, i *oddane* nieprzyjacio-  
łom swoim.

I stało się tak.

Coś podobnego widzimy w dziejach  
świata naszego.

Jasne i czyste promienie chrześcijań-  
skiej idei, choć zabłyśły nad światem,  
choć zdołały przeniknąć tu i owdzie, za-  
lać światłem swoim niejedno serce szla-  
chetne, ozłocić tę i ową dziedzinę życia,  
nie przeniknęły do głębi społeczeństwa,  
nie weszły w krew i w ciało ludzkości.

Sprawiedliwość, miłość, braterstwo,  
wolność, równość, pozostały ideałami,  
o których się mówi, które się wynosi,  
które się wypisuje zanadto często na róż-  
nych sztandarach, ale które wprowa-  
dzić w życie staramy się bardzo mało.

Ci, od których to zależało najbardziej,  
ci, których Opatrzność postawiła wyżej  
w społeczeństwie, po to właśnie, aby  
temu społeczeństwu służyli, najmniej  
może ze wszystkich myśleli o tem.

Uważali, ci szczęśliwi, ci uprzywilejo-  
wani, że oni to nie słudzy społeczeństwa,  
ale wybrane jednostki, którym z tego  
społeczeństwa korzystać wolno, że nie  
oni dla innych, ale inni, ale wszyscy dla  
nich.

I życie ich i rola w społeczeństwie,  
przypomina ową ucztę Baltazara.

Oni nie pracowali, nie czynili dobrze, nie korzystali z tego, co im Opatrzność dała, dla pożytku innych: ale używać chcieli, ucztować, weselić się, cieszyć, bez względu na to, że inni, ci, którzy bliźniami ich, wszak i braćmi, pozbawieni wszystkiego, w nędzy i zwyrodnieniu.

Że inni, ci, co na nich pracują, co ponoszą największe ciężary społeczeństwa, pozbawieni praw, środków życia, możliwości normalnego, fizycznego, umysłowego, moralnego rozwoju.

Że skazani na ogłupienie, zezwierzęcenie nieledwie.

I że ci inni—to miliony!

I trwała ta uczta Baltazara długo, długo....

I pili tam łzy i krew tych upośledzonych, tych, których błogosławionymi nazywa Ewangelia, tych bliźnich swoich, tych braci —

Pili i używali z nałożnicami swemi —

Aż i nad tą wielką ucztą świata zabłysły krwawe, złowieszcze głoski.

Rewolucya francuska zamąciła wesele i używanie tych szczęśliwych.— I trwoga zdjęła wszystkich.

I oto nad tą ucztą palą się ciągle te straszliwe słowa, co grozę wieszczą, i karę i pomstę.

A oni, ci ucztujący, drżą, bledną, przeklinają, wołają ratunku.

Ale z tej sali biesiadnej wyjść nie chcą, by jąć się pracy, —

Ani przypomnieć sobie czem być powinni, według myśli Bożej,

Ani na co im dana władza i środki.

Ani kielicha rozkoszy i używania się wyrzec.

I wobec grożącej rewolucyi, co grzmi już straszna kędyś, w głębi ziemi i ziemią potrząsa,

Zanim się wyrwie nazewnątrz—i ogarnie—i zatopi wszystko—

Oni pozostają beczynni.

Albo strach mają tylko bezpłodny, — i klątwę,—i wojsko—

A nie pomną na to, że i wojsko za chwilę przeciwko nim się obróci—

I żal i nienawiść do tych, co mącą im spokój używania —

Doprawdy — dziwne zaślepienie, niepojęte szaleństwo —

Wszakże ta kwestya socyalna, co się domaga rozwiązania—to nie jakieś przywidzenie, to nie wymysł czyjejs fantazyi, — to nie wytwór złości demagogów.

Wszak to sprawa najważniejsza ze wszystkich, sprawa, która wzbierała od wieków, — i która rozwiązana, rozstrzygnięta być musi —



I sprawa wielka jak świat, — sprawa  
miljonów —

I sprawa wiekuistej sprawiedliwo-  
ści, — i tryumfu ewangelicznej nauki —

Chodzi już nie o to, czy ją uznać, —  
czy też jej nie widzieć, i dziecinnie oczy  
przed nią zasłaniać —

Bo ona woła głosem gromów mi-  
ljona —

Ale o to — kto ją rozstrzygnie —

Czy ci, którym Opatrzność dała środ-  
ki, władzę, wpływy — znaczenie —

Czy inni, ci — wydziedziczeni, roz-  
drażnieni wiekuiłą krzywdą, rozjuszeni  
wezbraną od wieków nienawiścią —

A ciemni, bo pozbawieni możności  
oświaty —

I zdemoralizowani — niewolą i krzy-  
wdą —

Czy ci, którzy mogli i powinni byli  
zrobić już wiele, a życiem swoim sze-  
rzyli tylko jad nienawiści, a przykładem  
swoim zgniliznę —

I którzy mogli i powinni byli wznieść  
się wyżej duchem i moralnością —

I rozwinąć w sobie najwyższe pier-  
wiastki ducha —

I gdy przyszedł czas, — wyrzec się  
przywilejów swoich — i dogodności dla  
dobra ogółu — które i ich jest dobrem —

Czy ci, — pozbawieni światła, kul-  
tury —

Pchani nędzą, i głodem, — nienawi-  
ścią, by się zemścić, by odpłacić za wieki  
ucisku i krzywdy —

By choć raz użyć jak tamci Baltaza-  
rowej uczy, na którą patrzyli zazdrośni,  
spragnieni —

Z zaciśniętą pięścią, — i wściekłością  
w oku —

Trudno się bawić w prorocstwa, czy  
czas jest jeszcze —

Czy jeszcze nie zapóźno brać się do  
rozwiązywania kwestji społecznej —

Czy jeszcze można wyrwać ją z rąk  
tych, którzy to rozwiązanie na nienawi-  
ści chcą oprzeć i na złych instynktach  
tłumów —

I chciwość tłumów przeciwstawić chci-  
wości jednostek —

I jego nienawiść — cynizmowi tam-  
tych —

I przemoc ludu — przemocy moż-  
nych —

Ale wziąć się do pracy trzeba, bo to  
o b o w i ą z e k nas wszystkich —

Wziąć się do pracy wszystkim —

I do wspólnej pracy — ramię do ra-  
mienia —

„Z polską szlachtą — polski lud“ —

Jak bracia, w imię jednej wspólnej  
idei — szczęścia wszystkich —

Uderzyć się w piersi, żeśmy przeoczyli obowiązek nasz dotąd —

Żeśmy egoistami byli, — i panami się czuli — nie sługami społeczeństwa —

Wbrew Chrystusowej nauce. — „Że kto wyżej jest między wami — niech będzie jako służący“ —

I wziąć się do pracy, ale odrzuciwszy już nazawsze i jaknajdalej egoizm wszelki, jednostkowy i klasowy — w imię dobra tylko ogółu —

I w poświęcenie się uzbroiwszy, bez względu na to, jakie ofiary złożyć wypadnie — by winy swe zmazać —

A jeśli to już zapóźno, jeśli wszelkie poświęcenia, ofiary, najszlachetniejsze usiłowania już pozostać mają bez skutku —

Niech chociaż świat, co się rodzi w zaczątku swoim — opromieniony zostanie poświęceniem, bezinteresownością, ofiarą tych —

Co błąd swój wiekowy uznali, — i choć zapóźno, ale złagodzić go chcieli —

Dla dobra ojczyzny i ludzkości —

I ten koniec chwalebny — i ten przykład wielki ducha i poświęcenia — dorzuci ton podniosły do przyszłych dziejów tworzącego się świata —

Ale może czas jeszcze —

By wspólnie, razem, wszyscy co dobrej są woli, — w imię miłości wzajemnej urządzili przyszłość ludzkości. —

*Ks. Antoni-Marja Wystouch.  
Kapucyn.*

## Przedmowa.

Możnaby napisać ciekawą książeczkę— a ta książeczka stałaby się łatwo książką—o historii „kwestyi socyalnej“ naszej epoki.

We Francji, za pierwszego cesarstwa, „kwestya socyalna“ istniała bezwątpienia, ale była zagłuszona hałasem wojny. Zresztą straszne jej rozwiązanie przez reformatorów w końcu ostatniego wieku, zniechęcało tych, którzyby byli mogli ją wznowić w kraju. A ponieważ cała młodzież była w wojsku, wojna z jednej strony, stawała się jakby przemysłem Państwa, który żywił ludzi, o ile ich nie zabijał; z drugiej zaś strony armaty robiły takie luki w świecie robotniczym, że zapłata robotników, nie będąc obniżoną wskutek konkurencyi, wystarczała im do życia.

Czasy Restauracyi przyniosły wielu ludziom, jako jedyny środek egzystencyi,

pracę, która miała być z dniem każdym niemal ograniczana przez wprowadzenie maszyn.

Wówczas dały się uczuć skutki nieładu, spowodowanego przez dezorganizację ekonomiczną i myśliciele zrozumieli, że chwila stanowczego rozwiązania kwestyi socyalnej była blizką. Ponieważ jednak, dzięki ówczesnemu systemowi wyborczemu, posiadały prawo głosowania jedynie klasy bogate, stojące u steru władzy i wszelkich do niej dróg, więc też broniły one z niepokonaną energią swych praw rzeczywistych lub urojonych. Dla proletaryusza istniało tylko miłosierdzie.

Grom r. 1848 spadł z nieba, które wielu uważało, lub udawało że uważa za pogodne. Było to zresztą tylko chwilowe wstrząśnienie, bo przerażona burżuazya lękając się Brutusa, rzuciła się w objęcia Cezara. W rzeczywistości Cezar nie był, jak może przypuszczano, człowiekiem tych *Beati possidentes*: miał nawet przekonania socyalne bardzo postępowe, przeczuwał mianowicie obowiązki Państwa. Ale nadeszła epoka niesłychanej pomyślności, która uspiła zło. I tak minęło nowych lat dwadzieścia.

Lecz zło było rzeczywiście *tylko* uspio-  
ne. I oto w najgłębszych warstwach  
tłumu, to zło szerzyło straszne spustosze-  
nia pod nazwą pauperyzmu.

Powiemy niżej że nie należy mieszać pauperyzmu z ubóstwem. Ubóstwo pochodzi z przyczyn, które niestety, stały się stanem normalnym społeczeństwa, odkąd ludzkość straciła swą pierwotną świetność; pauperyzm zaś jest klęską, która spada na pewną grupę ludzi, jak niegdyś zaraza morowa spadała na miasta— i wskutek nagłych przesileni przemysłowych powoduje zupełną nędzę. Stąd stan równowagi niestałej, która z konieczności musi sprowadzić ruinę porządku społecznego; stąd dezorganizacja rodziny, która już nie jest w stanie wyżywić swych członków; niemoralność, która jest tego konsekwencyą; antagonizm klasowy wśród cywilizacji, która się nie może ustalić, będąc ciągle narażoną na ataki tłumu bez własności, bez przyszłości, bez wolności.

Oto do czegośmy doszli. Trzeba umieć odważnie spojrzeć w oczy sytuacji.

Niektórzy z naszych czytelników pomyslą może: „Nie znam się na tych wszystkich sprawach, nie przeczę ich ważności, ale niech je studyują mądrzejsi odemnie“. Otóż drogi czytelniku, nie masz prawa tak mówić. To, co mówisz w najlepszej wierze, podobne jest do słów: „Żali jestem stróżem brata mego?“ Zostawcież tę odpowiedź Kainowi.

Posłuchaj, co ośmielę się powiedzieć. Jeśli piastujesz jakąś godność:

kapłańską, urzędową, lub jakiekolwiek stanowisko naczelne, *masz obowiązek* troszczenia się o to, co zagraża społeczeństwu, ażeby potrafić, w razie potrzeby, dopomódz dziełu odrodzenia. A to jest twój obowiązek, nietylko jako chrześcijanina, ale także jako członka społeczeństwa.

Zatrzymajmy się dłużej nad tym punktem.

Niebezpieczeństwa, które nam grożą, nie pochodzą z pogwałcenia prawa w tym lub owym wypadku, lub z jakiejś nieświadomości dobrego: ale stąd, że prawo i dobro nie doznają ochrony od społeczeństwa.

Niebezpieczeństwa nie stanowi to lub owo zło w szczególności, pochodzi ono z zapomnienia zasad, ze stanu, który rodzi zło. I gdyby nawet cuda miłosierdzia zdołały usunąć skutki złego, zło samo istniałoby mimo to i niebezpieczeństwo nie byłoby zażegnane.

Przyjrzyjmy się dzisiejszym stosunkom społecznym.

Pod względem ekonomicznym: stosunki anormalne pomiędzy jednostką a społeczeństwem, między pracą a kapitałem, wadliwy podział bogactw i codzienna niepewność jutra olbrzymiej masy proletaryatu, dobrobyt i zbytek, zwiększający się naprzeciw niewypowiedzianej nędzy, położenie, które ludzie odczuwają coraz



boleśniej wskutek postępu oświaty, zbytni rozwój produkcyi, rolnictwo porzucane dla przemysłu.

Pod względem politycznym: fałszywe pojęcie równości, siła oddana na usługi prawom przeciwnym Prawu; ustawy, które nie ochraniają i które wskutek tego nie mają należytej powagi; ciągły stan niepokoju.

Pod względem moralnym i religijnym: oddalenie od Kościoła, dezorganizacya rodziny, zaprzeczenie Życiu Wiecznemu.

Zestawienie naszego bilansu społecznego:

Dawna wiara zanika — oto kwestya religijna; władza ciągle atakowana — oto kwestya polityczna.

Spaczone stosunki między kapitałem i pracą, walka wytoczona własności i dziedziczeniu, — oto kwestya ekonomiczna.

Wszystko to razem tworzy *kwestyę socyalną*.

A teraz, któż ośmieli się powiedzieć: „Kwestya społeczna mnie nie obchodzi“. Obchodzi cię, jeśli jesteś człowiekiem; obchodzi, jeśli jesteś chrześcijaninem. Przez sam fakt że się nią zajmiesz jako człowiek i jako chrześcijanin, nie będzie ona jeszcze rozwiązana, ale twoim obowiązkiem jest zająć się nią, przygotować przez pracę osobistą wielkie prądy odrodzenia, które sprowadzą w nasze społec-

czeństwo stan normalny, to znaczy sprawiedliwość, to znaczy Jezusa Chrystusa.

Jednakże nie zapominajmy, że zanim zaczniemy reformować drugich, musimy najpierw zreformować siebie; zbadawszy, o ileśmy się sami przyczynili do rozstroju ogólnego, trzeba nam poznać dekalog społeczny, aby go potem wypełniać.

Bo tak, jak istnieje dekalog indywidualny, tak istnieje również dekalog społeczny. Każdy z nas ma obowiązki społeczne, które określają jego stosunek do ogółu, tak, jak ma obowiązki prywatne, które normują jego stosunek z jednostkami.

Etyka jest nauką ściśle praktyczną, a jeśli się opiera na prawdzie, jeśli kocha piękno, zdąża czynnie wprost ku dobru. Pociągając nas za sobą, uczy nas swej drogi, naszej drogi, a jej prawa, zwracają naszą wolną wolę ku naszemu celowi. Działalność człowieka nie jest jedynie wewnętrzną, powinna się ona także objawiać na zewnątrz. Wskutek tego, działalność ta stwarza stosunki z bliźnim jako z jednostką, ale i z ogółem społeczeństwa, wśród którego żyjemy. I oto dlaczego obok etyki indywidualnej, trzeba przyjąć etykę ogólną, zwaną etyką socyalną, która posiada podobnie jak pierwsza, na której się zresztą opiera, powinności mniej lub więcej ściśle obowiązujące, ale z którymi jednak trzeba zawsze się liczyć.

Pod tym względem, nawet pomiędzy katolikami praktykującymi i innymi ludźmi bardzo uczciwymi, istnieją szczególne złudzenia.

Wielu, sądząc moralność danego czynu, zważa jedynie na to, o ile on był sprawiedliwy lub niesprawiedliwy względem jakiejś określonej jednostki, a nie bierze zupełnie w rachubę interesu ogółu; jest to nieznamość obowiązku społecznego.

Z etyki społecznej wypływa obowiązek społeczny, a ten obowiązek nakłada na nas powinności tem rozleglejsze, im więcej dóbr doczesnych udzieliła nam Opatrzność. Urodzenie, zdolności, majątek, wszystko to, co zapewnia nam jakąkolwiek wyższość, zostało nam dane od Boga nie dla samolubnego używania, ale aby nam dać możność szerszej pracy dla dobra ogółu. Człowiek w ten sposób przez Stwórcę wyróżniony, ma cięższe obowiązki, większą odpowiedzialność i powinien znaleźć się zawsze u steru, gdy idzie czy to o poświęcenie, czy też o szlachetną inicjatywę.

Religia Chrystusowa nie jest, nie mogłaby nawet być religią indywidualistyczną. Jest ona przede wszystkim religią miłości i sprawiedliwości. W niej, w jej nauce, powinniśmy znajdować zasady miłości i sprawiedliwości, które mają nami kierować w życiu społecznym, nie dopuszczając, abyśmy działali na oślep.

Codziennie napotyamy kwestye, do rozwiązania których nie zawsze wystarcza etyka indywidualna, ale które wymagają zastosowania zasad, odnoszących się bezpośrednio do wypełniania obowiązku społecznego.

Mówi się wiele o obowiązku społecznym. Mówcy na kongresach, kaznodzieje z ambon, autorzy w książkach, broszurach lub dziennikach, określają go w głównych zarysach i wskazują jego najważniejsze zasady; może jednak nie zajmują się oni dostatecznie pogodzeniem teorii z obecnymi trudnościami i zastosowaniem zasad do potrzeb codziennego życia. Stąd niejasnemi pozostaje wiele rzeczy, które należałoby ściśle określić; są to jakby kwiaty zakwitłe na drzewie, które nigdy nie tworzą owocu.

To właśnie jasne postawienie tych spraw, badanie teorii i zasad moralności chrześcijańskiej, wobec publicznych zwyczajów obecnej doby, ma być zadaniem tej pracy; naukę w niej wyłożoną czerpaliliśmy jedynie z Ewangelii. Nie wchodząc w zbytne szczegóły, chcielibyśmy wskazać pewne punkta widzenia, a szczególnie zbadać niektóre obowiązki etyki indywidualnej i etyki socyalnej, które na nas nakłada Dekalog w rozmaitych stosunkach, wypływających z konieczności życia w społeczeństwie.

Są bogaci i ubodzy, panowie i słudzy,

pracodawcy i robotnicy, kupujący i sprzedający, służba publiczna i służba prywatna; może nie będzie zbyt ciężkiem wytłumaczyć, wskazać przynajmniej, ku jakiemu celowi i jaką drogą powinniśmy postępować, ilekroć znajdujemy się wobec bliźniego w tej lub owej okoliczności, i gdy chodzi o wypełnienie obowiązku w sposób ludzki i chrześcijański.

---



## ROZDZIAŁ I.

### O BOWIĄZEK SPOŁECZNY.

Czem jest obowiązek społeczny? — Solidarność ogółu. — Każdy przyczynić się powinien do dobra ogółu. — Obowiązek intelektualny.—Cząstka naszej odpowiedzialności.—Indywidualizm a moralność chrześcijańska. — Cel społeczeństwa. — Nieznajomość obowiązku społecznego. — Błędna droga.

Bóg, który stworzył człowieka, by żył w towarzystwie innych ludzi, temsamem włożył na niego specjalne obowiązki; ogół tych powinności nazywamy obowiązkiem społecznym. „Bóg nie udzielił nam natury i istnienia jedynie dla nas samych, mówi Ojciec Weiss w swoich znakomitych „Ustawach socyologicznych“; dał nam je także, byśmy się przyczyniali do budowania Jego Królestwa. Powołując człowieka do istnienia, Bóg czyni go członkiem tego Królestwa. W oczach Boga człowiek nie istnieje sam dla siebie, ale jedynie jako członek społeczeństwa ludzkiego; a zatem nikt nie przychodzi na świat jako jednostka odosobniona, ale w celu i z obowiązkiem służenia Bogu za narzędzie, do spełniania zamiarów Jego na ziemi. Stworzył nas dla Swej chwały; posługuje się nami, bo uznał za

dobrze, by darów Swych udzielać jednostkom i ogółowi przez wspólną działalność ludzi. Jakkolwiek bezwarunkowo nie da się zaprzeczyć, że każdy przynosi z sobą na świat swoje prawa, tak iż nie potrzebuje otrzymywać ich od społeczeństwa, z równą jednak pewnością obstawiać należy przy tem, że każdy stworzony jest, by pracował w celu spełnienia ogólnych zamiarów Bożych na ziemi, że zatem każdy w swoim zakresie przykładać się powinien do dobra ogółu“.

„Rewolucya, mówi p. Prins<sup>1)</sup> popełniła wielki błąd, sądząc że ogłoszenie równej wolności dla każdego obywatela, wystarczy aby zapewnić równe prawa wszystkim. Zapomniała objaśnić obywateli, że ich rozwój indywidualny podległy jest prawom organicznym, których postęp jest powolny i prawidłowy. Pozwalając im wierzyć, że jednym skokiem i wysiłkiem osobistym, wszyscy razem dojść mogą do tej potęgi, którą osiągnęły klasy wyższe, po długich wiekach wspólnych usiłowań, wzbudziła większe ambicje w ludziach mniej zdolnych do ich zaspokojenia.

Rewolucya popełniła jeszcze inny błąd, sądząc, że wystarczy ogłosić prawa człowieka, nie przypominając mu jednocześnie jego obowiązków. Każdy z nas, w jakichkolwiek znajduje się warunkach, ma zawsze do spełnienia pewne obowiązki.

Posiadającym, nie tylko przysługuje prawo korzystania z bogactw; mają oni

---

<sup>1)</sup> L'organisation de la liberté et le Devoir social, p. A. Prins, Bruksela, Falk et Co.-Paryż, F. Alcan.



nadto obowiązek dźwigać ciężary nieodłączne od fortuny i coraz bardziej ułatwiać zdobywanie dobrobytu, nieposiadającym go. Ci ostatni, nietylko posiadają prawo dążenia do równości, ale także mają do spełnienia pewne obowiązki i nie może być dla nich mowy o postępie, jeżeli się do nich nie poczuwają“.

Zatem człowiek nie powinien być wyłącznie zajęty swoim rozwojem indywidualnym. W każdym położeniu, a tem więcej w wyższem i bardziej niezależnem, zajmować się powinien dobrem ogółu i przyczyniać się do wspólnego dzieła.

Do tego niezbędne są dwie rzeczy, o które każdy z nas starać się powinien. Powinniśmy znać potrzeby społeczeństwa, wśród którego żyjemy, badać kwestye, które się następują, starać się w nie wniknąć, by móc przyłączyć się do liczby tych, którzy pracują nad ich praktycznem rozwiązaniem. „Dzisiaj, pierwszym obowiązkiem każdego człowieka względem Ojczyzny i Europy, mówi O. Gratry, jest: poznać samemu i zaszczerpieć w innych tę wielką zasadę, jedną i tę samą dla wszystkich, człowieka względem człowieka, narodu względem narodów, klasy społecznej względem klas innych, władzy w stosunku do podwładnego. Jesteśmy członkami jednego ciała. Nie jest prawdą, jakoby dobro jednego członka miało być szkodą drugiego; owszem prawdą jest twierdzenie przeciwne, że dobro jednostki jest dobrem ogółu, a w świetle tej zasady i kierunku życia zupełnie się zmienia: pokój, praca i wolność zastępują wojnę, nędzę i rewolucyę.

„Stanowczo twierdzą i powtarzam, że

w dzisiejszych czasach, obowiązek społeczny każdego człowieka, ma przede wszystkim charakter intelektualny. Trzeba zdać sobie sprawę, na czym polega obowiązek, oświecać w tym kierunku innych, rozwijać i rozpowszechniać poczucie obowiązku jak można najprędzej, we wszystkich warstwach narodu—we wszystkich narodach<sup>1)</sup>.

„Chcąc być ludźmi poważnie myślącymi“, mówi p. Ollé Lapruné<sup>2)</sup>, musimy spełnić pewien bardzo prosty ale bardzo ważny i wcale nie łatwy obowiązek, a mianowicie: zgłębić naprzód to, co nazywamy naszymi zasadami; zgłębić, to znaczy zdać sobie dobrze sprawę na czym one polegają, jak daleko sięgają, nie nadawać im nigdy znaczenia, którego nie mają, ani wyciągać z nich do wolnych wniosków; ale też z drugiej strony, raz poznawszy ich doniosłość, nie pozwalać sobie nigdy na ścieśnianie ich zakresu—wprowadzać je w życie w całej sile i pełni.

„Tyle co do zasad.

„Powtóre, obowiązkiem naszym jest wnikanie w ducha czasu, w którym żyjemy, a który także badać i zgłębiać należy. Zbadajmy przedmiot tego, co przed chwilą nazwałem jego potrójną namiętnością, a przekonamy się, że ani wiedza, ani sprawiedliwość, ani sprawiedliwość społeczna, ani wolność, ani demokracja, nie mają w sobie nic, coby nas mogło lub miało zastraszać; owszem, zobaczymy, że zrozumiane w sposób

---

<sup>1)</sup> Zob. Gratry: La morale et la loi de l'histoire t. I str. 335.

<sup>2)</sup> Ollé Lapruné: De la virilité intellectuelle.

właściwy, wiedza, sprawiedliwość społeczna, i wolność mogłyby cały świat zwrócić do zasad chrześcijańskich, a nawet że potrzebę tego zwrotu w ostatnich czasach już tu i owdzie ludzie odczuwać zaczynają“.

Trzeba nam więc poważnie wejrzieć w siebie, trzeba by każdy z nas zadał sobie pytanie, jaka część jest jego odpowiedzialności w niezdroziu ogólnem, bez względu na to, do jakiej sfery należy. Nie mamy tu na myśli błędów czysto osobistych, ale takie które mniej lub więcej pośrednio odbijają się na całości społeczeństwa. Jeżeli jesteśmy bogaci, zwróćmy baczną uwagę na zarzuty, które ubodzy czynią nam, a raczej całej klasie, do której należymy; zdajmy sobie sprawę ze stopnia słuszności tych zarzutów, a następnie zapytajmy sumienia, w jakiej mierze jesteśmy za nie odpowiedzialni. Jeżeliśmy ubodzy, nie uważajmy się bynajmniej za zwolnionych od podobnego obrachunku, gdyż każda klasa społeczna ma właściwe sobie obowiązki, każda może je pogwałcić, i przez nieświadomość, niedbalstwo lub złą wolę stać się winną prawdziwych niegodziwości.

Ten rachunek sumienia, który obowiązuje wszystkich, obowiązuje jednak szczególnie (i dobrze jest na to nacisk położyć) grupę wybrańców losu tych, którzy mając nad innymi przewagę pochodzenia, zdolności lub majątku, mogą mieć jaśniejsze pojęcia o obowiązkach swoich, a przytem rozporządzają liczniejszymi środkami, aby je należycie wypełnić. Na nieszczęście, olbrzymia większość w obowiązki te nie wierzy. Tak jeste-

my przesiąknięci indywidualizmem, że uczynki nasze sądzymy wyłącznie ze względu na ich bezpośrednią szkodliwość, lub nieszkodliwość dla bliźniego, zapominając, że obowiązki nasze nie są wyłącznie negatywne, że mamy również obowiązki pozytywne, i że społeczeństwo oczekuje od nas pracy nad dobrem ogółu. Moralność chrześcijańska odrzuca daleko od siebie indywidualistyczne pojmowanie obowiązku. Bóg zlecił każdemu z nas czuwanie nad braćmi. *Unicui que mandavit de proximo suo*,—nie mamy prawa myśleć wyłącznie o sobie samych, pracować jedynie dla swego dobra i swego zbawienia, wyobrażając sobie, że to dobro osobiste i własne nasze zbawienie nie mają żadnej łączności z dobrem i zbawieniem bliźniego. Gdyby było inaczej, Ewangelia straciłaby Boską swoją wartość, nie byłaby Księgą Żywota; a słowo Boże: „*Docete omnes gentes*“, „*Nauczajcie wszystkie narody*“, stałoby się pustym dźwiękiem. Chrystus Pan nie jednostki tylko, lecz całą ludzkość pragnie ogarnąć i to jedno w braku innych dowodów już by wystarczyło do umotywowania potrzeby obowiązku społecznego.

\* \* \*

Z jakiego bądź punktu widzenia rozpatrywać będziemy społeczeństwo, czy to jako rodzinę, czy jako grupę polityczną, czy religijną, określić je zawsze możemy jako organizację hierarchiczną, która dopomaga swym członkom do osiągnięcia wspólnego celu.

A jakimże jest ten cel wspólny?

Celem tym jest udoskonalenie istoty ludzkiej w każdym kierunku. Człowiek posiada rozum, uczucie, wolę; ma nadto i ciało. Społeczeństwo zbliży się do ideału doskonałości, w miarę jak dopomagać będzie do rozwoju rozumu, uczucia, woli człowieka i innych jego władz, a nawet sił jego fizycznych. Ale ponieważ wiara uczy nas, że społeczeństwo ludzkie jest środkiem, a nie celem, dodamy, że rozwój człowieka nie jest ostatecznym końcem jego, tylko drogą wiodącą nas do najzaszczytniejszego i jedyne go przeznaczenia, którem jest Bóg sam, czyli zjednoczenie się z Nim jaknajściślej tu na ziemi, zanim dojdziemy do połączenia się z Nim w Niebie.

Społeczeństwo dzisiejsze zapomniało zupełnie o tej nauce, powiedzmy lepiej: o tym obowiązku: członkowie, którzy je składają, albo nie pojmują wcale swoich obowiązków, albo nie chcą ich spełniać, w najlepszym zaś razie mając dobre chęci, nie są w możności w czyn je wprowadzić. Smiało więc powiedzieć można, że główną chorobą naszego czasu jest nieznamość i niespełnianie czasem rozmyślnie, czasem nieświadomie obowiązków społecznych. Dodać tu należy i to jest okoliczność obciążająca, — że ci właśnie, którzy powinni przykład innym dawać i większą część brzemienia przyjmować na siebie, jako zajmujący wyższe szczeble porządku hierarchicznego, ci którzy powinni być powagami i podporami społeczeństwa, zaniedbują właśnie swoje obowiązki i najmniej się poczuwają do ciężającej na nich odpowiedzialności.

Zapewnie nieszlusznem byłoby zarzut

ten bezwzględnie uogólniać: w imię sprawiedliwości przyznać trzeba, że są szlachetne wyjątki, są ludzie pełni poświęcenia, nie liczący się z trudami, gdy chodzi o dobro społeczne, ale niestety są to tylko wyjątki; skądinąd wyznać trzeba, że w dzisiejszych czasach urzędy i godności uważane są najczęściej jako środki zysku, jako okazje do używania, sposobności do wywyższenia się, podczas gdy poczucie odpowiedzialności moralnej, związanej z tymi urzędami, schodzi zazwyczaj na plan dalszy.) Stanowiska i godności zatraciły swój charakter społeczny i bezinteresowny, a zamieniły się w towar, za który się odbiera umówioną cenę: ja spełniam tę lub ową czynność, a wy mi dajecie takie czy inne wynagrodzenie i już wszystko w porządku. Coraz bardziej pochłaniający nas indywidualizm, sprawia, że zapatrujemy się na godności i urzędy społeczne jedynie z punktu widzenia osobistych korzyści, jakie z nich dla siebie wyciągnąć możemy, a więc: zaszczytów, władzy, pieniędzy lub poważania.

Ludzkość stała się jednym wielkim rynkiem targowym, gdzie pierwszeństwo ma ten, kto bogatszy, kto może dać więcej złota na kupno (a kupić wszystko można: sumienia, władze, ludzi), podczas gdy na szczeblach drabiny społecznej zarówno wchodzący, jak i schodzący odmieniają każdy na swój sposób słowo: wyzyskiwać. Ja wyzyskuję, ty wyzyskujesz, on wyzyskuje, my wyzyskujemy i t. d.

Jakże dalecy jesteśmy od prawdziwie chrześcijańskiego pojmowania społeczeństwa: jesteśmy wszyscy sobie równi, bo mając jednego Ojca w Niebie, jeste-

my braćmi; każdy urząd jest obowiązkiem, urzędnik jest sługą społeczeństwa, sługą, który składa na rzecz dobra publicznego swój czas, swój trud, swoją inteligencyę, a którego społeczeństwo przez wdzięczność zaopatruje w środki do życia.

Zło leży w zapomnieniu o tych zasadach, a środki których się używa na leczenie złego, jeżeli nie mają na celu przywrócenia zasad albo jeśli dążą tylko do zreformowania jednostek, pomijając instytucye, pozostaną zawsze półśrodkami. Nie pojedyncze osoby lecz instytucye tworzą społeczeństwa. Do wzniesienia budynku nie wystarczy posiadać piękne kamienie; trzeba jeszcze żeby murarz umieścił je odpowiednio jedne obok drugich, podług planu architekta, stosownie do wymagań sztuki.

Stąd też wiara w odbudowanie ludzkiego społeczeństwa sprawiedliwego i chrześcijańskiego przez oddziaływanie tylko na jednostki—jest złudzeniem.

A jednak na tem dzisiaj najczęściej i prawie wyłącznie opiera się cała działalność i wszystkie zabiegi około dobra publicznego.

Jesteśmy na błędnej drodze.

Łatwo się o tem przekonać, przyglądając się działalności naszej w przeciągu stu lat ubiegłych i tym dziełom, które powstają dziś jeszcze, by zapobiedz złu powszechnemu.

Jak oddziałała na społeczeństwo ta działalność? Jaki mu nadała orientacyjny kierunek?

Oto odpowiedź w dwóch słowach:

Coraz bardziej jednostki lekceważą

sobie swoje obowiązki. Coraz więcej powstaje instytucji, które ułatwiają jednostkom uchylanie się od wypełniania tych obowiązków.

---



## ROZDZIAŁ II.

### DZIAŁALNOŚĆ.

Działalność katolicka.—Jak ją należy rozumieć.—Czy szkoły bezpłatne, przytulki, żłobki, domy dla sierot powinny stać się głównym celem działalności?—Głęboka różnica.—Kilka uwag o cechach dzieł czysto katolickich.—Społeczeństwo jako środek zbawienia.—Drogowskaz.—Wstecz.—Metoda rewolucyjna. — Ratuśmy rodzinę. — Jej wrogowie.—Jej rozkład.

Wyobraź sobie na chwilę drogi czytelniku, że jestem twoim proboszczem. Rozumie się samo przez się, że jesteś wzorowym parafianinem. Przyszedłeś do mnie z ufnością, a że łączy nas wspólność myśli, poglądów i dążeń, i że obaj mamy szczerę pragnienie czynienia ludziom dobrze, rozmawiamy o działalności humanitarnej w ogóle, i o tem jak ją rozumieć należy, by nadać jej formę najbardziej zgodną z duchem Ewangelii.

Otóż wystawmy sobie, że masz już za sobą długie lata życia, jesteś samotny i bez rodziny, a posiadając dość znaczny majątek, chciałbyś go użyć na dobre uczynki, ku chwale Bożej i ku pożytkowi duchowemu i doczesnemu twych braci w Chrystusie.

— Na dobre uczynki?... Prześlicznie!.. Ale co właściwie przez to rozumiesz?

— Rozumiem je naturalnie, jako uczynki miłosierdzia: zakładanie szkół, ochron, przytułków, rozdawanie jałmużny ubogim i t. d.

— Tak, ale przykłady nie są określeniem.—Nie przeczę, że wszystko coś wymienił, zalicza się do rzędu „dobrych uczynków“ ale wołałbym ściślejszą definicyę. Co do mnie nazwałbym „dobrym uczynkiem“ każdy uczynek, któryby wprowadzał w życie katechizmowy akt miłości: „Boże mój! kocham Cię z całego serca, a dla miłości Twojej, kocham bliźniego mego, jak siebie samego“. I tem więcej uczynek zasłuży na nazwę „dobrego“ im więcej przyczynia się do chwały Bożej i do dobra bliźnich.

— Ta definicya trafia mi do przekonania, ale cóż weźmiemy za kryterium sądów naszych. W jaki sposób poznać o ile to, lub owo dzieło przyczynia się do chwały Bożej i do dobra bliźnich?

— Pytanie bardzo słuszne, i nie trudna odpowiedź. Kryterium będzie tu stanowić prawo Boże zawarte w Dziesięciu Boskich przykazaniach. Stąd też dzieło każde o tyle będzie dobrem, o ile pomagać będzie do ich wypełniania.

— Jakże według tej zasady osądzić mój zamiar założenia szkoły bezpłatnej w naszej parafii?

— Zapewne jest to myśl dobra, ale mojem zdaniem byłoby lepiej wyznaczyć natomiast pewną ilość stypendyów przy szkole płatnej, by zapewnić pomoc tylko tym, którzy jej rzeczywiście potrzebują.

— Dlaczegoż to?

— Bo czwarte przykazanie Boże na-

kazuje rodzicom wychowywać i kształcić dzieci. Zastępować ich w tym razie bez ważnej przyczyny, to poprostu ułatwiać im usuwanie się od tego obowiązku, czyli działać wbrew zasadzie chrześcijańskiej. Dlatego wahałbym się zaliczyć projekt pański do rzędu „dobrych uczynków“.

— Może to i racya, ale jeżeli szkoła nasza nie będzie bezpłatną, wszystkie dzieci uczęszczać będą do szkoły bezwynaniowej \*).

— Zależy to od sposobu widzenia rzeczy. Ja postanowiłam tezę, Pan jej przeciwstawiasz hipotezę i przyznać muszę, że po części masz słuszość. Wypada mi jednak zauważyć, że trudność o której wspominasz, nie zachodziła nigdy tam, gdzie otworzone szkoły płatne, owszem zazwyczaj szkoły te cieszyły się nawet wielkiem powodzeniem. Wreszcie, jeżeli Państwo działa wbrew przykazaniom Bożym, czyż mamy je w tem naśladować?

— Pragnąłbym też założyć przytułek dla starych robotników. Ci biedacy pracują ciężko przez całe życie, a na starość przeważnie nędzę cierpią. Może tym razem zdania nasze się zgodzą?

— Zgodziłyby się, gdyby.... i tutaj znowu nie zachodziła kwestya czwartego przykazania. Czyż piecza o starych rodzicach nie jest obowiązkiem dzieci?

— A jeśli dzieci nie są w stanie zapewnić im tej opieki?

— W takim razie niech Pan ustanowi stypendja dla starców, którzyby z nich

---

\*) Mowa tu o rządowych szkołach francuskich.

korzystali pozostając w rodzinie. Zamiast ciężarem — będą oni wtedy dla swoich pomocą, a dzieci o jedno tylko dbać będą, a mianowicie o zachowanie w najdłuższe lata ich życia, aby jak najdłużej z tej zapomogi korzystać. W ten sposób rodzina się nie rozpręże, sterany robotnik spędzi swe ostatnie lata w sposób daleko bardziej odpowiadający godności ludzkiej niż gdyby był porzucony w przytułku, gdzie nieraz umiera z nudów, podczas gdy dzieci i wnuki nie mogą korzystać z dobrych rad jego, z widoku jego siły moralnej i doświadczenia, nabytego latami.

— Jednakże ten sposób nakłaniania dzieci do czci i pieczy o rodzicach wydaje mi się bardzo interesownym.

— Czyż chcesz byśmy byli mądrzejszymi od Boga? Czyż On do pełnienia cnoty nie pobudza nas również — celami interesownymi: zdobyć niebo — uniknąć piekła? Czyż w samem czwartem przykazaniu nie znajdujemy podobnej zachęty w słowach: „abyś długo żył“?

— A cóż robić ze starcami, którzy nie mają rodziny?

— Dla tych, naturalnie, że przytułki są potrzebne, ale bądź spokojnym. We Francji nie brak tego rodzaju zakładów, w których łatwo umieścisz swoich protegowanych, wnosząc tylko za nich umówioną opłatę.

— A zatem ganisz przytułki i szkoły bezpłatne?

— Broń Boże! owszem, zakłady takie bywają nie raz potrzebne, ale tylko w braku lepszych środków.

— A cóż myślisz o żłobku?

— Wychodząc ciągle z tej samej za-

sady, nie jestem wielkim ich zwolennikiem.

— Jakto, czyliż to nie jest prawdziwe dobrodziejstwo, że matka może co rano dziecko zostawić w pewnych rękach, w miejscu, gdzie będzie mogła przyjść je nakarmić, gdzie będą nad niem czuwać z największą troskliwością! Pomyśl tylko, że ta kobieta będzie wówczas mogła spokojnie oddać się pracy, chodzić do fabryki, do warsztatu, iść na obsługę....

— I to właśnie uważam za opłakaną z powodu skutków, jakie za sobą pociąga. Porządek Boży wymaga, by kobieta sama wychowywała swe dziecko, porządek Boży wymaga, by kobieta nie opuszczała domu, by stworzyła mężowi ognisko domowe. Pański żłobek, który ułatwia wyłamywanie się od tych obowiązków, poprostu gwałci porządek Opatrznościowy i sprzeciwia się czwartemu przykazaniu.

— Zatem i ochronki ganisz?

— Ależ nie, ja niczego nie ganię! Jak szkoły bezpłatne i przytułki, tak również ochronki i żłobki uważam za zło konieczne, lecz nie zachęcałbym do pomnażania ich liczby.

— Cóż więc czynić?

Starać się o zakładanie instytucji, któraby dawała kobietom możliwość pracowania w domu. A są już zakłady tego rodzaju. Ksiądz Boyreau, kierownik dzieła Różańca Świętego w Paryżu i ksiądz Soulangé-Bodin, proboszcz w Plaisance, są ich twórcami, a skutki ich zabiegów przewyższają wszelkie oczekiwania.

— A co sądzić o domu dla sierot?

Sądę, że o wiele logiczniej jest zostawiać sieroty w ich własnym środowisku, powierzać je n. p. uczciwym rodzinom za odpowiedni wynagrodzeniem. Nie podobają mi się wcale te olbrzymie koszary, w których dzieci różnego pochodzenia i różnych zdolności otrzymują wszystkie jednakowe wychowanie, i pod jednakowym zostają kierunkiem. Nikt nie wgląda w ich przeszłość, i tym sposobem zanika ich ślad urodzenia, wraz ze wspomnieniami pierwszych lat ich życia, jako też i stanu, w jakim żyli rodzice. System to wręcz niedorzeczny, który tworzy ludzi wykolejonych. Spójrzmy naprzykład na los dziewcząt, wychowywanych w takich schronieniach. Jak mała z nich liczba trwa w dobrem do końca, a ileż jest takich, które gdyby się chowały na wsi, w tem środowisku, z którego wyszły, byłyby wzorowymi żonami i matkami, a tu rozbiły się o trudności i szkopyły życia \*)? Wiemy o tem, że trzeba mieć wzgląd na smutną i nie raz prawdziwą potrzebę, ależ na miłość Boską z wyjątków nie twórzmy zasady!

— Prosiłbym bardzo o wskazanie mi jeszcze kilku instytucji prawdziwie chrześcijańskich.

— Z miłą chęcią. Oto naprzykład ogrody dla robotników i instytucje, ułatwiające poszukiwanie pracy, które zastępując jałmużnę, pomagają wypełniać rozkaz Boży: „W pocie czoła twojego będziesz pożywał chleb twój“; miesz-

---

\*) Nie mówiąc już o tem, że wiele z tych „sierot“ ma ojca i matkę, więc zakłady takie dają rodzicom możliwość pozbycia się swych obowiązków.

kania dla robotników, wytwarzające zamiłowanie ogniska domowego a temsamem przechowujące w rodzinach tradycje chrześcijańskie; kasy posagowe, dające możność młodym ludziom i dziewczętom ubogim pobierania się i zagospodarowywania, z poszanowaniem szóstego i dziewiątego przykazania Bożego; zakładanie kaplic w odleglejszych dzielnicach, by ułatwić słuchanie Mszy niedzielnej, to znaczy pełnienie trzeciego przykazania; organizacja, mająca na celu zwiększenie liczby duchowieństwa w tych parafjach, gdzie ta liczba jest wyraźnie niewystarczającą, aby lud był lepiej pouczany o swoich obowiązkach i prawach.

Nie zapominajmy też o prasie katolickiej i o tak ważnych katolickich wyższych zakładach naukowych, które bronią Boga i prawdy Jego, Kościoła i dusz. Jednem słowem dawajmy pierwszeństwo dziełom, które zapobiegają upadkowi przed takimi, które z upadku podnoszą, choć i te ostatnie są nieraz niezbędne i powinny się cieszyć sympatją naszą.

— Czy znaczy to, aby skasować wszelkie instytucje innego typu?

— Bynajmniej, zawsze potrzebne będą zakłady, któreby spełniały obowiązki za tych, co rzeczywiście spełniać ich nie mogą: naprzykład ochronki dla dzieci, które nie mają matek, lub których matki nie są w możności zająć się ich wychowaniem; przytułki dla starców bez rodziny i inne jeszcze zakłady, potrzebne w takim razie, gdyby środki zwyczajne, stosowane w społeczeństwie okazały się niedostatecznymi. Ale pamiętajmy o tem, że wyjątki nie stanowią re-

guly i zaprzestańmy pomagać tym, którzy obowiązków swoich pełnić nie chcą.

Jest to prawda, nie ulegającą wątpliwości, że Bóg który chce zbawić człowieka umieścił go pośród innych ludzi, czyniąc ze społeczeństwa środek opatrnościowy, służący ku zbawieniu jednostek.

Otóż ten porządek Boży został zupełnie przewrócony. Patrząc bezstronnie na ogólny kierunek wysiłków naszych, przekonamy się, że wszystkie albo prawie wszystkie dążą do podniesienia społeczeństwa przez jednostkę, zamiast ratować jednostkę przez społeczeństwo.

Skutki tego systemu są oplakane.

Należy wyznać, że bardzo wiele z naszych instytucji okazało się w praktyce najzupełniej nieodpowiedniami.

Boleścią ścisnęłoby się serce, gdyby sobie zadano trud wykazania statystycznie, jak małej liczbie ludzi instytucje te ułatwiły zbawienie, pomimo tylu wysiłków energii i poświęcenia, jakie pochłonęły.

Wobec tego, czyż można w tego rodzaju instytucjach upatrywać normalne podstawy przyszłości? Jakże możemy poprawić obecny stan rzeczy, skoro zwracamy uwagę tylko na skutki złego, zaniedbując jego przyczynę? Dzieła się mnożą i kwitną, a mimo to rozkład społeczny postępuje i zaprawdę, wysnuwając wnioski z owoców tych dzieł, żaden największy nawet optymista nie odważy się twierdzić, jakoby na horyzoncie społecznym dostrzedz można było świtanie lepszych dni, jakoby ziarno dobre kiełkować już zaczynało.

Wiele razy porównywano ludzkość z łodzią, której sternicy czynią olbrzymie



wysiłki, aby posuwać się naprzód, lecz nie spostrzegają, że płyną przeciw prądowi i że mimo wszelkich usiłowań prąd łódź porywa i niesie... ku skałom.

Oddziaływanie na jednostki nie powinno przeto być celem naszej pracy społecznej; idąc dalej w tym kierunku będziemy się wysilali napróżno, a zło w dalszym ciągu będzie się pogarszało.

Raz jeszcze powtarzamy: oddziaływać na ogół, reformować instytucje; tym sposobem społeczeństwo odradzać się będzie w masach, które inaczej zreformować niepodobna.

— Więc jakąż drogą iść należy?

— Po pierwsze walczyć przeciw zasadzie odrębności czyli indywidualizmu, który jest dzisiaj wielkiem powszechnem złem. Kładąc mniej nacisku na wykroczenie pojedynczych osób, trzeba tamować głównie źródła złego, które się odbija na ogólnym porządku społecznym. Trzeba rozpowszechniać bez wytchnienia zasady podstawowe, te zasady któremi społeczeństwa żyją, bez których z konieczności umierają; trzeba często pobudzać siebie i innych do zdawania sobie sprawy z obowiązku społecznego; obowiązek ten spełniać wiernie i wpływać, by go inni dopełniali.

Mówiliśmy poprzednio, że jeśli pewne instytucje wydają liche rezultaty, to pochodzi to głównie stąd, że są źle obmyślane, że nie mają bezpośrednio na celu dobra społecznego. Nie chcemy tu bynajmniej krytykować poszczególnych istniejących zakładów dobroczynnych, ani żadnemu z nich nie życzymy zagłady. Powstajemy tylko przeciw ogólnemu systemowi i pragnęlibyśmy, aby na przy-

szłość więcej uwzględniano zasady, na które tu zwracamy uwagę.

Najważniejszym zarzutem, który czynimy wielu instytucjom społecznym jest to, że nie mają one żadnej trwałej podstawy; wiele z nich wymaga wielkiego nakładu energii i poświęcenia, tem gorzej więc, że po za tem poświęceniem nie znajdują punktu oparcia.

Niegdyś wszystkie instytucje powstawały w ścisłym związku mniej lub więcej widocznym, ale zawsze istotnym z potrzebami i warunkami danego społeczeństwa, z właściwościami ziemi, uzdolnieniem mieszkańców, ich zajęciami, wreszcie z czemś, co obchodzi nie tylko jednostkę, lecz ogół cały, niosąc przytem jednostce pomoc i obronę. Autor dzieła pod tytułem „Wstecz“, którego zasady tu rozwijamy, nazywa to: „wyrastaniem na gruncie społecznym“.

Tymczasem dzisiejsze nasze zakłady nie mają z niczem łączności; możnaby je przenieść lub urządzić w każdym punkcie kuli ziemskiej; wszystkie wzrastają podług jednego biurokratycznego szablonu i jednej formy. Jest to poprostu maszyna administracyjna, która pomaga raczej do gwałcenia, niż do spełniania obowiązków. A wszystko to pochodzi z bezgranicznie wybujałego indywidualizmu, który sprawia, że się niezmiernie troszczymy o dobro jednostek, usuwając zupełnie na drugi plan dobro ogółu.

„Wadliwość organizacyi naszych dzieł i instytucyi, tłumaczy znakomicie p. Ives de Querdec w energicznym swym artykule, ogłoszonym przez dziennik „Univers“, — pochodzi stąd, że chcąc zwalczyć antychrześcijańskie i antysocjalne skutki

Rewolucji, stosujemy metodę rewolucyjną i antysocjalną. Ojciec, matka, dziecko, robotnik, pracodawca — każdy ma w społeczeństwie pewną rolę do wypełnienia. Indywidualizm wyrwał po prostu ojca i matkę z ogniska domowego; dziecko odłączył od rodziców, robotnika od pracodawcy. Zamiast przeciwdziałać temu i starać się wszelkimi siłami by rzeczy wróciły do właściwego porządku, godzimy się na ten sam indywidualizm, przystrajając go tylko na zewnątrz szatą Ewangelii i poświęcenia. Stworzyliśmy żłobki, ochronki, przytulki, szwalnie, koła, kółka, patronaty — wszystko to, aby się opiekować dziećmi, dziewczętami, mężami, popierając temsamem dezorganizację rodziny, podczas gdy wszystkie wysiłki nasze zdążać by powinny do wskrzeszenia ogniska domowego. Naszem zdaniem byłoby pożyteczniej dać dziesięciu matkom możliwość spełnienia swoich obowiązków w domu, niżeli wychowywać w żłobku dzieci dwudziestu. W pierwszym wypadku praca byłaby pożyteczna, w drugim — jest często bez pożytku, bo jest antyspołeczna“.

Tak zatem często bardzo pod pozorem ratowania kilku jednostek, podkopuje się instytucje, ustanowione przez samego Boga dla zbawienia ludzkości. O ileż właściwszem byłoby spożytkowanie tego samego szlachetnego zapala, bezinteresownego poświęcenia dla podtrzymania instytucji opatrnościowych, naturalnych, przychodząc z bezpośrednią pomocą jedynie w absolutnej konieczności, i to tylko o tyle, o ile ta konieczność tego wymaga.

Działać inaczej, jest to iść drogą błędną, jest to zapominać o celu głównym dla drobnych i pobocznych, to leczyć chorobę w jej objawach, zamiast dotrzeć do źródła.

Nie troszcząc się o sprowadzenie na tory właściwe tego, co w społeczeństwie wykolejone, myśleliśmy, żeśmy dokazali cudu, gdy nam się udało opatrzyć rany kilku jednostek z naszego otoczenia, i w naiwności naszej wyobrażaliśmy sobie, że już choroba wyleczona, skoro nas jęki chorych mniej dochodzą.

\* \* \*

Najbaczniejszą uwagę zwrócić powinniśmy na rodzinę.

Rodzina w obecnym stanie rzeczy grozi rozprzężeniem, ponieważ od dość już dawna mijać się zaczęła z celem swego założenia. Nie stanowi ona już jednolitego ciała, jedności żyjącej i działającej, ale przedstawia raczej zbiór atomów przypadkowo ze sobą złączonych i utrzymywanych tylko węzłem interesów materialnych, które często stają się rozdziałem, a w każdym razie łączyć zdolne są tylko przypadkowo.

I niema w tem nic dziwnego.

Bo i jakże rodzina mogłaby się oprzeć tylu przeróżnym napaściom, tylu wrogom, którzy burzą nie tylko jej życie zewnętrzne, ale i wewnętrzne, usiłując nawet zniszczyć podstawy jej bytu.

Warunki pracy, które odrywają ojca, matkę i dzieci od ogniska domowego, prawa i obyczaje, ułatwiające rozluźnienie węzłów małżeńskich i poniżające ten wielki i święty sakrament do zna-

czenia banalnej zwykłej spółki; niemoralność ogółu, co zatruwa w sercach najlepsze uczucia i niszczy pojęcie obowiązku, wszystko to pcha rodzinę do upadku tak że z pierwotnej jej istoty mało, co zostało.

Rodzice przeważnie nie zdają już sobie sprawy ze szczególnych obowiązków i wielkiej odpowiedzialności swego stanu.

Najczęściej mają bardzo słabe pojęcie o swoim zadaniu i tak dalece się mało troszczą o środki do spełnienia go, że na stu ojców i matek (weźmy ich z pośród chrześcijan, z pośród inteligencji, z pośród mających wiele czasu, z pośród tych, którzy wiele czytają, którzy znają każdy najnowszy utwór muzyczny czy powieściowy) wątpię, czy sześciu się znajdzie, z wyjątkiem fachowych pedagogów, którzyby przeczytali jaką książkę o wychowaniu. Nie znają — nie chcą sobie nawet zadać trudu poznania swych obowiązków.

Jeżeli do tego niedbalstwa i do tej obojętności dodamy jeszcze przeszkody nie zależne od woli człowieka, wówczas nie trudno nam będzie pojąć, dlaczego rodzina dzisiejsza stopniowo upada. Ale niestety może niedługo nawet nie będziemy mieli we Francji potrzeby skarżyć się na to, skoro u ogniska domowego coraz mniej widzimy kołyszek i coraz mniej jasnych lub ciemnych główek dziecięcych. Tak popadają w niepamięć i zamierają święte rzeczy, tak popadają w niepamięć i znikają wielkie prawa. Bóg ze względu na nierozłączność związku małżeńskiego, uświęcił obowiązki małżonków, jak obowiązki kapłana, Sakramentem, i błogosławieństwo miało spłynąć na to

dzieło życia; niestety! zbyt często przekleństwo spada na to, co się staje dziełem śmierci.

A jeżeli, mimo wszystkiego, liczna rodzina się utworzy, to widzimy często rodziców żyjących tak, jak gdyby jej wcale nie posiadali, jak gdyby mało im było wrogów wewnętrznych, usiłujących ją zniszczyć. Z jakąż lekkomyślnością składają na obce barki odpowiedzialność wychowania! Bezwątpienia, klasy pracujące miewają nieraz trudności w należytem spełnieniu tego obowiązku, ale jakież zły przykład dają im bogaci! Tak pilno rodzicom powierzyć swoje maleństwo ogródkom froeblovskim, szkółkom, internatom wszelkiego rodzaju. Zły przykład widzimy wszędzie. Jakże mało jest rodzin pojmujących dokładnie i poważnie swoje święte powinności! A potem ci sami rodzice dziwią się i ubolewają nad zanikiem ich władzy i brakiem wpływu na dzieci! Dziwne doprawdy zadziwienie, które wyphywać może tylko z wielkiej nieświadomości, albo z bezgranicznej naiwności.

### ROZDZIAŁ III.

## O BOWIĄZEK APOSTOLSTWA.

Słowa Św. Pawła.—Być Apostołem.—Nieustanny pochód naprzód.—Płaczymy nad umarłym.—Przebudzenie Młodych.—Ich metoda.—Smutne odkrycie.—Odpowiedź Kaina. — Ogólna ewolucya. — Dlaczego kościół postradał swe stanowisko? — Przykład Chrystusa.—Jakie ma być nasze pojęcie Apostolstwa.

W rzędzie obowiązków koniecznych, które na każdego chrześcijanina wkłada dekalog indywidualny i społeczny, w pierwszym rzędzie trzeba postawić obowiązek apostołstwa. Św. Paweł wypowiedział piękne słowa, któremi wszyscy prawdziwi chrześcijanie głęboko przejąć się powinna: „Instaurare omnia in Christo!": „Wszystko odnowić w Chrystusie“.

Wczynie kiedy Apostoł spełniał zadanie swoje, przebiegając świat, stan ludzkości był rozpaczliwy, konieczną była reforma społeczeństwa, któremu groził upadek i ruina. A On, ten mąż natchniony od Boga rozumiał sam i starał się wszystkich przekonać, że jedna jedyna tylko naprawa mogła być skuteczna: wszystko odnowić w Chrystusie. Ponieważ świat stary dał się porwać tej

idei, dlatego odnalazł drogę właściwą, a wraz z jasnym celem, do którego miał dążyć, także i środki niezbędne do zbawienia narodów i rozwoju cywilizacji.

A teraz, w końcu tego stulecia dziewiętnastego, stoimy znowu pod tą samą grozą. Noc nas ogarnęła, całun ciemności okrył ziemię i zboczyliśmy z drogi i społeczeństwo staje znowu w obec pytania, jak utrzymać się nad przepaścią i gdzie potęga, która nas wybawi.

Czemużby dawne lekarstwo nie mogło być lekarstwem dzisiejszych dni? Czyż prawdy Boże nie są wiekuiste i czy z biegiem czasu tracą swą siłę?

Przypuszczenie podobne byłoby bluznierstwem, a myśl taka gorzką rozpaczą.

Dla tego wszystkim, co chcą pracować, walczyć i cierpieć dla ratowania społeczeństwa, powtarzamy słowa Apostoła: „Bracia, trzeba wszystko odnowić w Chrystusie“.

Chciano reformować, opierając się na zasadach humanitarnych; piękny osiągnięto rezultat! na ileż kawałków poszarpano sławną ową deklarację praw człowieka i obywatela! Starano się odrodzić świat na podstawie interesów materialnych i rewolucję społeczną przygotowuje to właśnie, że społeczeństwo umiało się tylko bogacić i używać. To też teraz ostateczna nadeszła chwila, by zrozumieć, że światu trzeba prawdy, która zbawia, potrzeba Boskiego światła, któreby go pośród ciemności prowadziło.

A majętni powinni uważać za konieczny obowiązek popieranie tych, którzy w tym kierunku pracują, tych wszystkich, co dla odrodzenia świata i sprowadzenia



go na właściwą drogę chcą rozniecić wielkie i jasne światło prawdy.

Apostolstwo, to szczytne zadanie i Bóg w Swojej dobroci powołuje nas wszystkich w mniejszym lub większym zakresie do pełnienia tej misji. Łaskę tę trzeba rozumieć, trzeba ją uprawiać w sobie i rozwijać bo to jedyny środek, by się jej okazać godnym. Trzeba według słów Mistrza stać się „solą ziemi“, solą, która zachowuje,—„rozczyne w cieście“, rozczyne, sprawiającym rozwijanie się pierwiastków wiary, sprawiedliwości i miłości, które Ojciec Niebieski od początku zasiał w duszy ludzkiej. Nie zatrzymując się przed żadną przeszkodą, nie tracąc odwagi wobec czczych zarzutów, nie przestając iść wiernie za natchnieniem Bożem, dążąc zawsze do celu, którym jest chwala Boża przez rozszerzanie panowania Kościoła Św., przez uświęcenie i normalny rozwój dusz, stworzonych, aby zdążyły zawsze ku wiekiustemu Idealowi, trzeba się zastanawiać nad tem jakimi być powinny cnoty apostoła, przez jakie próby przechodzić musi, jakich radości wewnętrznych doświadcza; słowem czem idea apostołstwa powinna natchnąć serce ludzkie.

A jeśli należymy do tych, którzy, uczuwszy raz w sobie iskrę apostołstwa, dali jej zagasnąć pod wpływem zniechęcenia, jeśli nie pamiętając na łaskę Wszechmocnego, dopuściliśmy na się zwątpienie, że nic się zrobić nie da, to otrząśniemy się z tego, nabierzmy otuchy, wspomnijmy sobie na pokorne słowa Filipa wobec zgłodniałej rzeszy: „Panie, mamy tu pięć chlebów jęczmieniowych i dwie ryby“.

Dość jest oczy otworzyć, by przekonać się, jak niepowstrzymanym jest pochód w świecie, prawdy, sprawiedliwości, i miłości, które stanowią podstawę i szczyt działalności apostołskiej: pochód prawdy, której promienne światło przenika najgłębsze ciemności, pochód sprawiedliwości, której niezem niezwalczona potęga góruje ponad wszystkimi zmiennościami czasów i zwycięża wszystkie zapory, pochód miłości, której pociągająca słodycz tyle cudów działa, obsypując różami wyschłe już nawet krzaki, rodząc kłosa pełne na opustoszałej glebie.

To jedno wystarczy, by dusze nasze podnieść i dać im siły do codziennej pracy w służbie Bożej.

Któż niezna pięknych myśli Lacordaire'a, wyrażonych z powodu napisu na jakiejś bramie cmentarnej w rzymskiej kampanii: „Płacz nad umarłym, bo spoczął“.

Słowa powyższe wyryte u progu przybytku zmarłych, zawierają głęboką prawdę. Lecz jeśli stosują się one do odpoczywających w grobie, o ileż więcej zastosować je można do tych, co odpoczywają w życiu, którzy mając oczy do patrzenia, ręce do roboty, nogi do chodzenia, zamykają oczy, ręce opuszczają beczynnie, żyją bez troski o duszę, bez troski o Boga, wyrzekając się dobrowolnie dołożenia na szalę losów świata swej części, bodaj najdrobniejszej, poświęcenia, ofiarności i cnoty.

\* \* \*

Dzięki Bogu od pewnego czasu młodzież katolicka zaczyna pojmwować tę

rzeczy i kierować się temi zasadami. Działalność katolicka przybiera nową formę; odmłodzenie jej stopniowo postępuje, nowe zastępy stają w szeregu, wodzowie pełni zapału i poświęcenia, budzą nadzieje wspaniałej przyszłości.

Bądź za to błogosławiony o Boże i niech żyją młodzi, którzy chcą walczyć!

Jakżeż to krzyczano wśród nas na młodych, przez większą połowę naszego wieku!

Montalembert i Lacordaire w młodym już wieku zdobyli sobie górujące stanowisko, dzięki swym zdolnościom i energii, ale wogóle młode siły nie miały dostępu do niego.

Trzeba było co najmniej mieć siwiejące włosy, lub galony, by być uważanym za człowieka, którego można użyć do czegoś. Ileż to szlachetnych porywów przedwcześnie stłumiono, ile zmarnowano zapału potrzebnego dla sprawy, nie umiając go spożytkować należycie! Moi rówieśnicy, którzy niestety stracili prawo do nazywania się młodymi i są w tak zwanym średnim wieku, wiedzą dobrze, co ich to kosztowało, że nie czekali aż dojdą do lat w których można zostać senatorem, lecz że już w młodości mieli własne zdanie i głosili otwarcie ogółowi: „Kościół jest moją matką, Chrystus wodzem moim, chcę spełniać obowiązki synowskie i powinność żołnierza“.

Bezwątpienia, człowiek w walce życiowej dojrzewa maralnie i wyrabia sobie zdrowy sąd o rzeczach; dla tego też „młodzi“ powinni szukać światła i nauki, której życie nie zdążyło im dać jeszcze, u tych, — ale u niektórych, nie u wszystkich,—którzy pracowali przed ni-

mi. Ale niechże nas Bóg broni od tych powag, którzy wypisując „doświadczenie“ przez duże D. sądzą że będąc zerem przez lat sześćdziesiąt, posiadli więcej rozumu, niż ci „młodzi“ dzisiejsi. Ileż to najlepszych zamiarów poszło na marne, dzięki tym „mężom doświadczonym“, gorszącym się byle czem, iluż to obiecujących pracowników cofnęło się z drogi w obec ich świętego oburzenia.

Nie należy myśleć, że „młodzi“ mają siebie za mądrzejszych, że są pewni zwycięstwa, których nie odnieśli starsi. Nie, oni poprostu chcą stanąć w szeregu walczących i wykrzyknąć: „I my żołnierzami jesteśmy“. Tylko, że mając już dość tych czczych pompatycznych frazesów, których pusty dźwięk braliśmy zbyt często za siłę, zapytali siebie jakie będą mogli oddać usługi, a ponieważ według pięknych słów ojca Gratry, chcieli „dążyć do prawdy całą duszą“ spróbowali, obliczyć się z sumieniem. A potem uznali, że choćby to ich miało kosztować wiele ofiar, wiele bolesnych poświęceń i wywołać bardzo nieraz ostre starcia, — że mimo to obowiązkiem ich jest, skoro rachunek sumienia uczynili, ogłosić jego wynik.

Bardzo szczęśliwą była forma nadana w kongresach „młodych“ temu badaniu szczeremu i bezinteresownemu: Dlaczego nasz sztandar taki opuszczony? Gdzie są ci, na których liczyliśmy, że nas nigdy nie opuszczą—zawsze walczyć będą za dobrą sprawę? Dlaczego z czasem szeregi nasze rzadnieją, a wielu nawet najlepszych, poznawszy nowe widnokreśli, zwróciło się gdzieindziej? A mają oni niezaprzeczone prawo, ci młodzi lu-

dzie, postawić sobie takie pytania i szukać na nie odpowiedzi. Chory ma prawo badać swoje cierpienie, a badanie to, dokonane dokładnie, pomaga nieraz lekarzowi. — Ci „młodzi“ więc dają nam doskonały przykład, a ponieważ nie zaliczamy się do „czcigodnych“ i „powag“, więc za przykład im dziękujemy.

Wiemy, iż rezultat ich poszukiwań nie był pociągający. Ujrzeni i to bardzo dokładnie, wiele, bardzo wiele słabości, braków i błędów, a co ujrzeni, mówili głośno, śmiało, uważając, że to jedyny środek zaradczy i że zresztą katolicy nigdy nie powinni się lękać prawdy.

Wówczas podniosła się wrzawa która do dziś jeszcze nie ucichła; tem lepiej, to dowód że „młodzi“ mieli słusność: tylko prawda w oczy kłuje. Zresztą czyż można przeciąć wrzód bez bólu.

W ten sposób, Bogu dzięki, oddaliśmy się coraz więcej od tych kongresów katolickich starego typu, rzadkich już dzisiaj, ale które nie zaginęły jeszcze całkowicie, gdzie nie słyszy się nic innego, prócz ogólnikowych deklamacyi na temat złych czasów, zakończonych tymi samemi frazesami, jakimi niegdyś wygrażano rządowi, a dziś wygraża się demokratom, którym jednak to napewne nic nie zaszkodzi.

My jednak odrzucmy raz na zawsze te błędy i idźmy dalej swoją drogą. A jeśli omylimy się czasem, komuż się to nie zdarza? Ci tylko nie narażają się na upadki, którzy nie ruszają się ze swego fotela.

To też badajmy, przygotowujmy rekruta, bądźmy gotowi do walki dziś i jutro. A jeśli wszystkich nie przeko-

namy, jeśli nie wszystkie poglądy nasze zostaną przyjęte, (nie jesteśmy przecież nieomylni) to przynajmniej miejmy nadzieję, że potrafimy okazać dosyć ofiarnego męstwa, aby zasłużyć na szacunek.

W jednym z naszych muzeów znajduje się piękna rzeźba, przedstawiająca rycerza Frémiet.

Człowiek z żelaza w postaci stojącej w hełmie na głowie, w pancerzu i zbroi, ręce ma wyciągnięte, a na wstędze, którą trzyma oburącz, widnieje napis „credo“, wyraz jego przekonań. Takim powinien być nasz ideał. Jak ten szlachetny rycerz, stójmy pośród walk życia pełni wiary, niezłomni i nieskazitelni, waleczni i mężni, jako godni synowie bohaterów. Ramię do ramienia z tymi bojownikami ideału, o których mówi Turgeniew, idźmy drogami naszymi, ze wzrokiem w gwiazdy utkwionym, szukającym wiary, wiary w rzeczy niezmiennie i wiekuiste. By tę wiarę zdobyć, bądźmy gotowi na wszystko; na poświęcenia upokorzenia i walki aż do krwi przelewu. A starajmy się w pogoni za ideałem nie być braćmi Hamleta, marzycielami, analistami, sceptykami mniej lub więcej bezużytecznymi, ale dzielnymi rycerzami, mężami poświęcenia i oddania się bez granic.

\* \* \*

Było to w zaraniu ludzkości.

Kain zabił brata swego Abła.

A pod niebem, zaćmionem chmurami czarnymi, przy zwłokach ukochanego syna klęczała Ewa, cierpiąca boleścią matki, boleścią, którą Bóg jeden tylko ukoić

jest w stanie i wylewała łzy gorące, łzy macierzyńskie, które tylko Bóg osuszyć może:

A Jehowa (niech Imię Jego będzie błogosławione) zawołał Kaina i rzekł doń:

„Kainie, coś zrobił z bratem twoim Ablem, pasterzem trzód“?

A bratobójca podniósłszy głowę, odrzekł:

„Abel? nie wiem, co się z nim stało; żali jestem stróżem jego“?

I Kain został przeklęty.

Rozmyślałem często nad tą straszną sceną, nad zapytaniem Stwórcy i odpowiedzią Kaina.

Obejrzałem się wokoło i spostrzegłem, że wielu ludzi umiera, którzyby żyć powinni: mówię o ciele i mówię o duszy.

Wielu ludzi, braci naszych, synów tego samego Ojca, który jest w Niebiesiach. Kiedyś może Bóg się nas zapyta: co się z nimi stało?

Zapewne, że będziemy mogli powiedzieć: „Panie, to nie ja ich zabiłem“!

Ale Bóg odpowie: „Czy nie ty pozwoliłeś im zginąć“?

I dzień ten może będzie dniem klątwy.

Albowiem pamiętajmy o tem, że nie spełniamy naszego obowiązku, jeżeli poprzestajemy jedynie na roli biernej i na unikaniu złego, a nie staramy się poznać, co moglibyśmy dobrego dokonać.

Idę dalej i twierdzę, że nie spełniamy obowiązku naszego, poprzestając na unikaniu złego i czynieniu dobrze dla nas samych w naszym życiu prywatnym, nie pomnąc, że jest także życie społeczne, w którym mamy bardzo realne obowiąz-

zki do wypełnienia. Czyż nadaremnie i bez celu Bóg złożył w ręce nasze przez Kościół, rozwiązanie prawdziwe, jedynie zbawiające w tych mrocznych chwilach, które przeżywamy, wśród bolesnego przesilenia, w obec rewolucyi, ku której idziemy?

Wszystko na świecie się zmienia.

Postęp w naukach przyrodniczych i zastosowanie ich w przemyśle, przekształcenie, odbywające się w duszach i otwierające im horyzonty dotychczas nieznanne, sprowadziły nowy porządek rzeczy i zmieniły stosunek między członkami ustroju społecznego. A w tym olbrzymim ruchu, który się w łonie naszego społeczeństwa odbywa, czyż godzi się przypuszczać, że mamy prawo stać bezczynnie i pozwalać, by inni zajmowali miejsce, nam od Boga wyznaczone. Jest w tem wielka odpowiedzialność. Nadejdzie dzień, w którym Sędzia Najwyższy zapyta się nas, czyśmy spełnili nasz obowiązek, cały nasz obowiązek, nie tylko jako jednostki, ale także jako członkowie wielkiej ludzkiej rodziny; czy chcąc się zbawić sami, baczyliśmy na to, co było do zrobienia, by zbawić bliźnich, by pociągnąć dusze i doprowadzić je do Boga?

Będzie to może właśnie owa ciężka wina, którą historia zarzuci dzisiejszym chrześcijanom.

„Mieliście za sobą“ (powie ona) „siłę i moc Kościoła, założonego przede wszystkim dla maluczkich, dla ubogich, dla wydziedziczonych i nieszczęśliwych, Kościoła, w którego duchu tyle tkliwości i niewymownej słodyczy. Tem wszystkim mogliście rozporządzać. Dla czegoż właśnie maluczcy, ubodzy i nieszczę-



śliwi, tak mało odczuli ten związek swój z Kościołem, z którym mieliście ich zapoznać, czemu tak mało mieli sposobności zrozumieć, iż w sercu jego pierwsze zajmują miejsce?”.

Jest w tem tajemnica, nad której wytłumaczeniem nie będziemy się zastanawiali, ale jest też i zgorzenie.

I boleść to niezmierna myśleć, że Kościół do pewnego stopnia utracił swoje stanowisko na ziemi, bardziej może przez niedbalstwo swych dzieci, niż przez złość nieprzyjaciół. Kiedyś Sędzia Najwyższy będzie wydawał wyroki potępienia, uważajmy, by nas tym wyrokiem nie objął; trzeba szukać dusz, skoro dusze nas już nie szukają. Miejmy w Świątyniach naszych piękne śpiewy, wspaniałe ozdoby, złotoustych kaznodziejów, ale nie zapominajmy, że to wszystko na nic się nie przyda, jeśli świątynie będą puste, jeśli przed ołtarzem nie będzie nabożnych. Trzeba dotrzeć do ludu i szukać nowych środków, skoro dawne już nie skutkują.

Tak Chrystus Pan czynił.

Nauczał w synagogach, to prawda, — tłómaczył pismo i odkrywał jego myśl tajemniczą, ale przebiegał także Palestynę, dusze po drodze pociągając i nieustrudzony pracownik Boży zarzucał wszędy sieci na połów ludzi. Tam nad błękitnymi wodami jeziora zatrzymywał się wśród prostych rybaków i pomiędzy nimi znalazł najwierniejszych swoich przyjaciół. I po Samaryi chodził i nad studnią siadał w Sychem i ulice miasta świętego przebiegał, docierał aż nad pogranicze Palestyny, a echa słów Jego rozbrzmiewały w Tyrze i Sydonie, — dla

wszystkich zawsze dobry, pełen słodyczy i prostoty. I tak świat został nawrócony i wiemy jak obfite było żniwo tego siewu Boskiego.

Oto nasz wzór. Chrześcijanie, kapłani i świeccy, wyjdźmy z naszej skorupy i w oczach świata bierzmy się do pracy tej chrześcijańskiej, rzucając pełnemi rękoma siew naszego Mistrza. Weźmy do serca całą Ewangelię i zawołajmy głosem wielkim „Misereor super turbam“, nie tylko dla tego, że dusze utraciły wiarę, ale i dla tego, że tłumy nie mają chleba. To nie jest rada, za którą możemy iść albo nie iść, to jest obowiązek, który musimy wypełnić, jeśli nie chcemy zasłużyć na klątwę, jak Kain.

Gdy dzień odpocznienia nadejdzie, a Sędzia Przedwieczny nas zapyta: „Wy wszyscy uczniowie moi, cóżeście uczynili z braćmi naszymi?“ Trzeba by każdy z nas mógł odpowiedzieć: „Panie szedłem ku nim jak Ty; nie czekałem, by do mnie się zbliżyli, ale szukałem ich wszędzie. By im skuteczniej dopomóc, wnikałem w ich materialne i moralne potrzeby, a gdziekolwiek nieprzywajciel chciał postawić stopę, tam ja w Imię Twoje Panie, starałem się go uprzędzić“. I Chrystus otworzy ramiona swoje i serce swoje i przygarnie nas, a aniołowie nas otoczą i zanucą hymn pochwalny: „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“.

## ROZDZIAŁ IV.

### KSZTAŁCENIE LUDZI.

Potrzeba czynu. — Umysłowość człowieka czynu. — Cytaty z Montalemberta. — Leodgard biskup z Antun i rządcą państwa. — Wojna z duchem inicjatywy. — Dla czego tyle dezertów. — Badanie położenia. — Proboszcz który protestuje, jego poglądy na znaczenie Sakramentów św. — To wi-  
na względu ludzkiego. — Proboszcz z Nis.

Chociaż na horyzoncie naszym zbierają się chmury ciężkie, na które ludzie myślący spoglądają z trwogą o przyszłość, to widnieją również, Bogu dzięki, jasne przebłyski i promienie nadziei, które nas bronią od zniechęcenia.

Wolno nam ufać, że nie wszystko stracone i wolno nam liczyć na piękne dni, w pierwszym rzędzie dla tego, że dążenie do czynu objawia się coraz wyraźniej nie tylko między młodymi, jak to wspomnieliśmy powyżej, ale i w całym obozie katolickim; objawia się potrzeba działania, której nie zawsze się udaje zastosować praktycznie, ale która jednak istnieje, jako wybitny rys naszych czasów dla badacza, a pociecha i otucha dla walczących.

\* \* \*

Nie sądźmy, że wystarcza sama tylko  
chęć, by już zostać człowiekiem czynu.

Gdy podziwiamy u wybitnych jedno-  
stek potęgę słowa i czynu nie sądźmy,  
że ją z sobą na świat przynieśli. Gdy-  
byśmy zbadali ich życie i zdali sobie  
sprawę z rozwoju, który ich w ten spo-  
sób urobił, stalibyśmy się świadkami wi-  
doku bardzo zajmującego.

Co przedewszystkiem góruje w lu-  
dziach czynu, to ta potrzeba, którą scho-  
lastycy określają, jako „diffusivum sui“,  
działanie na zewnątrz, przez które czło-  
wiek udziela samego siebie. Jeśli człowiek  
jest dobry, udzielać będzie dobro, jeśli jest  
złym, udzielać będzie zło, ale potrzeba  
udzielania siebie nazewnątrz stanowić  
będzie konieczną potrzebę jego istoty,  
o ile rozwojowi jej nie stanie nic na  
przeszkodzie.

Otóż czego potrzeba, by to udziela-  
nie siebie samego ku ogólnemu dobru  
dało pożądane rezultaty?

Trzeba, zanim się zacznie działać,  
dokładnie zdać sobie sprawę z położe-  
nia. Jeżeli jest nieprzyjaciel i trudności  
do zwalczenia, to przedewszystkiem po-  
znać należy jak wielkie są te trudności i ja-  
ka jest siła nieprzyjaciela; dalej pamiętać  
trzeba, że są prądy które zwalczyć się  
nie dadzą, że dla tego, aby zło pokonać,  
iść trzeba w kierunku działania, a nigdy  
w kierunku reakcyi. Upierać się konie-  
cznie przy tem, co było wczoraj, jest to  
tracić wszelką możność oddziaływania na  
świat dzisiejszy, a temsamem wyrzec  
się nadziei zwycięstwa na jutro. Poraż-  
ka katolickiej działalności w tym stule-  
ciu wynika stąd, że większość przywód-  
ców ruchu nie chciała przystosować się

do nowych warunków. Budowali swoje systemy i plany, opierając je na mniej lub więcej fantastycznych a priori, nie zdając sobie sprawy, że w tych warunkach ich ruchliwość i energia nie przynosiły pożytku i że marnowali nadaremnie prawdziwe skarby poświęcenia. „Nie trzeba, mówił Montalembert, by nas posądzano, że nie umiemy pogodzić się z warunkami wieku wojującego, ani że dla czyich przywidzeń lub dla żalów, choćby naturalnych i uzasadnionych, poświęcamy najbardziej naglące potrzeby czasu, ani nade wszystko, że chcemy świat cofnąć, wprost lub pośrednio do bezpowrotnie minionej przeszłości“.

Jeśli więc chcemy walczyć, to musimy walczyć w warunkach w których walka jest możliwą. Aż nadto widoczne jest, że nie wszyscy to rozumieją, ale niech nas to jednak nie zatrważa. Miejmy odwagę zaliczyć się do małej liczby tych, którzy rozumieją ducha swego czasu, znają jego dodatnie i ujemne strony, tych co idąc ku prawdzie i dobru „całą duszą“, przyjmują na siebie wszelkie następstwa tego dążenia i nie tracą czasu na bezcelowe dyskutowanie. Biograf Leodgarda (późniejszego świętego) Leger, tak się o nim wyraża: „Virilitatem celestis civis, mudus senescens, gravatus vitiis, non valuit sustinere“. Ciekawem jest to wyrażenie: „Virilitatem senescens mundus non valuit sustinere“. Ten świat starzejący się, obciążony grzechami, który nie może znieść dzielności sługi Bożego, przedstawia piękny obraz; niestety, jeśli obraz ten był prawdziwym niegdyś, czyż przestał nim być dziś?

Wielu jest takich, których męstwo

przestrasza i znieść go nie mogą. Niech tylko kto z nas uczyni jakiś krok stanowczy, zaznaczy wybitnie swoją indywidualność i bądź instynktowo, bądź z przekonania opuści utarte drogi i da dowód samodzielności, a już wielu bardzo ludzi spogląda nań z nieufnością. Nie znając go, nie starając się ocenić czem jest, co mówi, czego pragnie, starają mu zewsząd szkodzić i wysilają się przeciw niemu na „czynną“ nienawiść, podczas gdy przeciw nieprzyjaciolom mają tylko nienawiść deklamatorską. Kto wie czy szukając dobrze, nie znalazłoby się na dnie tego wszystkiego starej, niepoprawnej natury ludzkiej, która nigdy ze swych praw nie abdykuje i protest tych którzy śpią, nie pojmując, że inni są tem długim spaniem znużeni. I to właśnie jest wielkiem nieszczęściem naszych czasów. Lepiej doprawdy popełnić czasem jakąś nieostrożność w działaniu niż całą swą mądrość opierać na nieustannej bezczynności.

\* \* \*

Ta bezwładność woli, jakaż to wielka przeszkoda do zwalczenia!

Zapytajmy się tych, którzy starali się puścić coś w ruch, stworzyć jakąś instytucję lub stowarzyszenie. Gdy rzecz już raz wprowadzona w życie to ostatecznie jakoś idzie i dosyć łatwo znajdują się zwolennicy. Ale jeśli w pierwszych początkach potrzeba ludzi silnej woli, jeżeli szukamy w około siebie ludzi inicjatywy, zdolnych do pracy samodzielnej, szukamy zazwyczaj napróżno, jesteśmy samotni, jak na pustyni.

Oprócz nielicznych wyjątków, zawsze tych samych, widzi się w okolo jedynie ludzi bez woli. Wiele przyczyn się na to składa, najbardziej jednak nasz system wychowania.

Zróbmy doświadczenie:

Przypuśćmy, że zatrzymujemy na ulicy stu przechodniów którzy skończyli już nie nasze przygotowawcze szkoły, (niestety zawczasie je tylu opuszcza) ale wyższe pensyonaty klasztorne; stu takich którzy mieli zwyczaj przez ostatnie lata swego pobytu w zakładzie przystępować do Komunii Św. raz na tydzień, dla wielu jest to minimum.

Jak myślisz, czytelniku, ilu się znajdzie takich co zachowali ten pobożny zwyczaj, który od piętnastu do siedemnastu lat stanowił podstawę ich chrześcijańskiego życia a który obecnie byłby im dużo pożyteczniejszy, bo wystawieni są na większe niebezpieczeństwa i liczniejsze mają potrzeby?

Ilu się znajdzie takich, co jeszcze chodzą do Komunii Św. w ważniejsze święta kościelne? Ilu odprawia, choćby, spowiedź Wielkanocną?

Nie ma co się łudzić; rezultat naszego badania byłby bardzo bolesny. Zresztą po co szukać tak daleko; statystyka wykazuje, że od lat kilkunastu połowa kształcącej się młodzieży przechodzi przez ręce nasze. Otóż wystarczy spojrzeć dokoła, by przekonać się, że ani połowa, ani nawet czwarta część naszych młodzieńców w wieku od osiemnastu, do dwudziestu pięciu lat, nie komunikuje na Wielkanoc.

Idźmy dalej.

Pomiędzy tymi chrześcijanami, przechodniami z ulicy, nawet wśród tych, którzy odbywają spowiedź Wielkanocną, ilu się znajdzie takich, którzy znają zasady religii? Którzy,—nie mówię już żeby potrafili odpowiedzieć na wszystkie zarzuty, ale którzyby umieli w kilku zarysach dać syntezę dogmatów katolickich i zasad chrześcijańskiej moralności, w sposób wystarczający dla przeciętnych umysłów? Ilu znaleźlibyśmy posiadających prawdziwe poczucie chrześcijańskie, głęboko przywiązanych do wiary, takich, co nie mieszają jej istoty z praktykami mniej lub więcej faryzeuszowskimi, któremi wielu się zadawalnia; takich, którzyby znali nie tylko ze słyszenia, ducha wyrzeczenia się, poświęcenia i ofiary i we wszystkim szukali chwały Bożej? A przecież to wszystko nie jest jeszcze „sumą“, jakimś szczytem, ale prosto punktem wyjścia dla życia chrześcijańskiego; cóżby to było dopiero, gdybyśmy zażądali świętych?

A jednak wychowanie tych ludzi uchodzi za chrześcijańskie; nauczyciele ich pewno szczerze byli im oddani; dla czegoż więc rezultat okazuje się tak mały? Przyczyna zdaniem naszym tkwi w tem, że w wychowaniu tem bardziej chodziło o wyrobienie chrześcijanina, niż człowieka. Myślano, że chrześcijanin zrodzi człowieka, gdy tymczasem na człowieku powinien być oprzeć się chrześcijanin.

Widzimy skutki tej nieszczęśliwej omyłki.

Dzięki Bogu, niektórzy uratowali się od zatonięcia i są takimi, jakimi ich widzicie pragniemy; zamało ich jednak niestety, oniby powinni stanowić więk-



szość. Dla tej właśnie przyczyny (pomówimy na ten temat obszerniej w innym rozdziale) w naszym programie życia chrześcijańskiego większy nacisk kładziemy na męstwo, niż na posłuszeństwo, w tem przekonaniu, że łatwiej przychodzi męznemu posłuszeństwo, niżeli posłusznemu męstwo. Jeśli posłuszny nie jest silnym, to po jakimś czasie posłuszeństwo niknie a pozostaje słabość. Bóg nie będzie nigdy pomiędzy takimi ludźmi szukał zbawców Izraela.

\* \* \*

Gdy ogłosiliśmy poglądy nasze w naszym czasopiśmie\*), pewien czcigodny kapłan zaszczylił nas następującym listem:

Szanowny Księżę Dobrodzieju!

„Czytałem niedawno artykuł ....., czy pozwolisz, bym się z Tobą podzielił wrażeniem? Dziennikarz poważny, a takim jesteś napewno, lubi dowiedzieć się co o jego artykułach myślą.

„Otóż ten artykuł, podpisany nazwiskiem księdza bardzo dziś znanego we Francji, i o ile mi się zdaje dawnego profesora szkoły, prowadzonej przez księży, zdziwił mnie nie pomiernie. Nawet zgorszył mnie trochę. I ja również byłem profesorem, w małym seminaryum najpierw, następnie w kollegium duchownem, poczem, jako wikaryusz w małym mia-

---

\*) Autor niniejszego dzieła jest redaktorem pisma: „La Justice Sociale“.

steczku, pełniłem jednocześnie obowiązki kapelana pewnego poważnego pensjonatu, utrzymywanego przez zakonników.

„Nie twierdząc, że wszystko było doskonałe w tych zakładach, skądinąd bardzo szanowanych, przyznać jednak muszę, że nie mogę podzielić Pańskiego zdania co do wychowania, pobieranego w szkołach klasztornych, że jak to mówisz, zanadto kładą nacisku na cnoty nadprzyrodzone, a za mało na przyrodzone, że zwłaszcza, narzucają zbyt częstą Komunię Św., co przeciwnie uważam za bardzo, a bardzo słuszne.

„Ilu z czytelników Twoich podzielać będzie moje uczucia?

„Przecież, gdyby młodzież nasza w obecnych czasach szczególnie, nie uciekała się często do tych tak pomocnych środków, tak bardzo potrzebnych i broniących od złego, a które zwiemy spowiedzią i Komunią Św., cóżby się z nią stało?

„Jeśli by biedni nauczyciele nie mieli tej, tak skutecznej pomocy, jaką są praktyki religijne (wcale nie faryzeuszowskie), by kształcić nie tylko chrześcijanina, ale i człowieka, jak autor artykułu żąda, cóżby zrobić mogli? Słyszałem zawsze i to od ludzi bardzo doświadczonych i poważnych, że to właśnie ta religia, ze swemi nadprzyrodzonymi cnotami zwłaszcza, rzeczywiście tworzy człowieka, człowieka czystego w młodości, umiarkowanego i poważnego w wieku dojrzałym, prawdziwie godnego szacunku w starości. Słyszałem także zawsze i zdaje mi się, że to prawda zupełna, że właśnie wypełnianie praktyk religijnych, a nade wszystko uczęszczanie do Sakramentów

Spowiedzi i Komunii Św., utrzymuje w duszach i wzmacnia prawdziwą religię.

„Obecnie, będąc już od kilkunastu lat proboszczem, wierzę, że najważniejszą przyczyną zmniejszania się religijności nie jest niezajomość zasad religii, ale zaniedbywanie jej praktyk, a zwłaszcza Sakramentów Św., zaniedbywanie, płynące czasem z niewiary, częściej z obojętności, powodem zaś niewiary i obojętności są złe książki, obcowanie niebezpieczne, a najwięcej oglądanie się na sądy ludzkie, zaś przyjmowanie Sakramentów Św. jest główną bronią dla zwalczania tych niebezpiecznych wrogów.

„Powiedziane jest dalej, że dużo młodzińców, przywykłych od młodości do przyjmowania Sakramentów Św., opuszcza je później i to łatwo i prędko. To bardzo smutne. Ale o ile prędszej zaniechaliby tego obowiązku, gdyby do niego nie byli wdrożeni od dzieciństwa i od pierwszej młodości. Chciałbym w to wierzyć, że owe cnoty przyrodzone, które według Szan. Księdza bardziej wyrabiają człowieka, niż nadprzyrodzone, że te cnoty utrzymałyby ich na dobrej drodze, ale niestety nie mogą. Zdanie moje stwierdza fakta, na które aż nazbyt często patrzymy. Ale nie chcę iść zadaleko. Czy cnoty te przyrodzone mogłyby w tej mierze przyczyniać się do utrzymania człowieka na dobrej drodze, gdyby nie były wzmacniane przez cnoty nadprzyrodzone, z których właściwie mówiąc, wypływają?

„Tak, powtarzam to raz jeszcze. Na wsiach naszych szczególnie, gdzie wykształcenie religijne wyżej stoi niż w miastach, ludzie grzeszą tysiąc razy częściej

przez bezbożność, zobojętnienie, a zwłaszcza przez względy ludzkie, aniżeli przez nieznajomość religii. Przykazania Boże są, że tak powiem, tak naturalne, a przykazania Kościelne tak wszystkim znane! A zachowanie jednych i drugich, oto wszystko, czego potrzeba, by wyrobić człowieka — chrześcijanina. Nie trzeba było na to aż naszego wieku, wieku demokracji, może idącej trochę zadaleko (z czego jednak poprawić się jeszcze można), by to zrozumieć. Że młodzież nasza, że ludzie nawet wykształceni nie potrafią dowieść prawd wiary filozoficznie, jak św. Tomasz, to możliwe, to pewne, ale żeby ich nie znali, nie umieli ich przedstawić, i do nich zachęcić, zwłaszcza, jeżeli dają dobry przykład, temu nie mogąc uwierzyć!

„Jeszcze słówko! Jakiż jest praktyczny wynik rzeczzonego artykułu? Jak większość artykułów dziennikarskich, a nawet książek napada on, krytykuje, usiłuje prawie burzyć. Ale czemże chce zastąpić to, co zniszczyć zamierza? Powiada, że trzeba tworzyć naprzód ludzi, a potem chrześcijan. To łatwo powiedzieć. Ale pytanie, jak się wziąć do tego, jak oddzielić jednych od drugich?

„Lubię ja dawną zasadę, która uczy, że należy udoskonalać, tworzyć człowieka, czyniąc zeń chrześcijanina. Bez prawdziwych cnót chrześcijańskich jakże człowiek jest marnym!

„Nie potępiając bynajmniej p. Emery, naszego słynnego ziomka, który bardzo słusznie nacisk kładzie na naukę, przypomnę jednak czcigodnego proboszcza z Ars, człowieka małego wykształcenia, lecz wielkiej pobożności, a który zajmuje

pierwsze miejsce w szeregu francuskich kapłanów naszego wieku. Trzeba jednak o ile tylko się da wiarę łączyć z nauką. Obie są dla kapłana potrzebne.

„Niech Ksiądz Dobrodziej łaskawie wybaczy, że tak obszernie piszę i niech Bóg błogosławi wszystkim Jego pracom dla świętej sprawy. Jest to najgorętsze życzenie Jego pokornego sługi“.

X. X.

Odpowiedź na ten list damy w następnym rozdziale.

## ROZDZIAŁ V.

### BRAKI W NASZEM WYCHOWANIU.

Odpowiedź na list proboszcza X... Chrześcijananie i praktykujący.—Wezwanie do ludzi doświadczonych.—Wiara prostaka.—Proboszcz z Ars i Św. Augustyn.—Głośmy cnoty kardynalne.—Nauka św. Tomasza o pokorze i sile.—Kilka uwag o zasadach życia duchowego.—Podwójny prąd mistyczny. — Konieczna ewolucya. — Książka „O Naśladowaniu“. — In dubiis libertas.—Pomagajmy działaczom.—Śiewcy i żniwiarze.

Odpowiedź na list dopiero co przeczytany pomoże nam do jaśniejszego określenia, jak należy wychować człowieka, chrześcijanina, apostoła, by w całej pełni wiernie wykonał obowiązek społeczny.

Szanowny Księżu Proboszczu!

Niech mi wolno będzie przedewszystkiem podziękować za list Wasz tak dobry i uprzejmy. Przywykłem do tak ostrego obchodzenia się ze mną tych co mnie nie rozumieją lub rozumieć nie chcą, że z prawdziwą radością odpowiadam na uwagi i krytykę tak łaskawą co do formy i tak umiarkowaną co do treści.

„Niewątpliwie Szanowny Ksiądz Proboszcz nie należy do liczby tych, co

mnie zrozumieć nie chcą; lecz mimo to mnie nie zrozumiał. Bardzo być może, że moja w tem wina i gotów jestem przyznać się do tego; w każdym razie myślę, że nieporozumienia łatwo się dadzą rozproszyć.

„Po pierwsze, gdzie Ksiądz Proboszcz znalazł, że jestem przeciwny częstej Komunii Św.?”

„Zbyt dobrze wiem jak bardzo sam potrzebuję tej nadprzyrodzonej pomocy, abym ją mógł odradzać. Nietylko jestem zwolennikiem częstej Komunii Św., ale nawet zachęcam do Komunii codziennej, „positis ponendis“, naturalnie, pobożne dusze, które Bóg stawia na mojej drodze. Proszę raz jeszcze przejrzeć mój artykuł, a nie znajdzie w nim Ksiądz Proboszcz tego co mu się wydało że przeczytał, lecz tylko to: „źle czynią ci którzy zadawalniają się wyrabianiem li tylko praktykujących, a ta metoda jest niestety bardzo dziś używana.

„Nie myślę ani na chwilę kwestyonować wyników doświadczenia Księdza Proboszcza, ale inni mają też swoje doświadczenie. Co do mnie, byłem również profesorem, podróżowałem też po różnych okolicach i nieraz miałem sposobność zapytywać dzieci i młodych ludzi po skończonych wakacjach: „Ile razy byliście u Komunii Św. w ciągu roku zeszłego?“—odpowiadali mi na to często: „co niedziela“, — niektórzy nawet mówili, „kilka razy w tygodniu“.

— „A podczas wakacyi ileście razy komunikowali?“. Osiemdziesięciu, lub dziewięćdziesięciu na stu, odpowiadało: „Piętnastego Sierpnia“.

— „I prawie wszędzie dawały się sły-  
szyć takie odpowiedzi, z wyjątkiem kil-  
ku małych seminaryów, kilku, nie wszyst-  
kich.

„Czyż to jest poważne pojmowanie  
rzeczy? co do mnie nie mogę uznać re-  
ligii tak pojmowanej. Wyrobiono prak-  
tykujących, nie wyrobiono ludzi, chrześ-  
cijan! Podaje Ksiądz Proboszcz wzgląd  
ludzki, jako główną przyczynę zaniedby-  
wania praktyk religijnych. Ale czemu  
jest ten wzgląd ludzki, jeśli nie pewną  
odmianą tchórzostwa, jeśli nie brakiem  
tej przyrodzonej cnoty męstwa, której  
wychowanie cieplarniane nie było w sta-  
nie rozwinąć?

„Gdzie też Ksiądz Proboszcz znalazł,  
że nie uznaję cnót nadprzyrodzonych?  
Proszę raz jeszcze przejrzeć mój artykuł.  
Owszem uznaję cnoty nadprzyrodzone,  
ale chcę by te cnoty były na czemś  
oparte. Cóż z budowli choćby najbar-  
dziej nadzwyczajnej, która wisi w po-  
wietrzu? taki budynek przecież natych-  
miast upaść musi!

„Przytacza Ksiądz Proboszcz ludzi  
rozumnych i doświadczonych, ja też po-  
wołuję się na nich.

„Nie szukając daleko, weźmy taki  
przykład: co mówią kierownicy duchow-  
nych seminarjów młodym księżom? Czy  
mówią: Zachowacie się bezpiecznie w za-  
ciszu waszej plebanii, jeśli wiernie wypeł-  
niać będziecie ćwiczenia pobożne jak roz-  
myślania i odmawianie brewiarza, rachunek  
sumienia, Mszą Św. i t. d? Nie, oni wie-  
dzą, aż nadto, że to nie wystarcza. Mówią  
tak: „Bracia, pracujcie, praca was ustrzeże;  
brak tej przyrodzonej cnoty pracowito-  
ści prędko doprowadzi do upadku waszą



pobożność“. Oni więc także chcą oprzeć gmach wiary na cnotcie przyrodzonej i mają słuszość. Nic z resztą nie przeszkadza by intencją podnieść tę cnotę do rzędu nadprzyrodzonych, ale by do tego dojść, trzeba ją naprzód posiadać. I doprawdy więcej ufam młodemu kapłanowi, który umiłował pracę, a może mniej nabożnie odmawia swoje pacierze, aniżeli takiemu, który modli się, jak anioł, ale zamknąwszy brewiarz nic, albo prawie nic nie robi.

„Spójrzmy dokoła. Czem że jest ta nieszczęsna rasa dewotek? (trzeba je odróżnić od prawdziwych chrześcijanek). Ileż z nich komunikuje ciągle: Anioły w kościele—szatani w domu!

„Uczmy młodzież naszą: roztropności, sprawiedliwości, męstwa i wstrzemięźliwości; urabiamy z nich ludzi, a będziemy o wiele pewniejsi, że zrobimy z nich chrześcijan „per visibilia“ (przez cnoty przyrodzone), „ad invisibilia„ (ku nadprzyrodzonym). Powtarzajmy im często, także, dodaję to mimochodem, że jest dziesięć przykazań Boskich, a nie ograniczajmy całej moralności, jak to bardzo często się dzieje, do unikania kobiet i grzechu nieczystego.

„Szanowny Ksiądz Proboszcz więcej wierzy w wykształcenie religijne naszych chrześcijan niż ja.

„Chciałbym i ja w nie wierzyć, ale niestety!...

„Zresztą mógłby się Ksiądz Proboszcz z łatwością przekonać ilu znajdzie się adwokatów, doktorów, urzędników umysłów wykształconych, których w artykule moim miałem jedynie na myśli, którzyby przeczytali Ewangeliję całą, ilu

czytało życie Chrystusa Pana, ilu z pomiędzy nich zna jaki traktat dogmatyczny i moralny naszej religii, a przecie posiadamy doskonale—„ad usum fidelium“.

„A jednak jest to ich obowiązkiem. Wiara nieoświecona może wystarczyć dla ludzi prostych i nieoświeconych, ale niewystarcza dla umysłów wykształconych, które winne są oddać Bogu hołd swej inteligencji; najlepszym zaś sposobem oddania tego hołdu czyż w znacznej części nie będzie zwrócenie inteligencji ku rzeczom Bożym?

„Zapytuje Szanowny Ksiądz Proboszcz jaki ma być wniosek „pratycznie praktyczny“ mego artykułu; zdaje mi się że jest on teraz widoczny. Ten wniosek był zresztą zawarty w samym artykule: wyrabiać ludzi, to znaczy umacniać w nas to, co tworzy charakter, wolę i dla tego przykładać się więcej, niż to zwykle bywa, do rozwijania tych dobrych stron, któremi Opatrzność naturę ludzką obdarzyła. Nie brać cnót drugorzędnych za pierwsze i najważniejsze np. z posłuszeństwa nie robić królowej wszelkich doskonałości, ale każdej zostawić właściwe miejsce. Słowem iść za teologją, która kardynalnemi zwie cztery wielkie cnoty powyżej wymienione, bo one są podstawą innych, bo jak wskazuje etymologia ich nazwy — na nich obracają się wrota, wiodące do cnót innych.

„Co się zaś tyczy świętobliwego Proboszcza z Ars, którego Ks. Proboszcz przytacza, to pozwolę sobie powiedzieć, że prawdopodobnie przesadzono jego nicość umysłową; wystarcza przeczytać jego żywot, by się o tem przekonać; chyba że wprost od Boga wiedza zosta-

ła mu wlaną, co zresztą, jest możliwe wobec wysokiej jego świętobliwości. Jakkolwiek bądź jednak, i pomijając ten wzgląd że większość chrześcijan liczyć nie może na to że osiągnie tej wyżyny gdzie cud zastępuje wykształcenie, jestem przekonany, że gdyby Szan. Ks. Proboszczowi dano do wyboru między umysłem prostym błogosławionego Ks. Vianney, a rozumem i wykształceniem św. Augustyna Św. Tomasza, lub Św. Bonawentury, (że tylko tych kilku wymienię) nie długo by się wahał i wołałby zapewne stać się podobnym do tych ostatnich, na większą chwałę Bożą.

„Oto moja odpowiedź. Czy wyświeciła dostatecznie sprawę? Nie wiem, ale przynajmniej dała mi sposobność do szerszego rozwinięcia mojej myśli. Dziękuję zatem za łaskawe napisanie do mnie i to w sposób tak koleżeński, a polecając się Jego modlitwom, łączę wyrazy wysokiego szacunku“.

\* \* \*

Pomimo iż nie mam zamiaru całkowicie zgłębiać ten przedmiot, pozwolę sobie jednak powiedzieć jeszcze słów parę z punktu widzenia mniej dotąd uwzględnianego.

Tak, przyznajmy, w wychowaniu naszym i w wyrobieniu człowieka wewnętrznego zaniedbywano zanadto cnoty naturalne, zajmując się prawie wyłącznie cnotami nadprzyrodzonymi. Wznoszono gmach w powietrzu, zapominając że przed wzniesieniem murów, trzeba gruntownie założyć fundamenty. To właśnie mieliśmy na myśli, mówiąc że wyrabiamy „praktykujących“, a nie ludzi i chrześcijan.

Szanowny nasz korespondent wspominał o ks. Emery. Autor Żywotu tego znakomitego kapłana opowiada, że jednego razu, pewien ksiądz przyprowadził do niego ucznia o którym sądził że ma powołanie do stanu duchownego.

— Wprawdzie, mówił, mój protegowany niema bardzo tęgiej głowy, ale za to jest bardzo pobożny i pełen głębokiego ducha wiary.

— No tak mój bracie, odrzekł ks. Emery to wszystko dobre na razie, ale po jakimś czasie pobożność znika, a ludzkie zwierzę zostaje. Nie przyjmę go.

— I miał słusność.

\* \* \*

Często w kościołach naszych gloszą kazania o posłuszeństwie, i pokorze.

Piękne to cnoty, Pismo św. zaleca je na każdej niemal stronie. — Święci mają dla nich cześć szczególną i kochają je całym sercem. Ale czy kaznodzieje mają słusność utrzymując, a przynajmniej dając nam do zrozumienia, że pokora i posłuszeństwo winny zajmować pierwsze miejsce w życiu chrześcijańskim, że przewyższają inne cnoty i to do tego stopnia, że nawet — tu cytują autora — wszystkie inne powinny niknąć w ich blasku promiennym. Otóż, choćby się miały gorszyć dusze „niewinne“, nie godzimy się na to.

Teologia uczy nas, że są cztery cnoty teologiczne t. j. cztery cnoty, które mają Boga za przedmiot, a za punkt wyjścia jedną z doskonałości Jego: są to, wiara nadzieja, miłość i męstwo wyznawania wiary. O tych czasem mówią kaznodzie-

je. Ale dobrze jest przypomnieć, że jak uczy teologija, są prócz tego cztery cnoty kardynalne, bez których równowaga wewnętrzna nie istnieje. Te cnoty: roztropność, sprawiedliwość, męstwo, wstrzeźliwość, porównywiają do czterech olbrzymich podstaw, na których spocząć mają fundamenty wielkiego gmachu, który Bóg kazał nam wznosić w naszych duszach dla Jego chwały.

Dla czego nigdy a przynajmniej prawie nigdy się nie mówi o tych cnotach? Czy nie należałoby i niemi się zająć czasem? „Człowiek, mówi Sw. Tomasz\*) stworzony jest do osiągnięcia wielkich rzeczy, których doskonałość i piękność zachwycają jego umysł i porywają wolę. Stąd też dwojakie uczucie w duszy ludzkiej: z jednej strony obawa, wahanie, a nawet rozpacz na widok przeszkód stojących na drodze do osiągnięcia tych rzeczy; i aby to uczucie zwyciężyć, Bóg daje człowiekowi cnotę wielkoduszności, która go podnosi, wzmacnia, posuwa naprzód i nakłania by dążyć do tego, co w granicach prawego rozsądku jest pięknem i szlachetnem. Drugi znów popęd jest pełen porywów, zapału, ambicyi i może zaślepić człowieka, pchając go bez pomiarowania do celu jego pragnień; przeciw tym porywom Bóg daje człowiekowi cnotę pokory, która miarkuje w nim żądzę wielkich rzeczy znowu w granicach prawego rozsądku.

W ten sposób, kończy znakomity doktor Kościoła, wielkoduszność wynosi duszę na szczyty w granicach roztropności.

---

\*) Summa theol II·a II·ae 161.

Wynika więc z tego, że wielkoduszność bynajmniej nie wyłącza pokory, ale że te dwie cnoty się łączą w tym właśnie punkcie, że jedna i druga podlega roztropności i prawemu rozsądkowi.“

Św. Tomasz więc uważa pokorę jako cnotę drugorzędną. Powracając w V-ym rozdziale do tegoż przedmiotu i wyznaczając każdej cnotie miejsce, dodaje: — „Po cnotach teologicznych i — po sprawiedliwości prawnej, pokora jest najpierwszą z cnot“ — (*excellantissima et potissima*). Pierwsza zatem po cnotach teologicznych oraz po sprawiedliwości prawnej, tej sprawiedliwości, którą my demokraci nazywamy sprawiedliwością społeczną, a o której większość kaznodziei nie wspomina nigdy, jak gdyby zupełnie nie istniała.

Boże zachowaj, abyśmy mieli ganić pokorę i posłuszeństwo. Dość chrześcijanowi wejść w siebie, aby się przekonać jak pycha toczy i podkupuje duszę dość człowiekowi poważnemu rozejrzeć się w około by zrozumieć jak bardzo nasz biedny świat potrzebuje pokory. Ale chrześcijaninowi i światu nie tego jedynie potrzeba. Nie nad tem ubolewamy że nam mówią o posłuszeństwie i pokorze, ale nad tem, że niemal jedynie tylko o tem mówią że usuwają w cień cnoty pierwszorzędne, cnoty niezbędne do naszego odrodzenia indywidualnego i społecznego.

Niejednemu się wydaje że wszystkie kwestye rozwiązał, gdy powiedział: „Pokora jest podstawą naszego życia duchowego.“ Otóż twierdzenie to jest zupełnie niedokładne. Teologowie uczą nas, że pokora jest jedną z potencjalnych części cnoty wstrzemięźliwości, a św. Tomasz

po postawieniu sobie pytania które nas w tej chwili zajmuje odpowiada po prostu,\*) że pokora usuwa pychę i otwiera tym sposobem dostęp łasce. A to przecie zupełnie co innego.

Żołnierz, który strzeże miejsca, gdzie wznoszą redutę — nie stanowi jeszcze jej fundamentu; przydać się może do odparcia wroga, fundamentem jednak nie jest; i tylko w przenośni, secundum hoc, mówi dalej ten święty Doktor, można nazywać pokorę podstawą duchowej budowy. Tak więc dochodzimy wraz ze św. Tomaszem do następującego wniosku: „Jak doskonałość wyższą jest niż usposobienie do niej, tak miłość i inne cnoty, które dają człowiekowi bezpośredni impuls ku Bogu, przewyższają pokorę.“

Naturalnie, znajdują się tacy którzy spróbują zwalczać nas przy pomocy szeregu cytat ustawionych jak wojsko w bojowym szyku, pragnąc nas zmiażdżyć zupełnie; ale to nas nie bardzo wzrusza, a nawet zupełnie nie—i owszem, w dalszym ciągu utrzymywać będziemy że dobrze jest stosować się do wskazówek zawartych w teologii gdy, chodzi o ocenienie niektórych metod życia duchowego.

Gdy się studyuje Ojców Kościoła i porównywa ich metodę z metodą większości (mówimy większości nie wszystkich) doktorów i wielkich opatrnościowych Świętych, musi się zauważyć, że odnośnie do wyrobienia dusz, rozróżniamy w Kościele, jakby dwa prądy. Prąd, który nazwiemy czysto katolickim t. j. powszechnym, to

---

\*) Loc. cit. Ad secund.

prąd Ojców Kościoła. Przebiega wszystkie czasy i przestrzenie, niewyczerpuje się nigdy i ożywia i użyźnia wszystkie role; jest to rzeka szeroka i wspaniała, która dostarcza obficie wody całej ludzkości. Obok tego widzimy prąd który nazwalibyśmy czasowym i narodowościowym: jest to prąd doktorów, wielkich założycieli zakonów t.j. Świętych Opatrznościowych. To już nie rzeka, to potok, a czasem nawet tylko strumień. Bez wątpienia, woda ta pochodzi z jednego i tego samego źródła, ale płynąc przez pewne tylko pokłady gruntu, nabrała właściwego zabarwienia i smaku właściwego, zastosowując się w ten sposób do potrzeb oznaczonego czasu i kraju. Nie podając tej różnicy, za bezwzględnie prawdziwą i nie posuwając jej do ostatecznych granic, mamy jednak przekonanie, że w głównych zarysach nasz sposób widzenia rzeczy jest zgodny z prawdą.

Dość z resztą przeczytać historię Kościoła, by się przekonać jak wielka zachodzi różnica w sposobach kierowania dusz w tej lub innej epoce.

Proszę przejrzeć regułę Św. Franciszka i regułę św. Ignacego: wszystko w nich różne, prócz wielkich głównych zasad i jest rzeczą oczywistą, że ci dwaj mężowie, którzy nie tylko byli świętymi ale i genialnymi świętymi—pisali tak różnie tylko dla tego, że zostawali pod wpływem potrzeb swoich czasów i chcieli na swe czasy oddziaływać. Dla tego to Bracia Mniejsi mieli tak potężny wpływ w XIII wieku, dla tego Jezuici rozwinęli w XVI tak wpływową działalność w Kościele Bożym.

Wiedząc o tem, czyż nie powinniśmy się obawiać, by prąd narodowościowy



i przejściowy nie dał nam zapomnieć o tym drugim prądzie i by nasz sposób wyrobienia się duchowego nie zamknął się w zbyt ciasnych ramkach już nieodpowiadających potrzebom czasu. Na tem to polu przede wszystkim strzedz się należy „szybkości nabytej“ i uważać, by nas za daleko nie uniosła.

Że na skutek walki którą wszczął Protestantyzm i Janseniści, a która się ciągnęła przez dwa stulecia, konieczną było rzeczą przeciwstawić pokorę nieokiełzanej pysze rozumu, a posłuszeństwo, samowoli pustelników z Port Royal, nawet kosztem innych cnót chrześcijańskich, to nie wynika z tego, by taki stan rzeczy miał trwać zawsze, i by nasz system mimo zmiany okoliczności miał zawsze pozostać jednakowym. A to bynajmniej nie w celu niszczenia, ale by rzecz każdą postawić na właściwem miejscu i szczególnie rozwinąć cnoty najbardziej w naszej epoce potrzebne.

Być może, że nam dziś więcej potrzeba męstwa niż pokory. Nie żeby pokora nie była cnotą niezbędną zawsze i wszędzie tak nam jak ojcom naszym, tylko że kiedy ojcowie nasi szukali męstwa w pokorze, my powinniśmy może pokory szukać w męstwie. Być może, że wczoraj wystarczało być pokornym; dziś to już nie wystarcza: potrzeba jeszcze działać, prosząc zarazem Boga o łaskę, by działać pokornie. Z tego punktu widzenia, możnaby się zapytać, czy istotnie „O Naśladowaniu Chrystusa“ ma w epoce naszej tak dodatni wpływ na dusze, jak to powszechnie utrzymują? Naturalnie, że niektórzy będą uważać to za bluźnierstwo i zawołają: „Przecież to najpiękniejsza

książka jaka wyszła z rąk ludzkich, albowiem i t. d. „Ale to niewystarcza, aby nas przekonać. Uważamy że ta bardzo piękna książka odznaczająca się w wielu ustępach bardzo subtelną i przenikliwą znajomością duszy ludzkiej, prowadzi jednak nie raz do zupełnego zniweczenia indywidualności ludzkiej i że zbiór maksym zebranych i ułożonych przez zakonnik z czternastego wieku dla innych zakonników, nie może być „Księgą“ społeczeństwa które ani pod względem wychowania, ani pod względem ducha i sposobu życia niema w sobie nic zakonnego. Co do nas, spotykaliśmy dusze, którym ona nie była w stanie odpowiedzieć.

„Podzielam w zupełności to zdanie,“ pisał do mnie kiedyś pewien kapłan, dawny profesor; sam bardzo lubię „Naśladowanie,“ takie to słodkie, czyste, kojące. Gdy się jest zrozpaczonym wskutek niesprawiedliwości ludzkiej lub nieprzewidzianego niepowodzenia, dobrze jest wsłuchać się w tę pieśń pokoju. Gdy się jest zmęczonym ciężką pracą która się nie wie, wtedy miło ukryć się gdzieś samotnie z tą książką tak słodką, tak anielską. Ale to nie jest dzieło kompletne i nie trzeba zeń robić fetysza. W czasach, kiedy czujemy jeszcze siłę do walki, wtedy gdy wiemy, że na przekór trudnościom można, a zatem i należy jeszcze działać, to nie tej książki radzić się będziemy, bo słabość nasza uległaby złudzeniu i porzucilibyśmy rozpoczęte dzieło aby się pogрузić w kontemplacyi dobrej zapewne, ale może także bezpłodnej.

Myślę, że wielu podzielałoby to przekonanie, gdyby w umysłach i sercach katolickich nie było pewnej tchórzliwości.“

Niechże więc nam nikt nie wkłada w usta tego, czego nie mówimy. Byłoby to rzeczywiście nie zrozumieniem nas, gdyby kto twierdził że gardzimy „Naśladowaniem“ — tą książką tak przedziwnie piękną, którą cenimy bardzo wysoko. Nie idzie o to czy „Naśladowanie“ może mieć dobry wpływ: co do tego niema dwóch zdań, ale o to czy „Naśladowanie“ jest rzeczywiście „Księgą“ naszego społeczeństwa, czy dzieło to pobudza, czy nie pobudza do czynu. Niektórzy twierdzą że nie, a ponieważ Kościół nic w tym względzie stanowczo nie orzekł, więc korzystamy z tej wolności i jesteśmy tego samego zdania.

Zresztą nie mamy zamiaru narzucać naszych przekonań, mogą one razić niejednych, gdyż nie zgadzają się z powszechnie przyjętymi zapatrywaniami; a my przecie nie rościmy sobie prawa do nieomyślności; prosimy tylko czytelników naszych by nie potępiali ich przedwcześnie, nie rozważywszy poprzednio.

## ROZDZIAŁ VI.

### Z POWODU „KLERYKALIZMU.“

Zdanie Gambetty. — O klerykalizmie. — Portret klerykała. — Klerykał nieumie zrozumieć. Dawna piosenka. — Bezwzględność i głupota. — Epizod z walki religijnej. — Walka o Szkołę. — Potrzeba rachunku sumienia. — Teza i hipoteza. — Duch sekciarski. — Nauczyciele świeccy. — Okólnik ministeryalny. — Prawo „nikczemne“ — Błąd taktyki.

Aby apostołstwo nasze było skuteczne, powinno odznaczać się szerokością poglądów, a wzniosłością uczuć wznieść się wysoko ponad małostkowość, którą tak często spotykamy.

Gdy dwadzieścia lat temu Gambetta, chcąc w paru słowach zamknąć program działania pewnej partji wydał znany okrzyk wojenny „klerykalizmo wróg!“ — wszystko przemawia za przypuszczeniem, że były dyktator nie odróżniał klerykałów od katolików; dla tego też katolicy słusznie zaprotestowali energicznie.

Od tej chwili czasy się zmieniły. Jakikolwiek znaczenie nadawali wówczas republikanie słowom swego wodza, dziś można przyznać, że w słowach tych była część prawdy, boć klerykalizm różni się bardzo od katolicyzmu, którego nie jest nawet naśladownictwem. Wielu starało

się określić ściśle, czem jest klerykalizm, ale napróżno. Zresztą, jak zauważył Donoso Cortes, jestto wogóle los terminów abstrakcyjnych, kończących się na „izm.“ Oprócz Katolicyzmu, który posiada władzę bezwzględnie kierującą, ściśle dogmatykę, zasady moralności ujęte w kodeks, wszystkie socyalizmy, radykalizmy, oportunisty, filozofizmy, materyalizmy, rayonalizmy, spirytualizmy i t. d. są prawie nie do zdefiniowania. Łatwiej jeszcze możnaby skreślić wizerunek klerykała, bo to typ, który z różnemi odmianami znajdziemy wśród wyznawców wszelkich opinii we wszelkich partyach.

Nie trzeba bowiem koniecznie być wyznawcą jakiejś religii aby zasłużyć na to miano. Pan Homais (cień jego pewno się zarumieni od wstydu) był nawskroś klerykałem, a ogrodnik Troupenard czerwony republikanin, z zajadłością ścinający „korony cesarskie“\*) w swoim ogrodzie podlegał tej samej chorobie.

„Klerykał“ to w gruncie niezły człowiek ale ciasnego umysłu. Nie widzi nic, niechce nic widzieć, nie poznać poza widnokretem, swego umysłu i poza kołem zwykle bardzo ciasnem, w którem się obraca.

„Klerykał pobożny“ októrego tu głównie idzie, a którego zbyt długo nie odróżniano od katolika, przedstawia się jako odmiana tego gatunku. Poznać go łatwo po tem, że z trudnością przyznaje dobrą wolę tym, którzy się z nimi różnią w poglądach. Nie rozumie, i pojąć nie chce różnicy, jaka zachodzi między jego umy-

---

\*) Kwiaty zwane po francusku „impériales.“

słowością, a umysłowością tych, którzy wzrosli i wychowali się w innych niż on warunkach. Dla niego każdy pisarz, który powstaje, już nie przeciw jego wierzeniom ale choćby przeciw pewnym przesądom niemądrze podniesionym do wysokości zasad, jest już z pewnością człowiekiem złej woli; każdy prawodawca, który głosuje za jakimś projektem szkodliwym dla katolicyzmu jest napewno sekciarzem godnym niezwłocznego spalenia na stosie. „Klerykał“ jest przekonany że wszyscy ulani być muszą na jedną modłę, najego modłę, która jest najlepszą. Nie pojmuje co się dzieć może w duszy człowieka o życiu surowem, jakim był np. Littré. Gdy człowiek taki myli się lub błądzi, klerykałowi więcej idzie o to by mu dokuczyć, niż by mu wskazać drogę właściwą. Rzuca przekleństwo na grób Taina, bo Taine umierając kazał przywołać pastora, a nie pomyśli że w czynie tym był może wysiłek duszy, szukającej prawdy.

Zatrzymać się w połowie drogi, skoro się dąży do światła, to bez wątpienia nieszczęście, ale jeśli dla przebycia tej połowy drogi trzeba było, zrzekłszy się długo bronionych pojęć, przyznać się otwarciu do błędu, wtedy zasługa staje się bardzo wielka, a jeśli jest błąd, to sam tylko Sędzia Przedwieczny ma prawo go potępić.

Ale „klerykał“ protestuje.

Dla czegoż ci ludzie nie starali się lepiej się oświecić? Dlaczego nie czytali naszych ksiązek, czemu, choć przez ciekawość, nie słuchali nauk w kościele?

Niestety, odpowie na to katolik, — i w tem właśnie widać różnicę dwóch systemów, — czyż jesteś pewny, że oni

nie starali się o to i czy pewne rzeczy, które widzieli i słyszeli w kościołach naszych nie zraziły ich! Prawda, że te rzeczy dotyczą tylko zewnętrznej strony Religii, ale nieraz przedstawiane są tak niezgrabnie, tak mieszane z treścią jej, że umyśły mało przygotowane lub źle uprzedzone nie mogą jednego od drugiego odróżnić. Czyż wiesz czy niektóre książki równie słabo pomyślane, jak niezdarnie napisane, a mimo to wszędzie polecane, niewyrobiły w nich niekorzystnego pojęcia o naszej religijnej umysłowości, lub czy niektórzy kaznodzieje nazbyt fantastyczni tak co do formy, jak co do treści, a mimo to bardzo sławni, nie odebrali im raz na zawsze chęci do uczęszczania na kazania? „Klerykał“ tego nie rozumie. Dla obrony swych przekonań religijnych klerykał zna jeden tylko sposób, sposób hałaśliwy: trzeba krzyczeć, w tem zawiera się wszystko. Zarzucano niektórym katolikom, że obok Kościoła tryumfującego, Kościoła wojującego i Kościoła cierpiącego, stworzyli jeszcze czwarty Kościół „śpiący.“ „Klerykali“ za to stworzyli „Kościół krzyczący.“

Jak ci żołnierze w operetkach, którzy wymachują ogromnymi mieczami i wołają: „Idźmy, idźmy“ a krokiem się nie ruszą, tak też i ludzie tej kategorii krzyczą ciągle, a nie ruszają się nigdy.

„Klerykał“ śpiewa zawsze dawną piosnkę: „Jest nas trzydzieści sześć milionów katolików, a dajemy się gnębić i t. d....!!“ Napróżno go będziesz przekonywał, że mówi głupstwa, że niemowlęta, dzieci w ochronach, uczniowie w szkołach, chorzy w szpitalach, obłąkani w zakładach żołnierze i wielu innych, którzy przecież są katoli-

kami, bo są mniej więcej ochrzczeni a tworzą pokaźną liczbę w tych 36 milionach, niemogą iść w rachubę; napróżno będziesz mu tłumaczył że większość ludzi chociaż w ważnych okolicznościach życia zwracają się do Boga, co dowodzi, że w gruncie są chrześcijanami, w rzeczywistości jednak bardzo obojętnie patrzą na ucisk Kościoła, zachowują się w obec tego ucisku zupełnie biernie, „klerykał“ nie zwraca wcale uwagi na te argumenty. Można być pewnym, że przy pierwszym zaraz spotkaniu rozpocznie znowu swoją zwrotkę: „36 milionów“ To już jego zakres po za który nie wyjdzie nigdy.

I trzeba ustąpić, bo jeśli będziesz mu zaprzeczał, to cię będzie uważał za tchórze, może za deztertera lub za nieszczęsnego odstępcę.

W walce o ideę albo o instytucje religijne, „klerykał“ zawsze ma swój plan; otóż nie tylko musimy uważać ten plan za dobry, ale za najlepszy, inaczej będziemy zmieszani z błotem i ukamienowani bez miłosierdzia.

„Klerykał“ nie przebacza nigdy. Ma swoje zdanie, ale nie przypuści na chwilę by kto inny miał także swoje. Dość myśleć; inaczej, niż on, by zostać w jego oczach podłym i nikczemnym. I ten nieposzlakowany mąż po całym mieście rozpowiada, np. że pan X. działa pod gwałtownym naciskiem; że ks. Y. chce zostać biskupem, a do tego pióro swe zaprzedał ministerjum; wymienia nawet sumę, a zwykle bywa to sto tysięcy franków.

Nie tylko stron kilka, ale książkę całą trzeba by na ten temat napisać.

Dowiedlibyśmy bez trudu, jak zgubnym jest wpływ „klerykała.“ — Zniechę-



cając umysły rozsądne między swymi, uniemożliwiając łączność z umysłami umiarkowanymi z obozu przeciwnego, wpływ ten był jedną z głównych przyczyn przegranej naszej w ostatnich dwudziestu latach.

I dla tego to (dziwny to doprawdy wniosek) Gambetta, nie wiedząc sam o tem, dawał dobrą radę katolikom: i kto wie, czy nie uniknęlibyśmy byli wielu nieszczęść, gdybyśmy byli chcieli skorzystać z jego słów: „klerykalizm, oto wróg.“

\*  
\*  
\*

Jednym z epizodów walki religijnej, gdzie między żądaniami bardzo słusznymi, których wymagało sumienie, wynurzał się mniej lub więcej silnie, jednak zawsze bardzo wyraźnie powyżej opisywany duch „klerykalizmu“—to była kwestya szkół.

Z pewnością nikt od nas bardziej nie potępia złej zasady tworzenia szkoły bez Boga i nikt nie czuje więcej gotowości do walki przeciw masonom i ich pomocnikom, dążącym do tak zwanego „sekularyzowania szkół.

Ale w tej walce, którą katolicy prowadzili z podziwu godną bezinteresownością i wytrwałością, były też pewne błędy, które należy przypomnieć by w nie powtórnie nie popaść. — Zresztą po każdej walce, jak po każdej bitwie, mamy prawo, a często obowiązek — szczególnie gdy chodzi o sprawy pierwszorzędnej wagi, zastanowić się czy walka ta była dobrze prowadzoną. Żołnierze mogli jaśnieć odwagą i poświęceniem, a jednak walka mogła się nie powieść i zakończyć się porażką.

Byłoby więc bardzo źle, gdyby w czasie kiedy walka ciągle się toczy w obrocie praw Boga i Kościoła, szermierze nie mieli zadawać sobie pytania: „Azali postąpiliśmy dość rozważnie? — Czyśmy użyli najlepszych środków, by zapewnić zwycięstwo sprawie Boga i Kościoła złożonej w nasze ręce? I czy w razie podobnych wypadków, należy nam działać tak samo?“

Dlaczegożby katolicy, obowiązani każdy z osoba do rachunku sumienia z własnych czynów mieli być zwolnieni od obrachunku zbiorowego? Czyż można przypuszczać, by obowiązek ich ograniczał się do powtarzania bez końca: „sanctus, sanctus, sanctus, zawsze wszystko spełnialiśmy doskonale?“

W ten to sposób przygotowują się przyszłe nieszczęścia, a może nawet oddała się łaskę Bożą obiecaną pokornym.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie twierdzę, że szkoły bezwyznaniowe stoją wyżej lub narówni ze szkołami katolickimi. Nie ganię tych, którzy założyli lub zakładają szkoły od rządu niezależne. Nie uważam za postęp tego, że nauczyciel nigdy nie wymówi Imienia Boga, ani utrzymuje, że szkoły rządowe odpowiadają wszystkim naszym wymaganiom.

Daleki jestem od tego.

Idzie tylko o to by sobie zdać sprawę z rzeczywistości.

Trzeba sobie powiedzieć: „Oto jest obecny stan rzeczy, którego na razie odmienić nie możemy. Jak mamy działać aby zmieścić w granicach możliwości grożące nam niebezpieczeństwo?“ Bo jeśli istnieje teza, która jest ideałem,

istnieje nieszczęściem i hipoteza, która jest rzeczywistością.

Wiem doskonale, że Apollo Belwederski ma głowę nieskończenie lepiej ukształtowaną niż moja, mimo to na własną głowę mierzę kapelusz, gdy go kupuję. Czyż było rozsądnem nazajutrz po uchwaleniu prawa szkolnego, przybierać zaraz wrogą postawę? zrywać z nauką publiczną, zrywać wszelkie stosunki z personelem szkolnym i kazać nauczycielom i nauczycielkom z których wielu jest bardzo zacnych i wcale nie „sekcjarzy,” dzwigać odpowiedzialność za prawo, które nie od nich wyszło, a któremu nie jedni poddali się z niechęcią?

Wiem, że w pośród nauczających wielu mamy niechętnych i nie jeden gotów byłby powiesić księży, gdyby mógł. Ale, mój Boże! czyż wielu katolikom niemożnaby tego samego zarzucić? Czyż nie mamy takich którzy z miłą chęcią upiekliby na rożnie, księży demokratów? A tymczasem znieważają nas i spotwarzają. Od tych sekciarzy niejeden woli bezbożników; ci przynajmniej potępiają otwarcie.

Nazajutrz po ogłoszeniu prawa szkolnego, okazała się widoczna konieczność zakładania szkół katolickich. Ale zamiast przy zakładaniu ich powoływać się na konieczność walki, byłoby zręczniejsz powołać się na prawa wolności. Zamiast wołać: „Podłe prawo, szkoły bezbożne!” zamiast odstręczać od nas wierzących jeszcze nauczycieli i nauczycielki — przypuśćmy nawet że ci stanowili mniejszość, ale bądź co bądź byli jeszcze — byłoby zarazem i zręczniejsz i bardziej po chrześcijańsku nie gasić zarzewia, które jeszcze tliło. Bo

zarzewie to tliło jeszcze nietylko w sercach nauczycieli i nauczycielek, ale w samym nawet prawie. Błędem, powiedzmy nawet, zbrodnią prawodawcy, było wyłączenie wszystkich członków kongregacji zakonnych od nauczania publicznego — a to, jak się chyba nie da zaprzeczyć — w celu wyłączenia zarazem ze szkoły Kościoła i Ewangelii Chrystusowej. Gdybyśmy wtedy podnieśli protest w tej sprawie lub w sprawie wyłączenia katechizmu, nie ogłaszając jednak nauczycieli i nauczycielki za ateuszów, a szkół ich za kuźnie bezbożności, byłibyśmy w swem prawie i byłoby nam łatwiej znaleźć tymczasowy *modus vivendi*, zanim stosunki się nie polepszą. W tych warunkach, jesteśmy przekonani że uspokojenie, które się daje uczuwać, przyszłoby było wcześniej\*).

Iluż się znajdzie między czytelnikami naszymi, którzy piorunowali ustnie, lub piśmiennie przeciw prawu szkolnemu nie zaznajomiwszy się z niem nigdy?

W rzeczywistości, w samym prawie niema ani słowa któreby zakazywało mówić o Bogu.

W okólnikach ministeryalnych z roku 1881 i 1883 znaleźć można, dla personelu nauczycielskiego przepisy, które ponieważ nie zostały odwołane, zachowały dotąd całą swą wartość.

„Nauczyciel, mówią te przepisy, nie jest obowiązany *ex professo* do wykładów o przymiotach Bożych. Nauka, którą podaje wszystkim bez wyjątku, ograniczać się powinna do tych dwóch zasad: prze-

---

\*) Dzieło to zostało wydane przed ostatniemi i prześladowaniami religijnemi we Francji.

dewszystkiem nauczyć uczniów by lekko-  
myślnie nie wymawiali Imienia Bożego,  
następnie starać się by w umysłach  
ich ściśle zjednoczyć pojęcie najpierw-  
szej przyczyny i Istoty Najdoskonal-  
szej z uczuciem czci i szacunku i przyzwyc-  
czając do otaczania szacunkiem każdego  
pojęcia o Bogu, chociażby ono wyrażone  
było inaczej niż je wyraża własna ich  
religija. Następnie, nie zajmując się prze-  
pisami właściwymi różnym wyznaniom,  
i nie przywłaszczając sobie praw księ-  
dza, ani też ojca rodziny, nauczyciel do-  
pomagać im powinien by dziecko wy-  
chować na ucziwego człowieka. Nacisk  
kłaść powinien na obowiązki które ludzi  
łączą, a nie na dogmaty, które ich roz-  
dzielają.

„Nauczyciel unikać powinien, jak zle-  
go czynu wszystkiego, coby w jego mo-  
wie lub zachowaniu, urażało przekonania  
religijne dzieci mu powierzonych; wszyst-  
kiego, co by mogło ich umysły zaniepo-  
koić lub zdradzić brak szacunku dla ja-  
kiegokolwiek przekonania.

„Gdyby nauczyciel miał wątpliwość,  
jak daleko wolno mu dojść w nauczaniu  
nowoczesnem, oto praktyczna wskazów-  
ka, której się trzymać może: Kiedy  
podaje uczniom jaką zasadę lub radę,  
niech zapyta siebie, czy który ojciec  
rodziny, chociażby jeden tylko, gdyby się  
znajdował na wykładzie, mógłby z do-  
brą wiarą nie zgodzić się na jego nau-  
czanie. Jeśliby tak być miało, niech się  
wstrzyma od wypowiedzenia tej zasa-  
dy lub rady. Jeśli zaś nie, niech mówi  
śmiało bo wtedy nie swoją naukę  
będzie głosił dzieciom, ale mądrość  
ludzkości; jedną z tych myśli ogólnych,

które kilka wieków cywilizacyi w serce społeczeństwa wpoilo.“

Wielu,—a między innymi i ja także—powie, że te przepisy nie mogą wystarczyć katolikom, wprowadzie Bóg w szkołach tych ma prawo obywatelstwa, ale Pan nasz Jezus Chrystus jest z nich wygnany; mamy przeto słuszną protestować głośno, ale protestując nie przekraczamy praw sprawiedliwości, nie zniechęcajmy dobrych nauczycieli, nie pogłębiajmy przepaści, nie gaśmy tlejącego jeszcze ciągle zarzewia.

Zarzucają nam, że te przepisy ministerjalne były tylko zamydleniem oczu, bo w gruncie rzeczy sekciarze dążyli do utworzenia szkół bez Boga. Być może, powiedzieliśmy nawet powyżej, że tak samo myślimy—ale ostatecznie to zapatrywanie nieobowiązuje wszystkich. W każdym razie, prawo nie narzucało nauczycielowi ani ateizmu, ani nauczania bezbożnego.

Z taktem, rozwagą i bacznością trzeba było pracować, by zachować dobrych nauczycieli i starać się o pozyskanie im podobnych, a w każdym razie nie należało pogłębiać przepaści.

Więc—może kto spyta,—katolicy mieli się dać strzydz jak owce?

Bynajmniej, każdy wie, że mało mamy zdolności do roli owcy.

Chcielibyśmy tylko by opozycja przybrała była inną formę, by była użyła innej taktyki, to jest tej, którą wskazaliśmy. Chcielibyśmy tego; czyż nie mamy do tego prawa?

Aby nas przekonać że prawo jest podłem, mówią, że nie chciano w niem wymienić Imienia Bożego; jak gdyby dy-

skusye które poprzedzają głosowanie nad ustawą były prawem. Ale w takim razie moglibyśmy się nie mało zgorszyć czytając akta soborów, a zwłaszcza Watykańskiego.

Skoro więc już nie można inaczej, musimy przyjąć prawo, tak, jak ono jest „*hic et nunc*“ i starać się wyciągnąć z niego możliwą korzyść. W prawie tem są rzeczy doskonale, a są i takie przeciw którym musimy protestować; dla czegoż nie przyjąć tych pierwszych? Czyby nam to nie dodało siły do zwalczania rzeczy złych? Co prawda wygodniej jest wołać: „podłe prawo!“ ale odkądże teoria pana Clemenceau, potępiania ryczałtowego, jest aksyomatem, przed którym ma ustępować nasz rozum?

Mówiliśmy już i powtarzamy raz jeszcze: opór był potrzebny, ale zdaniem naszym nie zawsze szczęśliwie był prowadzony. I jeśli, aby nam wytłumaczyć dlaczego niektórzy nauczyciele osobiście ucierpieli, przypomni nam kto że gdzie drwa robią, tam trzaski lecą, odpowiemy: bez wątpienia, ale po co rąbać dwadzieścia polan, jeśli wystarczy dziesięć.

„To przesada—ktoś powie—to co mówisz o zachowaniu się katolików. Przedewszystkiem, nie było walki w większości parafii, gdzie są same szkoły świeckie.“

Być może, ale czegoż to dowodzi? Czyż można powiedzieć że wojny z Prusami w 1870 r. nie było, bo większość departamentów Francji nie doznało okropności najścia wojsk obcych?

Tak samo było z walką o szkoły. Dość przejrzeć dzienniki i czasopisma z owej epoki, rzucić okiem tam gdzie oba stronnictwa miały ze sobą styczność

by się przekonać że walka była rzeczywiście taką jaką przedstawiamy. Na ostatnim duchownym kongresie w Reims, temat ten był rozbiegany na zasadzie bardzo poważnego sprawozdania księdza Delahaye, proboszcza z Chapelle Saint Mesmin w diecezyi Orleańskiej i większość księży, pomimo kilku gwałtownych protestów, przyznało słusność sprawozdawcy.

Co zaś do twierdzenia że postąpiono dobrze, krzywo patrząc na nauczycieli którzy w dalszym ciągu prowadzili uczniów swoich do kościoła i uczyli katechizmu, z tem się nie zgadzamy.

Pomimo tłumaczenia że następcy ich mogliby być złymi, my utrzymujemy wszelako że tak się postępować nie godziło, bo katolicy nie powinni odpychać swych braci tembardziej jeszcze, jeśli ci bracia dzielnie spełniają swój obowiązek. Czynić tak, to postępować po sekciarsku, a nam tego nie wolno.

A teraz niech nam wolno będzie dorzucić ostatnią uwagę. Czy nie wygląda na to, że prawo szkolne, które wywołało tyle walk zaciętych, oszukało wszystkich? Oszukało bezbożników którzy chcieli utworzyć naród ateuszów: Bogu dzięki, nie udało im się, i Francuzi nawet po ukończeniu szkół świeckich, wierzą w Boga i wiarę swą w głębi serca jeszcze zachowują. Omyliło też i katolików którzy chcieli utworzyć naród praktykujących i którym, niestety, nie lepiej się powiodło.

\* \* \*

Obowiązkiem ludzi dbałych o dobro ogółu jest praca nad zmianą stanu umysłów, który w tym rozdziale staraliśmy się



scharakteryzować, stanu tak szkodliwego dla naszej sprawy iż rzecz o nim można, że prowadzi nas do zguby.

Powinni oni przyjmować z rozwagą, ale z rozwagą pełną życzliwości, każdy objaw czynu tych, którzy działają i nie zapominać, że właśnie tylko przez tych którzy działają możemy być zbawieni. I nie oto pytać mamy czy to działanie jest zgodne lub nie z osobistym naszym poglądem lub przesądem, lecz o to jedynie czy pozostając niezmiennie zgodnym z nauką Kościoła, działanie to odpowiada lepiej potrzebom chwili.

Czy to znaczy że należy liczyć na rychłe powodzenie? Z pewnością nie. Może wypadnie czekać długo, bo zadanie trudne, a nawet prawdopodobnie nasze pokolenie zwycięstwa nie doczeka. Ale cóż znaczy jeden człowiek, cóż jedno pokolenie w dziejach ludzkości a nawet w dziejach narodu?

Spełnijmy swój obowiązek, a zostawmy Bogu troskę o to, kiedy zechce dać zwycięstwo. Napisano jest: „Inni są którzy sieją, a inni którzy zbierają.“ Wielbijmy Boga że tak rozrządził; gdyż będąc siewcami, a nie zbierającymi lepiej podejmiemy pracę bo mniej w nią wzmieszamy małostkowej próżności. Siejąc z cierpliwością, pozostawimy bez zawści drugim radość zbierania plonu.

Chwała, której sami nie doznamy, spłynie na naszą sprawę wielką i świętą, podczas gdy niebo otworzy szeroko podwoje dla rzeszy bezinteresownych i niezmordowanych pracowników, co niestracili nadziei w Tego, który był na początku, jest dzisiaj, będzie jutro, będzie na wieki—a który wynagrodzi trud, nie bacząc na to czy był uwieczniony pomyślnym skutkiem.

## ROZDZIAŁ VII.

### DUCHOWIEŃSTWO.

Działalność społeczna księdza. — Tradycya Apostołska. Misereor super turbam. — Nauczanie ewangeliczne i nauczanie pasterskie. — Różne rodzaje kaznodziejstwa.—Zwyczajne zadanie kapłana. — Poza zakrystyą. Do jakiego stopnia? — Ksiądz i polityka.—Właściwe pole.—Dwa następstwa.—Reguły praktyczne.

Pomiędzy tymi, którym w udziale przypadł obowiązek apostołowania, pierwsze miejsce zajmuje oczywiście kapłan.

Wielu ludzi nie może darować księżom iż chcą stanąć na polu walki a niektóre pisma, nie wiele co prawda czytane ale mające i tak za wielu czytelników, rozpoczęły prawdziwą kampanię przeciw działalności społecznej duchowieństwa. Redaktorzy tych pism, ludzie bardzo nabożni i wielkiej mądrości, łzy wylewają, jęczą żałośnie, rozpaczają nad losem Kościoła i oplakują nieroztropności popełnione przez tych „niespokojnych“ księży, którzy wyrządzają tyle złego, podają rękę socyalistom, gotują najstraszniejsze klęski na przyszłość.

— Dziwna rzecz, mówił raz pewien zacny człowiek, że pisma, które się ogłaszają, że są prawdziwie katolickie i wierzą

że idą za wskazówkami Papieża, bywają właśnie zaliczone do opornych? Jakim się to sposobem dzieje, że nigdy nie otrzymują ani słowa zachęty od Ojca wszystkich wiernych, lub od biskupów, którzy są sędziami i stróżami karności i wiary? że im nigdy ta władza duchowna nie powie: „Pracujcie nadal w tym kierunku, jesteście na dobrej drodze, my również ganimy tych, których wy ganiecie!“ Nigdy nie słyszymy, aby Ojciec św. lub Biskupi podtrzymywali ich w podjętej walce, przeciwnie, ilekroć głos ich słyszeć się daje publicznie, to zawsze dla podtrzymania i zachęcenia tych właśnie którzy wpadają w „ostateczność,“ a przeciw którym dzienniki te nieprzestają protestować. Zdaniem naszym ten który to mówił miał zupełną słuszości.

Jesteśmy przekonani, że działalność społeczna duchowieństwa leży w prawdziwej tradycji Kościoła.

Gdyby św. Piotr się był zadowolnił pozostaniem w Wieczerniku i tylko wywiesił na drzwiach ogłoszenie, że jest gotów przyjąć niewiernych pragnących się nawrócić, byłibyśmy do dziś dnia poganami. Na szczęście, że w on czas nie wydawano pism i dzienników zacofanych któreby ganiły Głowę Kościoła i towarzyszków Jego w apostołstwie. Przytem pewną jest rzeczą, że gdyby apostołowie na drodze swojej spotkali się z podobnymi pismami byłiby zachowali się względem nich jak my, to znaczy, nie zwracając na nie uwagi, byłiby szli dalej swoją drogą. Gardząc przeszkodą lub depreczając po niej byłiby dalej prowadzili wspaniałą kampanię, którą opisują Dzieje apostołskie: w synagogach zarówno jak

na placach publicznych, w ergastulach i na forum, wszędzie, gdzie można było toczyć rozprawy „*ubi videbatur oratio esse*,” (Act. XVI) i byliby wszędzie zabierali głos, spełniając swe posłannictwo bez względu na kamienie i błoto, którem ich obrzucano, bez względu na zniewagi i bluźnierstwa.

Tu przeciwnicy nasi zawołają: Wszystko to bardzo pięknie ale Apostołowie mówili o Chrystusie, o duszy, o prawdach wiary, podczas gdy wy stajecie wobec ludu daleko bardziej jako obywatele, niż jako kapłani!“ Rzeczywiście zarzut wspaniały!

Po pierwsze, skąd że pewność że tak było? O apostołach, wiemy tylko tyle że przemawiali wszędzie dla wszystkich; nic więcej. Co mówili, jak walczyli, jakiej trzymali się taktyki, na żadno z tych pytań absolutnie nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć. Wiemy tylko, że św. Paweł z godnością i szlachetną dumą stanął przed sędziami—tak jak my stajemy przed ludem: *civis romanus sum*, jestem obywatelem i to jest dowód, że Apostoł nie zrzekł się żadnego z praw swoich.

Zadaniem apostołstwa chrześcijańskiego w ogóle, apostołstwa kapłańskiego w szczególności jest dać poznać Chrystusa Pana. Chcąc jednak do ludu mówić o Chrystusie, trzeba wejść z tym ludem w jakąś łączność. W Afryce i Indyach misjonarze spełniają funkcje lekarzy, aby ratować dusze pielęgnują ciało i tym sposobem wchodzą w łączność z niewiernymi; my tutaj, w Europie stajemy się socjologami, to nasz sposób wytwarzania spójni. Zresztą sama obecność nasza wśród pewnego środowiska gdzieby nas dawniej ukamienowano, czyż nie jest już

dowodem uznawania Ewangelii Chrystusowej? A chociażby nawet! Czyż Mistrz nasz umiłowany wyrzekł to słowo współczucia: „misereor super turbam,“ jedynie dlatego, że stojąca przed nim rzesza nie otrzymała jeszcze wiary? — Nie, Jezus ulitował się nad rzeszą, bo rzesza nie miała chleba. W stuleciu naszym ów- nież rzesza jest głodna. Jaknie pokamu materyalnego, chleba, który łany zboża nam dają, jaknie też wolności i sprawiedliwości. Gdyby Chrystus, ten wielki obrońca słabych, Boski oswobodziciel, wrócił pomiędzy nas, czyż stałby z założonemi rękoma i w milczeniu wobec gwałcenia praw i systematycznego ucisku wywieranego przez społeczeństwo pogarskie na maluczkich i nieszczęśliwych? O jakimże by świętym gniewem zapłonął, jakążby klątwę rzucił! Był jednym z tych, którzy nie mają kędy skłonić głowy, nie miał skwy, ni płaszcza, ani obuwia; to też poszedłby do bezdomnych, do tych, którzy grosza nie mają, którzy okryci w łachmany, do bosych swych braci, by im powiedzieć, że ich cierpienia rozumie.

Najpierw nakarmiłby ich chlebem cudownie jak ongi na pustyni, ale ponieważ w zamiarach Najwyższej Mądrości nie leży, aby stale używać cudów dla zaspokojenia potrzeb ludzkości, pracowałby nad wprowadzeniem sprawiedliwości i poprawieniem losu cierpiących.

Ubolewajmy nad tymi, którzy nie rozumieją tych rzeczy. Bez względu na ich protesty, świat pójdzie dalej swoją drogą i my też swoją pójdziemy. A gdy zrodzi się w naszym sercu wątpliwość, czy kierujemy się duchem Kościoła, wówczas zwrócimy się w stronę Rzymu i tam

zapytamy, czy idziemy jego drogą i w jego świetle. - Jużemy to uczynili i odpowiadz nam dano.

Wątpliwem jest czy przeciwnicy nasi mgą powiedzieć to samo o sobie.

\* \* \*

Wielu mięsza nauczanie ewangeliczne z nauczeniem pasterskiem i żadnej różnicy dopatrzyć się w tem podwójnem nauczaniu nie chcą. Według nich zadanie kaznodziei polega na tem iż w dniach i godzinach oznaczonych kapłan, ubrany w szatę, wstępuje na ambonę i w formie kazania lub nauki objaśniając prawdę dogmatyczną, prawdę moralną lub jakiś przepis liturgiczny, przemawia przez dłuższy lub krótszy przeciąg czasu do mniej lub więcej zaspanych słuchaczy, poczem mówi: Czego Wam z całego serca życzę, amen, i schodzi z kazalnicy.

Boże uchwaj byśmy mieli krytykować ten tradycyjny zwyczaj nauczania w Kościele.

Wygłaszanie nauk lub kazań jest jedną z szacownych form nauczania. Ale nie zgadzam się z tem aby był formą jedyną i aby innych sposobów nauczania ewangelicznego nie było. Gdyby tak miało być istotnie, to musielibyśmy przyznać, że słowo Boże nieda się przystosować do każdego poziomu umysłowego, i do każdej ludzkiej słabości i że Chrystus Pan mówiąc Apostołom: „Idźcie, nauczajcie wszystkie narody,“ chciał im poprostu powiedzieć: „Nie ruszajcie się, ale zadawajcie się nauczaniem tych, którzy w oznaczonym dniu i godzinie stawiają się przed wami.“

A jednak to fałszywe zrozumienie nauczania ewangelicznego mąciło dawniej

i maci dziś jeszcze pojęcia bardzo zacnych księży. Nie rozumieli i nie rozumieją, że jeśli takiego systemu trzymać się będziemy, słowo żywota dosięgnie zaledwie małej części ludzkości; może części wybranej, godnej wszelkich starań i głębokiego szacunku, ale do której jednak nie może ograniczyć się działalność Kościoła Bożego. Po za tymi wybranymi jest olbrzymia ilość ludzi chrzczonych i niechrzczonych, którzy nigdy progu świątyń naszych nie przestępują. Pytamy, czy mamy prawo przystać na to by tłum ten olbrzymi nie słyszał nigdy nauki Chrystusowej, nie zetknął się nigdy ze Słowem Bożem, które jednak przyszło na ziemię, by oświecić wszystkich tych, którzy na tej ziemi żyją? Sądzimy, że nie.

Należy więc znaleźć formę nauczania, któraby do tego tłumu dojść mogła, wykryć właściwy punkt, przy pomocy którego moglibyśmy wejść z nim w styczność i wychodząc z tego punktu podać im naukę ewangeliczną.

Stąd wynika potrzeba księży o głębokiej nauce, którzyby pisali dzieła naukowe, bo to jedyny sposób wpływania na wielu uczonych; księży dziennikarzy, gdyż dziennik dociera wszędzie i jest nadzwyczajnie skutecznym narzędziem apostołstwa; księży, którzyby wygłaszali odczyty, bo wielu z tych, co nie pójdą nigdy na kazanie do kościoła, pośpieszą chętnie na odczyt; księży ekonomistów, aby wykazać nieszczęśliwym, że Ewangelia zawiera zasady, których wykonanie uleczyć może wszelkie choroby społeczne; księży posłów, by ludowi pokazać jak zasady te zostosowują się w prawodawstwie.

Ksiądz uczony jest kaznodzieją, ksiądz dziennikarz jest kaznodzieją, ksiądz ekonomista i ksiądz poseł są kaznodziejami.

Niechaj nam nikt nie zarzuca, że „to nie leży w zakresie zwykłych obowiązków kapłana.“ Ci, którzy tak rozumują, nie umieją odróżnić samych obowiązków od sposobu ich wypełniania. Zadaniem zwyczajnem kapłana jest prowadzić dusze do Chrystusa; kapłan który dusze do Chrystusa prowadzi, wypełnia ze wszechmiar to zadanie.

Nie przeczymy, że w skutek warunków zewnętrznych jak: atawizm zawodowy duchowieństwa, brak dostatecznego wykształcenia w wielu naszych seminariach, sposób nauczania zwany „pasterskim“ jest wogóle dostępniejszym dla wielu, tem bardziej, że wymaga mniejszego wysiłku i mniej specjalnych wiadomości i dla tego może otrzymać nazwę „sposobu zwyczajnego,“ byle tylko nam go nie podawano za sposób jedyny nauczania ewangelicznego z wyłączeniem wszelkich innych.-- Ani Chrystus Pan, ani Apostołowie nie poprzestawali na nauczaniu wyłącznie w synagogach; o wiele częściej przemawiali do ludzi tam, gdzie ich znajdowali, na placach, na drogach publicznych. Z naszej strony przyznać musimy, że zupełnie nie pojmujemy opozycji wyraźnej lub milczącej z jaką niektórzy dobrzy, a nawet znakomici kapłani przyjmują ten rodzaj apostołstwa. Pragną dać poznać Boga i dać poznać kapłana wszystkim dzieciom wielkiej rodziny ludzkiej, wiedzą że tysiące i tysiące tych dzieci nie znają ich, a mimo to podczas gdy my, nie bacząc na niebezpieczeństwa, i trud-



ności, staramy się dosięgnąć ten lud, dotrzeć do niego, by w duszę jego rzucić choćby tylko Imię Boga i Syna Jego, gdy już nie możemy nic innego uczynić—oni ciągle stają nam na poprzek i ciągle czujemy na sobie ich wzrok pełen krytyki. Trzeba przyznać że to bolesne, nie powinno jednak być powodem zniechęcenia. I my zwłaszcza, księża stronnictwa chrześcijańsko—demokratycznego, którzy idziemy przede wszystkim do ludu, będziemy prowadzić dalej nasze dzieło nauczania ewangelicznego i przez dzienniki i przez konferencye.

Niestety aż nadto oczywistym jest, że dotychczasowa akcja duchowieństwa nie zdołała utrzymać we Francyi wiary; czyż ta świadomość nie wystarcza, by jej zwolennicy, nie mieli prawa ganić tych, którzy dla odzyskania utraconej placówki, próbują działać inaczej?

\* \* \*

Co do tego, przeciwnicy, nasi a nawet i przyjaciele zgodnie stawiają nam liczne pytania.

Przypuśćmy, powiadają, że bywa z korzyścią wyjść z zakrystyi, nasuwa się jednak trudne i drażliwe pytanie: gdzie się zatrzymać? Jakie kwestye pomijać? Czy należy np. politykować, zajmując się czynnym przygotowaniem wyborów? — jeżeli nie, to życie publiczne księdza będzie bardzo ograniczone, jeżeli tak, to narazi się na utratę charakteru pasterza, gdyż z konieczności w grę wejdą kwestye osobiste i życie jego publiczne przybierze pozór

wojowniczy. Jakie jest więc dokładne znaczenie tych słów: „*po za zakrystją*“?

W jaki sposób można być *obywatelem*, nie będąc *politykiem*? A będąc politykiem, czy kapłan nie naraża się na utratę przyjaźni, zaufania niektórych dusz, podczas, gdy obowiązki pasterskie wymagają by stały przed nim otworem wszystkie drzwi, i wszystkie serca? A wiemy przecie jak te słowa: „to ksiądz który zajmuje się polityką“ źle usposabiają względem tych, do których się stosują. Odpowie kto może, że trzeba się przygotować na próby i zdecydować się na pewne przejściowe niekorzystne sądy. Tak, ale pytanie właśnie, czy np. proboszcz wiejski powinien wbrew wszystkiemu rzucić się *na wet* w walkę wyborczą i czy tego rodzaju działalność wchodzi w myśl encykliki Leona XIII? Bo nie pełnienie obowiązku i to całkowitego obowiązku stanowi trudność, lecz poznanie go dokładne.

Pytanie postawione w ten sposób jest bardzo jasne; postaramy się odpowiedzieć na nie w kilku słowach.

Co to znaczy „*po za zakrystją*“?

Rzecz bardzo prosta: niektórzy księża zanadto ograniczali się w czynnościach kościelnych i przestawali na roli wyłącznie wyznaniowej, my żądamy, by rozszerzyli swą działalność, ażeby mózdz zbliżyć się do tych, którzy dla jakiegobądź powodu nie uciekają się do pomocy kapłańskiej, lub nie mając sposobności widywania księdza w roli jego „oficyjalnej“, żyją przez to samo w sferze, której wpływ przez to samo nie dosięga.

Położenie jest więc takie: ponieważ dotychczasowe apostołstwo wydaje rezultaty niedostateczne i pozosta-

wia mnóstwo dusz po za sferą życia katolickiego, dlatego należy, nie odrzucając dobrych jego stron dodać doń sposoby działalności kapłańskiej nowe, zyskać szersze pole, na którym ta działalność mogłaby się rozwinąć. Jakież to pole?

Postawiliśmy zasadę, zastosujmy ją teraz.

Naszem zdaniem to obszerniejsze pole jest to pole ekonomiczne i społeczne. Pracując nad polepszeniem losu materialnego mas i nad usunięciem nadużyć społecznych, które gnębią te masy, duchowieństwo zajmie należne mu stanowisko i korzystając z jednej strony z praw swych niezaprzeczonych, spełni równocześnie z drugiej jeden ze swych najbardziej naglących obowiązków.

Czy do tego koniecznem jest zajmować się polityką? Bez wahania, odpowiadamy przecząco. Czy jest koniecznem albo chociaż pożytecznem rzucanie się w wir walki wyborczej? Sądzymy, że nie.

Zachodzi bowiem ogromna różnica między działalnością polityczną, a działalnością społeczną. Uznajemy, że w społeczeństwie, jakim jest nasze, niemożliwą jest działalność społeczna bez przymieszki polityki, mimo to jednak, nie tracimy z oczu postawionej zasady. Nie chodzi o to, aby duchowieństwo samo przez się miało doprowadzić do skutku pewne żądania, chodzi tylko by zdobyło wpływ, by pokazało ludowi, że księża znają jego prawa, jego sprawy, słuszne wymagania jego położenia, i że chcą mu dopomóc w miarę sił swoich aby te prawa w życie wprowadzić, te sprawy bronić, to położenie polepszyć. I wtedy to kwestya

polityczna staje się poprostu tylko drogą do celu. A więc zdarzą się wypadki gdzie dobrze będzie by ksiądz interweniował na drodze politycznej, bo w tych wypadkach interwencya ta wzmocni wpływ jego; i tak pewien nasz znajomy ksiądz, który w swej gminie został wybrany do rady gminnej jednogłośnie (z wyjątkiem czterech głosów) z pewnością nabrał wielkiego wpływu dzięki swemu mandatowi. W innych znów wypadkach przeciwnie, mieszanie się księdza do polityki mogłoby tylko osłabić wpływ jego jako pasterza dusz a wtedy powinien się od niej usunąć.

Cała kwestya więc sprowadza się do następujących punktów.

*Po pierwsze:* Ksiądz powinien wyjść z zakrystyi, łączyć się z ludem, pracować z nim i dla niego na polu ekonomicznem i społecznem, a to w celu powiększenia swego wpływu; ale nie powinien nigdy zapominać, że celem ostatecznym jego pracy ma być tryumf królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego.

*Po drugie:* Jeżeli dla powiększenia wpływu i tem skuteczniejszej pracy, dla tryumfu królestwa Bożego i Jego sprawiedliwości, okaże się potrzebnem, by ksiądz wystąpił na arenie politycznej, nie powinien wahać się ani chwili, lecz działać jako mąż polityczny, co jednak nie znaczy *politykujący*.

Rozumie się, że z punktu widzenia zewnętrznego, księdzu przysługują te same prawa, co każdemu obywatelowi, ale tu idzie o obowiązek jego kapłański i o to, co księdzu czynić należy by lepiej powołaniu swemu odpowiedzieć. Otóż ponieważ z jednej strony można zawsze wyrzec się

korzystania z jakiegoś prawa, zwłaszcza skoro idzie o spełnienie obowiązku, ponieważ z drugiej strony obowiązek apostołowania jest natury nieskończenie wyższej i włożony na nas przez Boga, przeto niewolno księdzu, korzystać ze swego prawa jeżeli, używając go, miałby temsamem zmniejszyć środki dane mu przez Opatrzność do spełnienia obowiązku.

Gdyby nas zapytano, jaki sposób postępowania, możnaby nakreślić naszemu duchowieństwu w obecnym stanie społeczeństwa, odpowiedzielibyśmy, że wogóle proboszcz w swojej parafii ma wszystko do stracenia, a nic do wygrania, jeśli się wda w walki polityczne, bo niepowinien łączyć się z jednym tylko stronnictwem.

Może, powinien być obrońcą słabego przeciw mocniejszemu, uciśnionego przeciw uciskającemu, ale w ten sposób pozostaje w swojej roli, jest żołnierzem walczącym o sprawiedliwość, a nie sługą pewnej partyi. Co do księdza który nie ma obowiązkowej pieczy nad duszami w okolicy, w której przedsięwzięje walkę polityczną lub wyborczą, to położenie jego jest naturalnie odmienne. Swoją drogą należałoby się dobrze zastanowić, czy działalność jego, ze względu na dzisiejszy stan umysłów, nie zaszkodzi dobru ogólnemu; w każdym jednak razie odpowiedzialność jego jest mniejszą i o wiele bezpieczniej może z praw swoich korzystać.

Nie zapominajmy, że stoimy na początku działalności nowej, że mamy do zwalczania wiele przesądów, wiele niechęci i że wskutek tego nieraz musimy w czynach i słowach kierować się więk-

szą oględnością. Zresztą, jeśli nie będziemy szukali samych siebie, lecz tylko chwały Boskiej i zbawienia dusz, unikniemy z pewnością wielu fałszywych kroków.

## ROZDZIAŁ VIII.

### KILKA UWAG O APOSTOLSTWIE KAPLAŃSKIM.

Proboszcz wiejski. — Dziennik księdza X....., proboszcza w Z. Ankieta wśród wieśniaków. — Choroby moich parafian. — Próba terapii. — Instytucje do założenia. — Wyniki pocieszające. — Odrodzenie religijne. — Umiejmy czekać. — Ksiądz X..... zostaje proboszczem w mieście. — Sprawa, którą mu zalecić wypada. — Doniosłość społeczna ogrodów robotniczych. — Ważność tej sprawy. — Niech żyje ziemia. — Szukajmy punktu styczności.

Niepodobnem byłoby wyliczyć wszystkie dzieła społeczne, któremi mógłby się zająć proboszcz wiejski, pozwolimy więc sobie tylko podać kilka wskazówek, które ułatwią zrozumienie naszej myśli.

#### Wyciąg z dziennika księdza X..... proboszcza z Z.....

„Kiedy zostałem zamianowany proboszczem małej parafii, liczącej około sześciuset dusz, trzeba przyznać, że położenie niebyło świetne. W kościele wszystkiego brakowało, plebania dziwnie zaniedbana, ludność niezła wprawdzie, ale tak bezbarwna, tak zdala trzymająca się od rzeczy religijnych, że wolałoby się spotkać wręcz niechęć, niż tę zimną obojętność która utrudnia wszelkie zbliżenie.

„Ale, jeśli położenie było złe, to za łaską Bożą odwaga była dobra i postanowiłem wziąć się do pracy, ufając, że Ten, w Imię którego miałem pracować, przyjdzie mi z pomocą.

„Pierwszem zadaniem mojem było zbliżyć się do parafian.

„Ale jakim sposobem? Którędy?

„Zbliżyć się do nich wprost z tem, co Boże, zagrać na najwyższej strunie ich duszy, było, jak się od razu przekonałem, niepodobieństwem. Z tej strony zamknięte były wszystkie drzwi do tych biednych serc. Jeżeli miewałem kazania, nieprzychodzili; jeśli wdawałem się w duchowne rozmowy, to mnie nie rozumieli. Byłem dla nich poprostu jakąś dziwną istotą, która wierzy w rzeczy niezrozumiałe, odmawia tajemnicze formuły i jest opłacaną przez Państwo, aby chrzcila, dawała śluby i chowała umarłych.

„Oczywiście te urzędowe czynności kapłańskie jako środki wpływu, były niczem; na tem polu niepodobna było znaleźć punktu styczności.

„Czy należało mi wówczas pogodzić się z tem położeniem i jak stracona placówka ograniczyć się na stróżowaniu własnej budki, o nic się więcej nie troszcząc?

„Uważałem, że nie. Przypomniałem sobie, że Jezus przykładem swoim nauczał apostołów pociągać dusze, lecząc ciała, i w tej myśli postanowiłem rozpocząć od zbadania, jakie są choroby moich parafian by im skutecznie zaradzić. Bo są choroby zbiorowe, tak jak są choroby indywidualne,—nie mniej ważne same w sobie, a w skutkach bez porównania groźniejsze.

Na co cierpiał mój lud?



„Szczegółowe badania odkryły mi to wkrótce.

Chociaż nie byli w nędzy, moi parafianie czuli jednak brak gotówki, posiadali tylko niezbędną ilość bydła; narzędzia rolnicze, sposób uprawy - roli, nawożenie, wszystko to było zacofane. Nie dlatego, żeby nie znali postępu i nie byli gotowi iść za nim, ale dlatego że kapitału brakło, a bez pieniędzy nie można było powiększyć inwentarza, ani podnieść kultury.

Kilku żydów i podejrzanych bankierów ofiarowało się z pożyczką, ale ci biedacy którzy przyjęli ich nęcące propozycje, i włożyli palce w ich tryby zostali w nie wciągnięci całkowicie i wyszli z tych spekulacji tak zmiażdzeni i złamani, że inni z doświadczenia tego korzystając, odrzucali z nienawistną jakąś zawziętością, wszelkie tego rodzaju propozycje.

Zatem, pierwszą chorobą mojej parafii był brak pieniędzy.

Po drugie, w parafii mojej nie było doktora, zaś wzywanie lekarza powiatowego pociągało za duże koszta, to też najczęściej wzywano go wtedy, gdy już nie było nadziei ratunku.

Drugą chorobą mojej parafii: brak lekarskiej opieki.

Parafia moja z tychże samych przyczyn nie miała weterynarza; choroba bydła była nieszczęściem dla większości rodzin, upadek jego przybierał rozmiary katastrofy.

Trzecia choroba mojej parafii: śmiertelność bydła.

W parafii mojej wszystko było bajecznie drogie: nawozy, nasiona, wino, wiktuały, sprzedawane były po takiej cenie, że

obywano się bez nich prawie; to też pola ubożały, część ich zostawiano odłogiem, za napój używano wody. Cukier i kawa zjawiały się na stołach tylko od wielkiego dzwonu.

Czwarta choroba mojej parafii—utrudnienie zakupów.

W parafii mojej nie było narzędzi rolniczych: siewników, żniwiarek, kosiarzek, przesiewaczy, młocarni, tryjerów i t. p. Owóz wszystko to bardzo pożyteczne: taki np. siewnik rządowy oszczędza na hektarze 40 kilogr. nasienia, co przedstawia wartości mniej więcej 500 franków na przestrzeni 100 hektarów. Ale cóż, siewnik kosztuje 500 fr., a żaden z moich parafian sumą taką nierozporządzał.

Piąta choroba mojej parafii: brak narzędzi, wskutek tego wygórowane koszty produkcji, niemożebność walki równą bronią na targach.

Parafianie moi byli niepiśmienni więc gdy nie czuli dosyć zaufania do nauczyciela to z korespondencją swoją udawać się musieli do pisarza w mieście, co drogo kosztowało i narażało na stratę czasu. Prócz tego choć między moimi parafianami, bywały zatargi mniej liczne niż gdzieindziej, bo nie byli pieniaczami, mimo to jednak jeszcze zbyt często udawali się do sędziego pokoju. — Stąd zwada, swary i nieraz głucha nienawiść.

Szósta choroba mojej parafii: trudność w prowadzeniu interesów i w godzeniu zwaśnionych.

Można było wynaleźć jeszcze inne ujemne strony, lecz poprzestałem na tych kilku uważając, że na razie i tak jest dość roboty. Streszczam moją ankietę. Trzeba było zatem:

„1-o Znaleźć pieniądze, by przyjść z pomocą mym parafianom i wyrwać ich z rąk lichwiarzy i spekulantów.

„2-o Zorganizować opiekę nad chorymi.

„3-o Zapobiedz stratom które pociągał za sobą pomór bydła, albo przynajmniej zmniejszyć je.

„4-o Uprzystępnąć ceny narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych i artykułów spożywczych.

„5-o Wprowadzić w użycie maszyny rolnicze.

„6-o Pomagać parafianom w załatwianiu ich interesów i rozsądzaniu sporów.

\* \* \*

Program ten wymagał wiele pracy, nie wydawał mi się nad siły jednak i natychmiast wziąłem się do wykonania go.

Napisałem do p. Durand, stojącego na czele Związku kas pożyczkowych wiejskich (avenue de Saxe. 97 w Lyon), do księdza Fontan misjonarza w Tabes, do p. Dombrey - Schmidt, redaktora dziennika La Croix w Nancy i podług ich wskazówek wziąłem się do założenia kasy pożyczkowej wiejskiej. Wszyscy dziś wiedzą co to jest wiejska kasa pożyczkowa: kilku rolników łączy się i nie robiąc żadnych wkładów, oświadczają, że ziemią swoją i majątkiem odpowiadają solidarnie za pieniądze pożyczone z kasy któremukolwiek z nich, według przepisów statutu.

Naprzód, moi włościanie przestraszyli się trochę solidarności, która jest koniecznym warunkiem tej instytucji; już od wieku przeszło tak przesiąknęliśmy indywidualizmem, że łączenie się w stowarzyszenie

wzbudza w nas najpierw pewne uczucie przestachu. Gdy im jednak z dowodami w rękę przedstawiłem, że przeszło 1000, kas pożyczkowych założono we Francyi i że rezultaty ich są bardzo pokaźne; że we Włoszech i Niemczech kasy te w normalnych warunkach, mają najsilniejsze podstawy wśród instytucyi kredytowych, dali się przekonać.

Było nas sześciu na początek, a wszyscy drobni posiadacze ziemi; średni właściciele — wielkich właścicieli nie mamy — odpowiedzieli mi jednogłośnie: „Zobaczmy“ co było delikatną formą odmowy. Pożyczyliśmy 3,000 franków na 3 fr. 25 od sta i wypożyczyliśmy w warunkach statutami przewidzianych, tym z nas którzy pożyczki potrzebowali, licząc 4 fr. 25 od setki zyskując tym sposobem jeden procent na korzyść funduszu zapasowego. Nasi dwaj pierwsi dłużnicy zaczerpnęli z kasy, by spłacić lichwiarza od którego otrzymali pożyczkę na 12 procent (taka lichwa uchodziła jeszcze za umiarkowaną) i zostali w ten sposób ocaleni od zupełnej ruiny; dziś jest nas już piętnastu i kasa funkcjonuje znakomicie.

Druga nasza instytucya: pomoc w razie choroby, była to kasa familijna. Napisałem do komitetu „Związku narodowego,“ założonego przez dzielnego ks. Garnier i za 10 centymów odebrałem obszerną broszurę z wszelkimi potrzebami objaśnieniami. Oprócz członków zwyczajnych wnoszących składkę 50 centymów na miesiąc, zwerbowałem jeszcze kilku członków honorowych i wkrótce, mieliśmy pewien fundusz na zapłacenie wizyt doktora i lekarstw, całkowicie lub na raty, z uzasadnioną nadzieją, że niedługo kasa

pozwole na udzielanie zasiłków w pieniądzu lub w naturze.

Powtóre, idąc za bardzo rozsądną radą, której nam udzielono, postanowiliśmy: 1-o jeżeliby chory miał pilną robotę w polu każdy z członków podejmie się kolejno, choć przez czas jakiś, wyręczać go przez pół dnia pracy.

2-o, że zamiast drobnego pieniężnego zasiłku, za zgodą wydziału, chory będzie miał prawo do bezprocentowej pożyczki z wiejskiej kasy pożyczkowej, zaś płacenia procentu od tej pożyczki podejmie się kasa chorych.

3-o fundusze nieużyte można będzie pożyczać bądź wiejskiej kasie pożyczkowej, bądź też innym kasom założonym lub mającym się zakładać w okolicy.

Dalej nastąpiło założenie wspólnej asekuracji przeciw pomorowi bydła. Członkowie nasi, jako znający się nawzajem i znający swoje inwentarze, przez to samo unikali kosztów sprawdzania i administracji, które w tego rodzaju towarzystwach z dywidendą akcyonaryuszów pochłaniają przeszło 60 od sta wkładów asekuracyjnych. Ksiądz Boyer proboszcz z Villey-Saint-Etienne, przez Toul Meurthe et Moselle, pomógł nam swem wielkiem doświadczeniem i niewyczerpaną uprzejmością.

Dla wspólnych, a przez to samo tańszych zakupów sztucznych nawozów, nasion, wina, wiktuałów, różnych narzędzi rolniczych (siewników tryjerów, żniwiarek, młocarki, kosiarek i t. d.) założyliśmy syndykat według b. cennych wskazówek praktycznego zbioru dla syndykatów

„rolniczych“<sup>1)</sup> przez p. de Gillard Bancel. Syndykat nasz pożyczył z kasy pożyczkowej 500 fran. i nabył naprzód siewnik, który oddał do użytku swoich członków za opłatą 2 fr. 50 od hektara. Wiadomo, że siewnik oszczędza nasienia około 5 fr. na hektarze. Zasieliśmy w pierwszym roku 50 hektarów, co uczyniło nam 125 franków, czyli czwartą część ceny danej za maszynę; w następnym roku tensam zysk. Prócz tego gminy okoliczne wypożyczały nasz siewnik. Po trzech latach owe 500 franków zostały zwrócone i dziś pożyczamy członkom naszym siewnika, licząc po 1 fr. za hektar. Podobnie postąpiliśmy z innymi maszynami i dzięki informacyom, których zechciał nam łaskawie udzielić ks. Leblanc (orphelinat agricole de Malroy, Haute-Marne) mamy doskonałe narzędzia.

Ażeby zaradzić interesom prywatnym naszej ludności, ustanowiliśmy radę złożoną z trzech ludzi najbardziej szanowanych dla ich intelligencji i prawości. Zaccni ci ludzie ofiarowali swe usługi wszystkim pokrzywdzonym aby bronić ich praw. Jednocześnie, spełniali obowiązek komitetu pojednawczego, który uśmierzał waśni miejscowe; tym sposobem strony nie potrzebują udawać się do sądów, co bywało źródłem wielkich kosztów i nieraz niechęci bez końca.

Naturalnie, wszystkie te zamiary napotykały trudności; były przykrości, niepowodzenia, przeszkody wszelkiego rodzaju, ale ostatecznie nic takiego, czego

---

<sup>1)</sup> Petit Manuel pratique des Syndicats agricoles de Gaillard—Bancel á Valence (Drôme).

by się pokonać nie dało. Potem w miarę, jak się stosunki materialne poprawiały, zauważyłem, że w ślad za tem szło podniesienie moralne i religijne; mniej szybko co prawda ale jednak bardzo widocznie. Proboszcz stawał się przyjacielem parafian, człowiekiem do którego udawano się po radę. Widząc, że się zajmuje ich interesami, włościanie zbliżali się doń z coraz większem zaufaniem; wkrótce, kilku mężczyzn zaczęło przychodzić na Mszę św. by księdzu zrobić przyjemność (Pan Bóg posługuje się różnymi środkami) przyzwyczajono się słuchać go, gdy mówił o religii; to co dotąd uważali jedynie jako spełnianie rzemiosła, zaczęło im się przedstawiać jako wypełnianie obowiązku i w serce pasterza wstąpiła otucha.

I dzisiaj, choć nie mogę powiedzieć, że moi parafianie zasługują na kanonizację, zapewnić jednak mogę, że większość mężczyzn jest obecną na Mszy niedzielnej, że dwudziestu najmniej odprawia spowiedź Wielkanocną; kobiety, któreby nie spełniały powinności religijnych, możnaby porachować na palcach, i wielbię Opatrzność, przekonywując się coraz to bardziej, że Boski nasz Mistrz ma zawsze słuszość: „Skoro przyjdziecie do jakiego miasta, leczcie naprzód chorych, potem opowiadać będziecie Ewangelię.“

\* \* \*

Gdy nasz proboszcz wiejski zostanie mianowany proboszczem w mieście nie wątpliwie, odrazu zajmie się założeniem w swej parafii ogrodów robotniczych. Wspomnijmy pokrótce na czem polega ta instytucja, której promotorami pełnymi

inteligencji i poświęcenia, byli: pani Hervien w Sedanie i dr. Lancry w Dunkerque.

Otóż, demokraci pragnęliby (z wyjątkiem niektórych, względnie rzadkich wypadków) znieść jałmużnę. Założeniem naszym jest, że Bóg włożył na człowieka obowiązek, by sam na życie swoje zarabiał; dał więc na ziemi różne sposoby pracy, wystarczające człowiekowi do zarobienia na swoje potrzeby. Jeżeli niektórym braknie chleba, to najczęściej dla tego, że są bez pracy; zamiast więc jałmużny, która jest środkiem chwilowym, starajmy się dać im pracę stałą, a wszystko będzie w porządku i każdy chleb własny jeść będzie.

Ta myśl zrodziła założenie: „Pomocy przez pracę,“ której ogrody robotnicze są bardzo właściwem i praktycznem zastosowaniem.

Oto przykład, który dopomoże nam do zrozumienia jak ważną jest ta kwestya.

Przypuśćmy że niedaleko Ciebie drogi czytelniku, mieszka uboga rodzina; Ojciec, matka i pięcioro dzieci. Ojciec zarobiłby na życie, gdyby pracował codziennie, niestety w zawodzie jego często bywa bezrobocie. Tak bywa niestety we wszystkich prawie zawodach. Matka ze swej strony zajęta jest staraniem około dzieci, z czego wynika, że nędza i jej towarzyszy głód, do mieszkania zaglądadają. Dobre i czułe serce Twoje znając nędzę sąsiadów, szlachetnie śpieszy im z pomocą. Dziś dasz kwit na zupe, jutro na chleb, potem bon na drzewo, węgiel, w końcu jakieś drobne wsparcie pieniężne. Ileż to może razem uczynić? Nie jesteś bogaty, przypuśćmy więc że 20 fr. na rok.



Otóż zamiast wydać te 20 fr. w małych cząstkach wydaj je naraz. Wydzierżaw na przedmieściu kawałeczek ziemi i daj go Twoim protegowanym. Ojciec w dniu bezrobocia będzie na nim pracował, dziatwa w wolnych od nauki chwilach; będzie to rodzinna własność do której się człowiek przywiązuje, którą się uprawia z miłością: — dobra ziemia, silna ziemia, karmicielka płodna, z którą człowiek nanowo się zżyje i ziemia ta, uprawiona, wyda więcej jarzyn niż jedna rodzina przez cały rok zjeść będzie w stanie.

Myśl tę poraz pierwszy powzięła w Sedanie kobieta wielkiego serca pani F. Hervieu Besançon i inne miasta poszły za tym ruchem który coraz więcej się rozpowszechnia, będąc ważnym jednocześnie dla podniesienia materyalnego i dla podniesienia moralnego.

Taką jest instytucya „ogrodów robotniczych.“ Jak widzimy, jest ona bardzo prosta i wyklucza wszelkie komplikacye. Zresztą, kto chce obszerniejszych wyjaśnień, proszę się udać do D-ra Lancry w Dunkerque, bez obawy, że mu to kłopot sprawi; zrobi mu to owszem przyjemność, bo duszą i ciałem oddał się tej pracy. Tylko nie trzeba odkładać do jutra, ani oglądać się na to co inni powiedzą lub zrobią, by się ośmielić zabrać do dzieła.

Na innem już miejscu położyliśmy nacisk na konieczność podniesienia i wzmocnienia rodziny, której idea chrześcijańska i społeczna coraz to więcej zanika, ustępując miejsca idei pogańskiej i indywidualistycznej. Starcy po szpitalach, kobiety w warsztatach, niemowlęta w żłobkach, dzieci w internatach, do-

prawdy, gdzież jest wobec tego wszystkiego rodzina?

Niema co mówić, z tysiącem naszych wspaniałych dzieł filantropijonych na które wyczerpuje się tyle szlachetnego poświęcenia, nie robimy nic, lub prawie nic, by ratować rodzinę; owszem, jak mówiliśmy wyżej, pomagamy jeszcze sami do jej zdeorganizowania, przez instytucje, które są dobre tylko w bardzo wyjątkowych okolicznościach, podczas gdy my je zamieniamy w instytucje normalne, do których we wszystkich wypadkach udawać się można.

Tym sposobem rozmijamy się z ideą chrześcijańską i społeczną i idziemy błędną drogą; jak to dobrze określił autor bardzo głęboko pomyślanej broszury, o której wspominaliśmy: idziemy „wstecz.“

Ogrody robotnicze utrzymują nas na dobrej drodze i we właściwym kierunku; bo o ile to możliwe, odbieramy mężczyznę, kobietę, dziecko nieubłaganą koniecznością rzucone do fabryki i łączmy ich we wspólnej pracy. Pod jasnym niebem, w świetle słońca, człowiekowi, któremu życie fabryczne zbyt często umysł i serce przytłumia, ułatwiamy oddychanie świeżem powietrzem i to nie pierwszym lepszem lecz jego własnem, powietrzem, które wchłania w piersi stojąc silnie na własnym gruncie—(bo mamy nadzieję zrobić z ogrodów robotniczych środek, który odbuduje własność rodzinną trwałą i nienaruszalną)—opierając się na własnej łopacie, mając obok siebie, w tem samym jasnym słońcu, na tejże samej ziemi, w temsamem powietrzu i pod temsamem niebem, własną żonę i dzieci.

O dobra ziemo, bądź błogosławiona,

ty, której uprawa uzdrawia i uświęca bardziej niż wszelka inna praca, ponieważ jest pierwszą formą pracy Opatrznościowej; albowiem ziemia daną była człowiekowi, a człowiek dany był ziemi „*ut operaretur*,” aby na niej pracował.

Oto parę instytucyi, które polecić można gorliwości kapłanów. Uczcijmy te dążenia nowe wobec których dawne dzieła miłosierdzia staną się coraz mniej potrzebnymi, bo zamiast dostarczać tylu środków indywidualistycznych do naprawy skutków rozstroju społecznego, dają obfite sposoby do naprawy złego, wywołanego bądź złością, bądź słabością jednostki.

Tym sposobem znajdziemy spójnię z ludem i przygotowane zostaną drogi duszom do Boga.

## ROZDZIAŁ IX.

### BOGACTWO Z PUNKTU WIDZENIA CHRZEŚCIJAŃSKIEGO.

Przyczyny zapomnienia dekalogu społecznego. Moralność, a kazuistyka.—Zasada kierujących.—Garnek gliniany i garnek żelazny.—Czy bogactwo jest klątwą?—Co mówi Ewangelia. — Co mówią Ojcowie Kościoła. — Cytata z Bossueta.—Obrona bogactwa.—Odpowiedź ubóstwa.—Wytlomaczenia słów: *Vae divitibus*. — Pozorne sprzeczności — Wyjaśnienie nauki Ewangelicznej księdza Bourdaloue. — Co sądzić o olbrzymich dzisiejszych fortunach. — Giełda. — Kartka z Proudhona. — Spadkobiercy.

Już w przedmowie zaznaczyliśmy, jak bardzo dekalog społeczny jest przez nas zapomniany.

Przyczyny tego objawu są rozliczne.

Potrosze jest to winą tych, którzy powinni byli częściej go ludziom przypominać i tłumaczyć; po trosze tych, co udają głuchych gdy im o nim mówią; wreszcie tego przesądu, który mieszając moralność z kazuistyką, uważa za godziwą każdą rzecz, ściśle nie zabronioną.

Owóz niektóre czyny, choć nie wzbronione wyraźnie prawem indywidualnem, pozostaną jednak zawsze niegodziwymi; kazuistyka, może je tłumaczyć i tolerować, prawo moralne je potępi. Takim byłby naprzykład postępek bogacza, kapitalisty,

który skazany przez lekarza na mleczną kurację, uznałby za godziwe, nabywszy dwie przylegające do swego pałacu kamienice, zburzyć je, zorać grunt, by na nim zasiać trawę dla krowy, która ma mu dostarczać mleka. Wydałby w ten sposób dla zaspokojenia fantazyi więcej niż pół miliona, podczas, gdy tyle ludzi drży z zimna i umiera z głodu.

Jak to już widzieliśmy, podstawą dekalogu społecznego jest zasada, „że odpowiedzialność każdego człowieka wzrasta w stosunku do stanowiska jego i majątku, tak jak pierwszym tego dekalogu prawem, że każdy powinien coś robić, nie zaś być egoistą, który tylko zużywa a nic nie wytwarza i nie wytworzył nigdy.

Naturalnie, prawo to ma szerokie zastosowanie: nie oznacza rodzaju ani ilości pracy, wskutek czego uznaje pracę np. na polu społecznem lub na polu miłosierdzia za bardzo słuszne zajęcie i nie widzi nic niewłaściwego w tem, że niektórzy żyjąc z dochodów swoich, korzystają z pracy innych, jeśli wzamian w jakiejkolwiek formie oddają społeczeństwu równoważne usługi.

Ponieważ odpowiedzialność wzrasta w stosunku do stanowiska i majątku, uważamy, że najpierw należy przypomnieć obowiązki bogatym i wybrancom losu: po pierwsze dlatego, że więcej otrzymali, powtóre że łatwiej im o nich zapomnieć. Zarzucają nam często że zbyt dużo mówimy o obowiązkach jednym, a za mało drugim. Później, gdy będzie mowa o obowiązkach pracodawców i pracujących, wrócimy do tego przedmiotu; tutaj zaznaczymy tylko, że zarzut ten, choć przesądny, ma jednak pozory słuszności.

Pochodzi to stąd, że bogaci, jako więcej od nieba obdarowani winni, dawać dobry przykład, a nadto więcej niż ubodzy narażeni są na popełnianie niesprawiedliwości społecznych, mając liczne i potężne środki działania. Ktoś przyrównał bogacza do żelaznego garnka, który porusza się między glinianymi i co chwila narażony bywa na stłuczenie lub uszkodzenie garnków glinianych, to też często należy wołać nań: bacność, uwaga!

Są w Ewangelii słowa, wzbudzające niepokój, które nie raz starano się wytłumaczyć, a które mimo to pozostają dla nas niby wieczną zagadką. Do słów tych zaliczyć trzeba to straszne i bolesne: „*Vae divitibus*“ biada bogaczom! Tyle w tych słowach groźby, iż zda się, że Przedwieczny rzucił je przy wtórze gromów, jak niegdyś, gdy ze szczytu Synai ujrzał naród swój na kolanach przed złotym cielcem.

Czyż bogactwo byłoby przekleństwem? Dlaczego Chrystus nie wzywa do siebie bogatych? dlaczego nie zwraca do nich nigdy słodkich swych obietnic?

*Błogosławieni ubodzy* mówił na górze; *pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i wy którzy znosicie ciężar dnia i upalenia, a ja was ochłodzę.* Dlaczego tkliwością swoją nie ogarnia bogatych? Czyż oni nie bracia Jego? Czyliż Ojciec Niebieski nie chce uważać ich za swoje dzieci? Dlaczego Mistrz nie chciał im dać miejsca pomiędzy pracownikami pierwszej doby, których przeznaczał do apostołowania? Czyż nie wszystkie warstwy społeczne powołane są do korzystania z dobrodziejstwa Ewangelii, i czyż nie byłoby słusznem dać im wszystkim przedstawicieli w Świętem Kollegium Apostołów?

„Wprawdzie, — mówi z tego powodu J. E. Kardynał Perraud<sup>1)</sup>, — Chrystus Pan bezwzględnie bogactwa nie potępił. Nigdzie nie powiedział, by ono było absolutną przeszkodą należenia do społeczeństwa chrześcijańskiego, albo aby miało być samo przez się nieprzewyciężoną zawadą do zbawienia. Ale w różnych okolicznościach umyślnie bardzo uroczyście oświadczył, że bogactwo jest stanem niebezpiecznym, że płynie zeń wiele pokus wyjątkowo groźnych, i że jeśli samo przez się ludzi Królestwa Bożego nie pozbawia, to jednak zdobycie go utrudnia.

Teksty ewangelii zawierające te ważne przestrogi, dobrze są znane:

„Biada wam bogacze, albowiem wzięliście zapłatę waszą! Biada wam, którzyście się nasycili“.

„Jakże trudno jest tym, którzy pieniądze mają, wniknąć do Królestwa Niebieskiego! Łatwiej jest wielbładowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wejść do Królestwa Niebieskiego, ale to co niepodobne jest u ludzi podobne jest u Boga.“

Gdzieindziej Zbawiciel używa najłatwiejszych przypowieści, porównań najprostszych, by uprzystępnić wszystkim zrozumienie niebezpieczeństwa grożącego ze strony bogactw.

Są one podobne do cierni, które gładzą ziarno w samym zarodku, nie dając mu rosnąć i wydać owocu.

Ojcowie, Doktorowie Kościoła i komentatorowie Pisma św., często nacisk

<sup>1)</sup> Kardynał Perraud; Sur la fonction sociale de la richesse.

na tę zasadę kładą; Bossuet podnosi ją też energicznie, mówiąc: „Kościół Chrystusowy prawdziwie jest życiem ubogich,“ i dodaje, by jaśniej myśl swoją określić:— „ponieważ w pierwotnym planie swoim, Kościół zbudowanym był dla biednych, którzy są błogosławionymi obywatelami tego błogosławionego grodu.“

Wszystko to może się wydać dziwnem, a jednak jaknajbardziej odpowiada Boskim naukom Mistrza. Przypomnijmy sobie przypowieść o ojcu rodziny, który chce zappełnić salę godową. Dokąd posyła sługi swe, by mu sprowadzili gości? Czy na przedmieścia arystokratyczne, z herbowemi kartami zaproszeń? Nie; wysyła ich na place, do zaułków: in *plateas et vicos civitatis*. Zaprasza biednych, ułomnych, ślepych: *pauperes ac debiles, coecos et claudos introduc huc* „Bogaci, mówi Bossuet z odwagą, za którą nas na wolnym ogniu upieczonoby, — są w domu Bożym tolerowani; prawo mają właściwie doń tylko ubodzy.

To wszystko daje dużo do myślenia i wystarczyłoby pewnie w razie potrzeby na nasze usprawiedliwienie, że podejmujemy się (do czego zresztą upoważnia nas encyklika) brać stronę ubogich w dzisiejszym konflikcie społecznym. Pytajmy dalej wielkich powag Kościoła, o zdanie w tej kwestyi.

„Wraz ze św. Janem Chryzostomem, mówi Bourdaloue, w bogactwie rozróżniam trzy rzeczy: nabycie, posiadanie i użytkowanie; z czego wyprowadzam trzy wnioski niezaprzeczone: 1) że nabycie bogactw, jak się to praktykuje w świecie, jest zazwyczaj powodem do niesprawiedliwości... 2) Że posiadanie bo-



gactw zatrzuwa duszę, rozwijając w niej to, co św. Jan zowie pychą żywota; 3) wreszcie że złe użytkowanie bogactw podtrzymuje w sercu zamięłowanie rozkoszy i rozwija w niem pożądlivość zmysłową.“

Zasady te wypowiedziane w XVII wieku przez głośnego Jezuitę, nie straciły i dziś na aktualności; ustrój ekonomiczny naszych czasów zasługuje na podobne potępienie.

Albowiem ważne pytanie tyczące prawowitości posiadania bogactw, a głównie skupiania go w rękach małej liczby, zarysowuje się w świecie naszym wyraźniej niż kiedykolwiek.

„Istnieję, — może o sobie powiedzieć bogactwo, — dla ogólnego dobra ludzkości; dzięki mnie społeczeństwo rozwija się normalnie, i dąży do postępu; dzięki mnie produkty przemysłu stały się dostępne każdemu. Ja zbudowałem kanały, ubiłem drogi, uregulowałem rzeki, przeciąłem międzymorza, przekroczyłem ocean. Bezemnie niebyłoby artystów ani wynalazków; mnie to, mnie, bogactwu, świat zawdzięcza cywilizację.“

A ubóstwo wysłuchawszy tej dumnej obrony podnosi także swój głos z kolei: „Cóż mnie obchodzi ten postęp, z którego korzystać nie mogę, a który owszem los mój często pogarsza. Jak wprzód tak i dziś nie mam gdzie głowy przytulić, nie mam odzienia, nie mam obuwia; drzę od zimna gdy wiatr zawieje, wnętrzości moje wołają: jam głodny; dlaczego? A przecież to ja, o bogactwo! zrobiłem te wszystkie rzeczy o których mówisz, bo ja ci daję bez rachunku, tak dla dobra ogółu, jak dla twej własnej przyjemności. Jam

szlifował brylanty błyszczące w tych klejnotach i jam uprawiał twoje wspaniałe ogrody, jam zbierał dla ciebie bogate plony; a w tej mozolnej i uporczywej pracy nie zawsze nawet tyle zarobiłem, by się od śmierci głodowej obronić. A zresztą, uznając konieczność twoją, o bogactwo, dla czasów przeszłości, czyż jesteś także koniecznem i dziś i jutro? Czyż zapomniałeś o posłannictwie swoim, — czyż nie postępujesz jakbyś samo było swoim celem? A władarz dóbr ludzkości, syn twój, bogacz, czyż nie chciał stać się raczej ich panem i wyzyskać dla siebie wszystkie korzyści?“

„Trudność podstawowa, powiada Mgr. Vaughan, nie w tem leży, jakoby natura nie mogła obficie wyprodukować wszystkiego, czego potrzeba, ani w tem, że niektórzy posiadają wszystko czego rozsądnie żądać mogą: ale raczej w tem, że są tacy, którzy zagarniają i zatrzymują sobie ilość dóbr przewyższającą znacznie to, czego im potrzeba, a nawet to, czego by mogli z korzyścią używać, temsamem ogół szeroki pozbawiając tych dóbr. Prosta sprawiedliwość wymaga, by społeczeństwo postawiło każdego w warunkach zapewniających mu środki niezbędne do życia, zanim wolno będzie komukolwiek otaczać się wyszukany zbytkiem i zasypiać w nadmiernym dobrobycie. Jeśli pominiemy występných próżniaków, wszystkich, których nędza jest w znacznej mierze zasłużoną karą za winy, wówczas pozostaje pewnik, że każdy członek ludzkiej rodziny powinien posiadać możność zaopatrzenia się we wszystko, co zwykle ludziom

jego stanu do życia jest potrzebne, zainym innym wolno będzie zaspakajać wyrafinowane fantazy.

Niktby nie powinien nosić sukni jedwabnych, jak długo lichej wełnianej o-dzieży brakuje tylu nieszczęśliwym, drżą-cym z zimna.“

I oto może wyjaśnienie słów:

„Vae divitibus.“

\* \* \*

Jednakowoż możnaby tu zrobić nastę-pujący zarzut. Jakże pogodzić ze sobą, że z jednej strony Chrystus mówi: „Vae di-vitibus,“ biada bogaczom, a z drugiej pozwolił wiernym swoim spodziewać się dóbr doczesnych i ziemskich bogactw. „Cisi posiadą ziemię,“ mówi nam w jed-nem miejscu; w innym zaś: „Tym, którzy szukają Królestwa Bożego i sprawiedli-wości Jego, reszta przydaną będzie z nad-datkem.“ Moglibyśmy jeszcze inne teks-ty przytoczyć; czyż w tem nie widzimy pewnej sprzeczności? Nie, sprzeczności niema żadnej, jeżeli weźmiemy pod uwa-gę, że słowa „vae divitibus,“ nie są wy-rokiem potępienia lecz ostrzeżeniem. Gdy widzę człowieka, idącego nad przepaścią po przegniłej kładce, wołam: „Biada te-mu człowiekowi!“ Wyrażam obawę, ale nie rzucam przekleństwa. Taksamo się rzecz ma ze słowami Ewangelii. Praw-da, że Pan Jezus okazuje tkliwość szcze-gólną ubogim, ale nie wynika stąd, aby bogatych wyrzucał z serca swojego. Bo-gactwo ziemskie będąc potrzebnem do życia, nie może być samo w sobie rzeczą złą, stać się nią jednak może łatwo. Gdy-by bogactwo miało być złem samo przez

się, to oczywiście byłoby dobrym uczynkiem pozbawić go bliźniego i nie istniałoby przykazanie *non furtum facies, nie kradnij*. Bogactwo staje się złem, gdy służy za narzędzie samolubstwu; kiedy człowiek zapominając o opatrnościowem jego zadaniu, zagarnia na zbytki nadmierną część dóbr ziemskich, podczas gdy tylu ludzi nie ma tego nawet, co konieczne, i pomimo, że Bóg stworzył wszystko na ziemi dla użytku wszystkich. Dlatego to Ewangelia, znając instynktowny egoizm człowieka, gromi tę nienasyconą żądzę bogactwa, a z drugiej strony podnosi ducha ubóstwa, aby wszystko do równowagi doprowadzić i ułatwić normalny rozwój organizmu społecznego.

„Ludzie — jak mówi Bourdaloue, nie tylko pragną bogactw, ale pragną ich bez granic: to ostatnie żądanie jest zarówno niebezpieczne, jak nierozsądne i szalone.

„Gdzie są dziś bogacze, którzy miarkując chciwość swoją rozsądkiem, kładą kres swojemu mieniu? Gdzież są bogacze, którzy zadawalniając się tem co wystarcza, podnoszą myśli swe wyżej, mówiąc: „Dość mamy dobra ziemskiego, trzeba się nam zaopatrzyć w te skarby niebieskie, których ani robak nie toczy, ani rdza nie psuje.“ W skrytości ducha odpowiadają sobie, że wszystko jest na świecie potrzebne, że właściwie, nic nie wystarcza, że nigdy nie można mieć za wiele; że ludzie szanowani są i cenieni jedynie według tego, co posiadają.

„Wreszcie każdy chce jaknajprędzej się wzbogacić, a ponieważ są tylko pewne stany, warunki i urzędy, przy pomocy których dojść można szybko do majątku, więc też wbrew wszelkim zasadom roz-

tropności chrześcijańskiej, pragnie się tych stanów, poszukuje się tych środków, goni się za tymi urzędami. W czasach pierwotnej prostoty wzbogacano się długą oszczędnością i wytrwałą pracą; dzisiaj odkryto drogi krótsze i dużo wygodniejsze.

Urzędowanie jakie się pełni, stronnictwa do których się należy i tysiąc innych znanych nam środków, oto co pośpiech i niecierpliwość posiadania wprowadziły w zwyczaj. Rzeczywiście, w ten sposób postępuje się dziwnie szybko, stokrotnie opłacają się przemysł i talent, i w krótkich latach, a nawet miesiącach, człowiek się przeistacza i z kurzu, w którym pełzał, wznosi się na szczyty<sup>1)</sup>.”

I w tem jest właśnie niesprawiedliwość, bo dobra tak łatwo nabyte, nie odpowiadają ani oddanym usługom, ani podjętemu trudowi, ani też zasługom, lub cnotom, a nawet wartości społecznej, spełnianych przez posiadających te dobra czynności. Przykład: gracz giełdowy, bokmaker, lub młody, beczynny kapitalista.

Cóż więc myśleć należy o olbrzymich majątkach, tak szybko zebranych w naszym wieku przez niektórych ludzi?

Odpowiedź łatwa, jeśli się trzymać będziemy zasady, że jedynie praca i usługi oddane społeczeństwu powinny być głównem źródłem pomnożenia majątku. Wiemy zresztą że wielkie fortuny są

---

<sup>1)</sup> Bourdaloue—kazanie o bogactwie na drugi czwartek wielkiego postu.

nieszczęściem publicznem; nie spełniają bynajmniej roli dobroczynnej, łamią równowagę sił społecznych na korzyść jednostek. Nie co innego mówi encyklika *Rerum novarum*, gdy w słowach niemal ostrych powstaje na „grupę, ludzi, która będąc wszechwładną panią przemysłu i handlu sprowadza kapitał z właściwego kierunku i zwraca ku sobie wszystkie jego źródła; grupę, która zresztą w ręku swoim trzyma niemal wszystkie sprężyny administracyi publicznej.“

Bywają w początkach wielkich majątków rzeczy, które dreszczem przejmują, mówił jeszcze Bourdaloue; cóżby on powiedział w naszych czasach, wobec niektórych królów przemysłu bez poczucia obowiązku i bez serca, którzy wyzyskują mężczyzn, ofiarowując im płacę głodową, a kobiety i dzieci przez „potworne nadużycie nędzy i słabości“ jak mówił w liście pasterskim 1877 r. Joachim Pecci, arcybiskup Perugi, późniejszy Leon XIII?

A cóż dopiero sądzić o bogactwie zdobytem grą na giełdzie? Czyż gra ta, która naraża na tak straszne pokusy, że nie jeden w chwili szaleństwa ryzykuje wszystko, na co się złożyła długa całego życia praca, czyż nie jest mówimy, prawdziwym gorszeniem społecznem? Nie produkuje nic, bo tylko przesuwą kapitał z rąk do rąk, gwałci nieraz najbardziej elementarną sprawiedliwość, wszelkie środki uważa za godziwe, nadużywa tajemnic publicznych i prywatnych, nie baczy na to, że w tem wszystkim zachodzi takisam obowiązek wynagrodzenia krzywd jak w oszukańczej sprzedaży.

„Czy przed oczami nie mamy—mówił

O. Gratry, różnych rodzajów kradzieży, które dziś grasują wszędzie, rujnują lud, a których występni sprawcy zdają się nie wiedzieć o tem że kradną? A jednak, jak to być może, aby o tem nie wiedzieli? Jakże to gość stały przybytku Merkurgo, boga złodziei, grający na giełdzie złożonymi u niego w depozycie pieniędzmi, który traci je i nie oddaje, jakże dowieść potrafi, że postępek jego różni się, bodaj co do formy chociaż, od zwykłego zagarnięcia sumy złota?

W czemże te bandy graczy, którzy dzięki sile sprzymierzonych kapitałów, według swej woli podnoszą, lub zniżają kurs i tak biorą wszystko, co chcą i kiedy chcą, w czem rabusie ci różnią się od takich, którzy grabią złoto i banknoty?

W jaki sposób człowiek grający na zbożu, który z całą pewnością i w dniu oznaczonym osiąga sumę z góry przewidzianą, dajmy na to pół miliona, mógłby zaprzeczyć, że nie wziął po franku z kieszeni 500,000 ubogich?

„Albo człowiek, który gra na pewne, korzystając ze znanych mu tajemnic Państwa i wygrywa 20 milionów; t. j. majątek, który na razie uznał za potrzebny, jakim prawem łotr taki myśleć może, że nie ukradł tych 20 milionów?“<sup>1)</sup>—Proudhon mówi również:

„Wśród ogólnego milczenia opinii utworzyło się przeświadczenie, rodzaj cichego

<sup>1)</sup> O. Gratry. La morale et la loi de l'histoire p. p. 188.

wyznania wiary, które zastąpiło w tłumach dawne namiętności polityczne i społeczne, mianowicie: że ze wszystkich źródeł wzbogacania się, praca jest źródłem najmniej pewnym i najniebezpieczniejszym;

„Że po nad pracą stoi w pierwszym rządzie wspólny fundusz eksploatacyi narodowej, którego szafarzem jest rząd;

„Że dalej idzie spekulacya, a pod tą nazwą rozumie się ogół środków nieprzewidzianych lub prawnie nieuchwytnych, by zagarnąć cudze dobro.

„Że więc pod mianem *spekulacyi*, monopol, intryga, zdzierstwo, szalbierstwo, pożerają majątek ogółu i podtrzymują chroniczną ruinę rodzaju ludzkiego<sup>1)</sup>).

A fortuny w ten sposób nabyte, przechodzą nieraz do rąk chrześcijan, którzy nie znają wprawdzie ich pierwotnego źródła, skrytego lub zapomnianego, ale bądź co bądź żyją z nich; tak więc raz jeszcze da się wytłumaczyć to: „biada bogaczom“ *Vae divitibus.*“

\* \* \*

Skoro zeszliliśmy na ten temat, nie od rzeczy będzie może przytoczyć inne jeszcze słowo Chrystusa Pana, które również jak „*Vae divitibus*“, wymaga pewnego wyjaśnienia.

„*Semper pauperes habetis vobiscum*“.  
„Są“ — drudzy tłumaczą: „będą zawsze ubo-

---

<sup>1)</sup> Proudhon. *Manuel du spéculateur a la Bourse.*



dzy między wami.“ Tak mówił Zbawiciel do uczniów swoich, a to wielkie słowo Boże rozbrzmiewające po przez wieki, zawsze jest prawdziwe: ubodzy są zawsze między nami.

Głęboka i bolesna tajemnica, przed którą pycha nasza ukorzyć się musi; tajemnica nierówności stanów, której nie wytłumaczymy niczem, jeśli nie uznamy równocześnie — tajemnicy Opatrzności Bożej i Jej miłosiernych zamiarów.

Owóż tensam Zbawiciel, który rzekł: „*Semper pauperes*,“ powiedział także, mówiąc o tychże ubogich: „Błogosławieni, *beati*.“

Wprawdzie, czytamy u jednego z Ewangelistów: „Błogosławieni ubodzy duchem, błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości“, a słowa te niosą bogatym pewną otuchę. Ale w innym miejscu znajdujemy tę samą myśl, wyrażoną bez przenośni tak, jak zapewne ją rzesze pojęły: Błogosławieni ubodzy, błogosławieni, którzy łakną, błogosławieni, którzy pragną. I w ten sposób, pokornym, maluczkim, nieszczęśliwym, złamanym życiem i jego nieuniknionymi cierpieniami, podana została Boska pociecha!

Lecz cóż to znaczy: „ubodzy?“ Czyż wobec tego orzeczenia uważać mamy walkę przeciw ubóstwu za niepotrzebną? Nie mówię o ubóstwie branem z punktu widzenia subiektywnego, ale z punktu widzenia obiektywnego, to jest o ubóstwie realnem, które dotyka tyłu naszych nieszczęśliwych braci. Naszem zdaniem, nie. Lecz najpierw, nie należy mieszać, jak się to zbyt często zdarza, nędzy z ubóstwem.

W Encyklice *Rerum Novarum*, Leon

XIII. opierając się na nauce św. Tomáša, mówi, że pewne minimum dóbr ziemskich jest niezbędne, by żyć cnotliwie. Gdy tego minimum zabraknie, cnota staje się niemożliwą; to też z pewnością nikt nie będzie śmiały utrzymywać, że nędzarze, znajdujący się w takiej niemożliwości wypełniania prawa Bożego, są tymi ubogimi, których Chrystus Pan w kazaniu swoim na górze uroczyście błogosławionymi nazwał.

Więc cóż jest ubóstwo? Moglibyśmy je określić jako *stan, w którym się posiada to, co konieczne, bez możliwości korzystania z tego co stanowi zbytek*; a wówczas nic nie przeszkadza uważać je za wolę Bożą; tymczasem nędza, która jest brakiem *rzeczy koniecznych do zaspokojenia podstawowych potrzeb życia*, wydawać się nam będzie zawsze złem, które Bóg musi potępić.

Bóg uczynił ubóstwo, złość ludzka stworzyła nędzę, naprzekór zamiarom Opatrzności. Bóg znosi i dopuszcza nędzę, tak jak dopuszcza i znosi wszelkie zło przez wzgląd na naszą wolną wolę; ale jej nie chce. I dlatego też wola nasza, która się godzi z widokiem ubogich, nie może i nie powinna się godzić z widokiem nędzarzy.

Ubóstwo nie pozbawia człowieka, ani godności moralnej ani wolności; zmusza go wprawdzie, by z ciągłym wysiłkiem ograniczał swoje potrzeby i ścieśniał je do najszczyplejszych granic nieraz: ale go nie łamie, nie odbiera mu energii w życiowym boju, a nawet nie pozbawia go tych prawdziwych radości życia, które mają swe źródło w głębinach duszy, o wiele bardziej niż w wymaganiach ciała.

Nędza tymczasem, wyczerpując siły fizyczne człowieka, obniża stan jego moralny. W ubóstwie, jest brak, tu zaś ogołocenie; w ubóstwie są trudności życia, ale nic coby stanowczo sprzeciwiało się utrzymaniu go; tu zaś zwyrodnienie, jakby umniejszenie życia, a co zatem idzie zniechęcenie, opuszczenie się, obojętność na rzeczy, które duszę podnoszą, a nawet zepsucie i znikczemnienie.

Jeśli czytelnik będzie miał w pamięci te zasady i te wyjaśnienia, zrozumie łatwo jak niesprawiedliwe są zarzuty, czynione nam ciągle przez uprzedzonych przeciwników. Nie rozumieją, czy też nie chcą rozumieć naszych zapatrywań, dlatego tem surowiej nas sądzą.

Oto nasze wyznanie wiary: Nierówność położenia i kontrast między bogactwem a ubóstwem są w porządku Opatrzności.

Nie utrzymywaliśmy nigdy, by kiedykolwiek można było znieść całkowicie ubóstwo na ziemi, ale utrzymujemy i wierzymy, że ubóstwo, to nie nędza, że różnica między bogactwem, a ubóstwem nie powinna być przesadnie wielka, że społeczeństwo jest chore, kiedy z jednej strony nędza dochodzi do ostateczności, a z drugiej bogactwo rośnie do rozmiarów anormalnych. Wówczas nierówność położenia i różnica między ubóstwem a bogactwem stają się rzeczą złą, sprzecznością nie do rozwiązania, które muszą wywołać upadek i przewroty. Z powodu, że niektóre części społecznego ciała cierpią na otłuszczenie, cały organizm społeczny kona z wyniszczenia. I zdarza się, że ten wycieńczony organizm zbiera ostatki sił by upuścić krwi z członków przetłuszczono-

nych, w nadziei, że się tą krwią odżywi. Stąd to widzimy nagle katastrofy, które zresztą niczego nie leczą, — owszem często jeszcze zło pogorszają.

Mówi się nieraz: Nędzarze sami są sobie winni: za dużo mają dzieci, są niewstrzemięźliwi, zamalo oszczędni, nieumiarkowani. I wielu jest takich, którzy w te słowa wierzą, jak w Ewangelię, wyobrażając sobie, niewiadomo dlaczego, że nędza jest zawsze następstwem występku.

Tak sądzili poganie; ale czyż i my podobnie sądzić mamy?

A choćby nawet tak było, to czyśmy się zastanowili nad tem, że ubóstwo samo przez się jest straszną pokusą? Bogaty zwykle, nie czuje żadnej potrzeby kraść, oszukiwać, ani w rozpuszcieniu szukać zapomnienia; co jednak nie przeszkadza, że wielu bogatych kradnie, kłamie i żyje rozpustnie. Że nędza może być karą występku to pewne, — lecz zapytajmy czy ona nie zawisła już była ciężkiem brzemieniem na barkach niewinnego, wprzód jeszcze, zanim, chcąc poprawić los swój, lub o nim zapomnieć, popełnił to, co niejedyn bogacz, popełnia sto razy z kaprysu, lub ze psucia.

Tak sądzmy, a będziemy sądzić sprawiedliwie. Zapewne nie przeszkodzi to, że złe będzie zawsze złem, i że wyroki Boże dosięgną bogatych i ubogich, o ile kto na nie zasłuży: ale przynajmniej lepiej zdamy sobie sprawę ze stopnia odpowiedzialności każdego. Przekonamy się, jak wielką wyrozumiałość mieć nam należy dla braci naszych nieszczęśliwych; okrzyk wielkiego zlitowania Bożego: „Misereor super turbam“, żal mi ludu,—znajdzie

oddźwięk w sercach naszych; jednocz-  
my wspólne usiłowania, by ochronić  
ubogich przed nędzą i wówczas ujrzymy,  
że sprawdzą się słowa Mistrza: „Ubodzy  
są błogosławieni“.

---

## ROZDZIAŁ X.

### O BOWIĄZEK SPOŁECZNY BOGATYCH.

Bogaty jest urzędnikiem. — Ojcowie Kościoła, a prawo własności. — Obowiązek pracy. — Kilka wniosków praktycznych. — Konieczność ofiary. — Jałmużna. — Dawać dostatecznie i dawać dobrze. — Teorya a praktyka. — Zarządzanie bogactwem. — Następstwa. — Zbytek. — Jego formy. — Nieszczęsna i antyspołeczna emulacya. — Wpływ zbytku w rodzinie. — Twierdzenie na korzyść zbytku. — Odpowiedzi: — Zbytek głodem morzy. — Zbytek jest zabójcą. — Zbytek uboży. — Reguły moralne o zbytku.

Mówiliśmy już nieraz i powtarzamy raz jeszcze, że bogaty w oczach Bożych jest jedynie administratorem, któremu został powierzony zarząd części dóbr, stworzonych dla użytku ogólnego. Jeżeli więc źle rządzi swą majątnością, jeżeli np. korzysta zeń, żeby pozwalać sobie na zbytki mniej lub więcej gorszące, wówczas postępuje wręcz przeciw prawu Opatrzności, bo środków danych mu od Boga w części także dla tych, którzy cierpią w nędzy, używa nie na to, by im podać chleb, odzież, pociechę, ale na to, by w dusze ich rzucić zawiść i niezdrowe pokusy, które popychają do zbrodni.

Ojcowie Kościoła z takim naciskiem mówili o tych obowiązkach publicznych, ciężących na bogactwie, że niektórzy socjaliści zaliczyli ich do przeciwników prawa własności.

Tak jednak nie było nigdy.

„Ojcowie Kościoła, powiada doskonale p. de Champagny, głoszą nie rewolucyę, lecz cnotę. Dlatego też zwracają się do tych, którzy ją powinni wypełniać, a nie do tych, którzy z niej mają korzystać.

„W najśmielszych nawet porywach gorliwości, uderzają w jedną strunę tylko, to jest w strunę sumienia. Nie pobudzają ubożego przeciw bogatemu, ale bogatego przeciw niemu samemu, na korzyść ubożego. Chcą aby wszystko w człowieku było wolne i dobrowolne, aby wszystko przyniosło owoc i zasługę na niebo.

„To też nie odmawiają własności jej praw. Gdyby prawo własności nie istniało, nie istniałaby również ani dobroczynność, ani miłosierdzie; byłoby tylko przymusowe, bezwzględne, powszechne wyrzeczenie się przez wszystkich ludzi, wszystkich dóbr, jak się tego domagali uczniowie Eustacyusza, potępionego przez Kościół. „Nastąpiłby przewrót zamiarów Opatrzności nad światem; postęp społeczeństw zostałby wstrzymany, stosunki, na których się opierają zniweczzone.

„Uznawszy prawo, Ojcowie Kościoła nie użyją go jednak nigdy do wywołania buntu, ani się nie odwołają do tyranii. Nie włożą siekiery w rękę ubogiemu, by szedł nią rozbijać kasy ogniotrwale; których bogacz nie chce otworzyć, ani pióra w rękę panującego,

by przez wywłaszczenie jakiego bogacza obdzielić kilku ubogich. Pamiętają o winnicy Nabota; pamiętają słowa Św. Pawła: „Nie bronią ciała walczymy“<sup>1)</sup>.

Widzimy więc, że niema tu żadnego zamachu na własność samą, jedynie tylko potwierdzenie obowiązków tego, który tę własność posiada.

Nie zapominajmy, że człowiek bogaty już przez to samo w jaki sposób urządza swe życie i kieruje wydatki, wywierając może na społeczeństwo ogromny wpływ dodatni, lub ujemny. Jeśli np. użyje swych dochodów na utrzymanie stajni wyścigowych, to powiększy ilość bookmakerów i popchnie ludzi do gry i jej niemoralnych konsekwencji. Jeśli zaś przeciwnie, użyje ich na budowanie mieszkań dla robotników, na bicie dróg, na otworzenie nowego pola zarobkowania dla ludności wiejskiej, którą bieda zmusza do emigracji, to przyczyni się do podniesienia w kraju dobrobytu i poziomu moralnego.

\* \* \*

Pierwszym obowiązkiem bogatego jest poszanowanie swojej roli społecznej, i to uczucie powinno kierować rozdawaniem tego, co mu zbywa. Sprawa dochodów zbywających i sposób ich użytkowania jest zagadnieniem, nad którym ludzie zaможni poważnie zastanawiać się powinni.

Jałmużna, o ile jej się nie uważa za

---

<sup>1)</sup> Przytoczone przez kardynała Perraud: „Nauka pasterska o roli społecznej bogactwa“.



istotny obowiązek, rzadko kiedy bywa prawdziwie i po chrześcijańsku rozumiana, nawet przez tych, którzy ją dają po prostu i bez obludy, nie wyobrażając sobie, że wystarcza nawalcować i naflirtować na korzyść głodnych.

Chętnie oddajemy ubogim okruszyny z naszego stołu, ale doprawdy, czy odmawiamy sobie kiedy dobrego kęsa?

„Nikt sobie jałmużny nie uważa za obowiązek; mówi Ch. Lambel<sup>1)</sup>; ubogim daje się przypadkowo, lub gdy się nie można od prośb uwolnić; drobny ten wydatek niknie wśród wydatków bieżących, ale z całości majątku nie wydziela się obowiązującej „części ubogich“. Gdzież są tacy, którzy ze stu tysięcy dochodu, dziesięć tysięcy oddają nędzarzom? Dziesiąta część dla biednych, toż nie zawiele chyba! Nie stawiamy tutaj reguły, podajemy cyfrę *currente calamo*; w przybliżeniu tylko można ją dowolnie zmienić — zmniejszyć, lub nawet powiększyć. Chodzi nam jedynie o zaznaczenie, że ze smacznego kęsa bogatego, ubogi powinien dostać porządną część. Zresztą, jeżeli mu się tej części nie odda dobrowolnie, to socjalizm państwowy ją sobie przywłaszczy, o ile sam nędzarz jej nie zagarnie.

„W gruncie, ubogi dla bogatego, jest zawsze potrochu nieprzyjacielem: w tem całe nieszczęście. A tu właśnie przeciwnie, trzeba do niego iść, nie aby go pokonać, lecz aby mu rękę podać do zgody i pokój zawrzeć. To jednak rzecz trudna

---

<sup>1)</sup> Essai sur les reformes nécessaires, str. 223—224.

i nie ma się na nią odwagi; bo na przeszkodzie stoi stary system religijnego poszanowania swych wygód. Nikt się nie krępuje względem przyjaciół, rodziny, nawet względem Boga; — miałaby się kto krępować dla ubogiego? Czyż nie egoizm kieruje wszystkim, jak pan samowładny?

„Więc pierwszym obowiązkiem względem ubogich, jest dawać im dużo, daleko więcej, niż to jest we zwyczaju, czerpać dla nich z sakiewki pełnemi rękami, a nie końcami palców.

„Ale przypuściwszy, że suma wydawana na miłosierdzie nie może być powiększoną—że bogaty daje tyle, ile dać jest w stanie, to jeszcze pozostaje do zbadania czy się tą sumą rozporządza racjonalnie? Czy dając dostatecznie, daje się „dobrze“?

Miłosierdzie nie na tem polega, by z trudem wydobyć z kieszeni kilka marnych groszy, a potem spocząć na laurach i o nic więcej się nie kłopotać. To dopiero połowa tego, co czynić należy; niezbędnem jest iść do biedaków samego, samemu zobaczyć, samemu dotknąć się ich nędzy. Bogaty powinien zaopiekować się kilku ubogimi rodzinami i troszczyć się o nie od pierwszego do ostatniego dnia roku, a przede wszystkim nie powinien im skąpić rzeczywistej swej obecności, bo wtedy dopiero poznaje bliżej—i sam poznać się daje; wtedy niesie nie tylko pomoc materyalną, ale i moralną, równie cenną, bo podnoszącą duszę.

Piękne te zasady łatwo wyglądają w teorii, ale nie ludźmy się: między teorią a praktyką, leży w tym wypadku przepaść cała; p. Naumann wykazuje nam przyczynę tego rozdźwięku: „Kultura bo-

gatego mówi on, jest przede wszystkim kulturą estetyczną. Życie, to sztuka; obdarza nas ono podobnymi wrażeniami, jak muzyka. Każdy ton fałszywy może zepsuć wewnętrzną harmonię. Widok jakiegoś przedmiotu niemiłego, złe maniery, nieprzyjemna woń, zbytek poufałości, nudne opowiadanie, samo tchnienie wreszcie tego wszystkiego, co pospolite, ordynarne,—dla ludzi o zmysłach wydelikacowanych tak wielką jest przykrością, że starają się wszelkimi sposobami jej uniknąć. Ta estetyka życia nie od wczoraj datuje; to plód całej artystycznej epoki ostatnich dwu stuleci. Bogactwo ma czoło opasane wieńcem wonnych kwiatów; a tu naraz z poza tego wieńca wyłania się twarz robotnika, który przynosi ze sobą woń suteryny, poddasza, albo szynku i zdaje się odzywać: „Czy mogę mówić z tobą, jak z podobnym sobie?“ A bogactwo brwi ściągawszy, śpieszy z odpowiedzią: „Dopomogę ci materyalnie, ale ciebie samego nie chcę!“

„Po ludzku sądząc, taka odpowiedź jest bardzo zrozumiałą, mimo to jednak jest fałszywą, równie niechrześcijańską, jak niepolityczną.

„Ta estetyczna przegroda, która przeszkadza bogatemu stać się bratem ubożego powinna być za jakąbądź cenę usunięta, powinny raz zniknąć te przesady. Wtedy dopiero otwartą zostanie droga do pojednania“ <sup>1)</sup>.

\* \* \*

<sup>1)</sup> Naumann: *Lettres sociales aux riches*, cytowana przez K. Correvon, Cf. *Revue du christianisme social*. 15 mars. 1895.

Wracając do tego, cośmy wyżej powiedzieli, przypomnijmy, że bogaty nie powinien ograniczać się do zaopatrywania jednostek; obowiązkiem jego również jest myśleć o ogólnem dobru społeczeństwa. Kto się tą zasadą przejmie, ten łatwo zrozumie, że nie wykonał całego obowiązku, jeżeli rozdał jałmużnę choćby sutą, a nawet jeśli się poświęcił osobiście: pozostaje mu jeszcze do rozporządzenia suma przeznaczona na uczynki miłosierne, przenieść dobro społeczne nad dogodzenie lub ulżenie jednostce.

Przystąpić do stowarzyszeń dobroczynnych, dawać na składki, to bardzo chwalebne, ale to niedosyć. Jest różnica między rzuceniem grosza ubogiemu, a rozumnie obmyślanem i systematycznym rozdzielaniem jałmużny. Stąd też udział osobisty bogatego w pracy społecznej powinien być dość znaczny, aby zadośćuczynić temu specjalnemu obowiązkowi pracy, który na nim ciąży, obowiązkowi bezwzględnemu, którego niewypełnianie pociąga za sobą oplakane następstwa.

Dość oczy otworzyć, aby ujrzeć jakie są te następstwa?

W artykule ogłoszonym w jednym z pism brukselskich: „Revue générale des Sciences“<sup>1)</sup>, wice hrabia Spoelberk, skreślił dobitnie obraz nieszczęść spowodowanych przez zaniedbanie obowiązku pracy w klasie posiadających: „Niech tylko do osobistej skłonności, pisze ten autor, nieszczęściem dołączy się jeszcze wpływ

---

<sup>1)</sup> Revue Générale des Sciences: „Contre l'oisiveté“, grudzień, 1895

dziedziczny kilku pokoleń żyjących w próżniactwie, czyli jeśli kto woli, oddanych życiu bezużytecznemu (zawsze jednak tak zajętych), to cudu trzeba, by człowiek uniknąć zdołał wpływu tych nieszczęsnych warunków i by w godzinę walki okazał umysł zdolny odpowiedzieć słusznym wymaganiom, jakie stawiamy istotom normalnie zorganizowanym.

„Czyż od wielu już wieków, klasa za-  
można nie uczyniła wszystkiego, co tyl-  
ko możliwe, by właśnie w takich się  
postawić warunkach?.. Zamiast zachęcać  
dzieci swoje do pracy, lub choćby tylko  
do rozsądnego zajęcia, czyż rodzice sami  
nie dawali im prawie zawsze przykładu  
rozproszenia i płochości? Jakież cele  
stawiali zazwyczaj przed oczy potomkom  
swoim, jeżeli nie pragnienie używania,  
zadowolenia swych żądz, gonienia bezu-  
stannie za uciechami niższego rzędu i hoł-  
dowania życiu światowemu?

„Czyż mówili kiedy coś takiego, co-  
by rozbudzić mogło w młodych umy-  
słach wznioślejsze pobudki, godniejsze  
zachęty, niż wziętość przez pieniądź  
i dla pieniądza, za którą się tylu ubiega  
na wszelkie sposoby?“

I autor z coraz większą energią nie  
waha się rzucić oskarżenia w oczy tym,  
którzy zapominają o prawie Opatrz-  
ności, ciążącym na ich stanowisku spo-  
łecznym.

„To też mówili dalej, życie takie  
puste, próżne, tak konwencyjonalne, tak  
banalne, a przede wszystkim tak cia-  
sne i ograniczone prawie, wszystkich za-  
możnych ludzi, szczególnie w bardziej  
zapadłych kątach kraju, wyrodziło u wię-  
kszej ich liczby rodzaj częściowego

skostnienia mózgu. Prócz pewnych tylko władz umysłowych drugorzędnych i służących raczej do ozdoby,—a często wyłącznie utrzymywanych i żywionych przez długi szereg pokoleń—organ ten już nie działa wcale“.

Cały szereg praktycznych wniosków możnaby z tych uwag wysnuć; zastanówmy się chociaż nad niektórymi.

Naprzód, główną troską ojca rodziny niepowinno być zbieranie pieniędzy, aby pozwolić dzieciom nic nie robić; byłoby to zapomnieniem obowiązku, i podwójnem złem: złem ze stanowiska rodzinnego, złem ze stanowiska społecznego.

Po drugie, bogaci nie mający spadkobierców, nie powinni poprzestawać na zapisaniu testamentem majątku na cele dobroczynne, ale już za życia możliwie znaczną jego częśćią rozporządzić sami i przypilnować, aby została dobrze użytą.

Po trzecie, dobrze byłoby, zamiast rozdrabniać zapisy na ofiary różnorodne, przeznaczać, raczej, większą sumę na jakie dzieło znaczniejsze, pożyteczne ogółowi, a nie subwencyonowane z funduszków publicznych, np. założenie nowego czasopisma, kasy emerytalnej dla starców, pozostających wśród rodziny i t. d.

Możnaby wyliczyć więcej tych praktycznych wniosków, ale sądzimy, że cośmy powiedzieli jest dostateczne, kiedy się poznało ogólny nasz kierunek. Chcemy jednak nadmienić parę słów o zbytku, który jest jedną z najgorszych pokus bogactwa, jednym z największych niebezpieczeństw, przed którym ostrzegał

Zbawiciel, gdy mówił: „Vae divitibus.“  
Biada wam bogacze!

\* \* \*

Zbytek zatem, jest jedną z wielkich pokus bogactwa.

„Zbytek, mówi O. Libertore <sup>1)</sup> polega na używaniu rzeczy wyszukanych i kosztownych jedynie dla siebie i jedynie dla przyjemności i pokazania się.“ Definicja ta wydaje się nam dobrą, możemy się więc jej trzymać. Nie sama rzecz rzadka i kosztowna stanowi zbytek: nikt przecież nie będzie miał za złe panującemu, że ma piękny zaprząg, albo że wydaje wspaniałe przyjęcia, bo tego wymaga jego stanowisko przedstawiciela narodu.

Zbytek jest naganny przedewszystkiem dlatego, że stanowi wydatek osobisty dla dogodzenia sobie i pokazania się.

Rozmaite są formy zbytku. Nasze życie współczesne coraz więcej się komplikuje, sztuczne jego potrzeby coraz bardziej się mnożą: sprzęty, ubranie, pożywienie, podróże, od jakichś trzydziestu lat uległy szalonemu przeobrażeniu; salony nasze wypełnione są drobiazgami bez żadnej wartości artystycznej, ani użytkowej, a przedstawiającymi tylko grubą sumę śmiesznie wyrzuconych pieniędzy. W pewnej sferze moda wymaga, by tylko na jeden raz używać rękawiczek, bieliznę prać w Londynie, kapelusze sprowadzać z Mediolanu, obuwie z Lipska. Stoły nasze, nawet wśród głębokiej zimy, przybrane są najrzadszymi kwiatami, *musi się* jeździć do wód,

---

<sup>1)</sup> Libertore — Principii di economia, p. 290.

*musi się* przynajmniej kilka tygodni bawić w modnych kąpielach morskich, *musi się* święcie stosować do mody, zmieniającej się trzy, lub cztery razy do roku.

I w większym lub mniejszym stopniu, zawsze jednak zanadto, ta fatalna siła atrakcyjna zbytku oddziałuje na wszystkich.

Próżniacy z żydowskiego i zżydziałego świata finansowego i damy z półświatka rej wodzą i nadają ton; arystokracja ziemiańska wyprzedaje swe lasy i pola, by im dorównać; mieszczaństwo, urzędnicy, lekarze, adwokaci naśladowują klasę bogatą; robotnik i rzemieślnik wstydzi się swej skromnej odzieży. I tak od góry do dołu istnieje prawdziwa emulacja, nieszczęsna, antyspołeczna.

Zbytek staje się jedynym znakiem wyższości, jakby oznaką jakąś w hierarchii społecznej; pragnąc się dostroić do kamertonu, każdy usiłuje żyć nad stan, a dobrobyt publiczny na tem cierpi. Bo, jak mówi Blondel<sup>1)</sup>: „Zbytńia nierówność dóbr, nie tworzy bogatych i ubogich, jak się to pozornie wydaje, ale tworzy ostatecznie tylko ubogich i prowadzi do zniweczenia ogólnego“. „Wynikiem tego jest, mówi znowu pan Desplagne<sup>2)</sup>, że małżeństwo staje się coraz bardziej zbytkiem niedostępnym i młodzież unika go, jak nieuchronnej ruiny lub niedostatku graniczącego z nędzą. Panny

---

<sup>1)</sup> Blondel: L'économie politique et la question sociale; Association catholique, 15 paźdź. 1894, str. 469.

<sup>2)</sup> Rapport au XX congrés des jurisconsultes catholiques. Revue catholiques des institutions et du droit z 1896, str. 416.



wychodzące za mąż, chcą mieć dostatek i wygody, do jakich niegdyś dochodziło się po piętnastu, lub dwudziestu latach szczęścia. Chcą mieć odrazu dom pięknie urządzone, zbyt wysokie przyjęcia, cały tryb życia małżeństwa wzbogaconego dwudziestoletnią pracą męża, i już zapewniony byt rodziny. Nie wystarcza im wejść do nowej rodziny, jako jej dziecko, ale w osiemnastu lub dwudziestu latach, chcą być paniami domu. Skoro kto decyduje się na małżeństwo, ryzykuje wszystko, byle zaraz od początku wieść życie zbyt wysokie, które tak często młode pary prowadzi do niedostatku. To też z każdym niemal dniem dowiadujemy się o nowych ruinach, które nikogo już nie zadziwiają. Hala licytacyjna staje się bardzo prędko dla niejednego małżeństwa ostatnim etapem, a ludzie uważają to poniekąd za objaw normalny nowoczesnego życia“.

\* \* \*

Znamy dobrze wszystkie argumenty usiłujące uniewinnić zbytek: „Zbytek, dostarcza pracy ubogim, sprzyja rozwojowi handlu i przemysłu; puszcza w ruch kapitały, daje utrzymanie robotnikom, bez niego wiele ludzi umarłoby z głodu“ i t. d.

Ile twierdzeń, tyle fałszów.

Praca, której zbytek dostarcza, odrywa ręce od wyrabiania rzeczy koniecznych. Nietylko nie przynosi korzyści, ale jeszcze pozbawia społeczeństwo rzeczy, które mogłyby dać możność życia innym ludziom, lub polepszyłyby warunki ich bytu. Niesłusznie więc na-

zywamy użyteczną, pracę, której następstwem jest zmniejszenie liczby ludności, lub minimum konsumpcyi. Mądrość ludowa wyraziła to zresztą doskonale w aforyzmie: „Więcej kosztuje występki, niż wyżywienie dwojga dzieci.“

Wypływa stąd, że niemożliwą jest rzeczą, aby człowiek zajmujący się pracą nad rzeczami nieużytecznymi, pracował pożytecznie, i że ci sami robotnicy w dobrze zorganizowanym społeczeństwie, zamiast umierać z głodu, mogliby i powinni żyć dostatniej.

Można bardzo łatwo wykazać, że im więcej jakie społeczeństwo wydaje na zbytki, tem mniej wytwarza rzeczy pożytecznych.

Wyobraźmy sobie społeczność liczącą 10,000 ludzi; jeżeli z tej liczby 9,000 piecze chleb, sady jarzyny, kraje i szyje ubrania, buduje domy i t. d., a 1,000 wyrabia klejnoty, to rzecz jasna, że więcej będzie chleba, jarzyn, odzieży, domów niż klejnotów. Jeżeli zaś będzie odwrotny stosunek, t. j. 9,000 jubilerów, a tylko 1,000 piekarzy, ogrodników, krawców, murarzy i t. d. to społeczność taka musi umrzeć z głodu i zimna, choćby każdy z jej członków mógł nosić po kilka łańcuszków, pierścieni i innych ozdób.

Oto inny przykład. Na pewnym przyjęciu, (wypadek to nie rzadki), było kwiatów za 25,000 fr. Przypuśćmy, że robotnik zarabia przecięciowo 25 fr. na tydzień, to znaczy, że cena kwiatów równa się zarobkowi 1,000 tygodni, czyli 20-tu lat pracy. Dwadzieścia lat, to znaczy więcej niż połowa okresu pracy człowieka, na to, by na jedną noc przystroić salony.

Wolno nam chyba utrzymywać, że to dużo!...

Nikt bodaj tak surowo nie napiętnował zbytku, jak Ojciec Gratry <sup>1)</sup>.

„Zbytek powiada, jest przeklęty od Boga, ponieważ ludzi zabija. Czemuż nie uznać tej prawdy, kiedy ona w oczy się rzuca? Mówię wam w imię nauki, doświadczenia i namacalnych dowodów, że taki stopień zbytku, czyli próżnych wydatków, jaki daje utrzymanie 100 robotnikom, którzyby i bez tego żyli, uniemożliwia istnienie prawie 100 ludziom, którymby dała utrzymanie zarówno, jak i drugim 100, ta sama ilość pracy, ten sam wydatek rozumnie zarządzony, a nie kierowany głupotą i szaleństwem.

Tak jest, szaleństwo, egoizm i występki nadający tak często kierunek pracy, gniecie i zabija lud.

Więc zbytek jest przeklęty, bo rujnuje i pożera narody.

*Zbytek* jest mordercą: To dość powiedzieć. Stąd te straszne groźby Ewangeliczne przeciw bogaczom. Bogacze siłą faktów i okoliczności dążą do piekła, do ruiny swej duszy, swego ciała i do ruiny społeczeństwa. Dążą doń—już w niem są;—chyba, że moc ofiary, że wszechmoc Krzyża, którego się z trudem uchwyca, chyba, że praca, umiarkowanie, prostota, męstwo, cnota, mądrość chrześcijańska w używaniu życia i sił, wyratują ich i zrównają z ubogimi, którzy pracują i cierpią“.

---

<sup>1)</sup> Gratry: La morale et la loi de l'histoire, T. I, str. 102.

My także powiemy z Ojcem Gratry, że „zbytek jest mordercą“, że rozwijać go jest rzeczą złą, co się da dowieść matematycznie.

\* \* \*

W roku bieżącym, cały elegancki świat paryski obecnym był na wielkim wyścigu; zbytek pod rozmaitemi postaciami rozpościerał się z całym przepychem.

Przedewszystkiem panie, królowe piękności, zwracały oczy wszystkich wspaniałymi strojami. Ale przechodzień, któryby te stroje badał uważnie, napróżnoby w nich szukał choćby jednego miejsca, któreby nie było zroszone łzami, albo splamione krwią.

Upał był nużący, więc śliczne rączki pań zręcznie poruszały pięknymi wachlarzami. Podróżnicy zaś opowiadają o tych kosztownych cackach, oprawnych w kość słoniową, że dostarczenie jednego kła słonia na targi europejskie, nie obchodzi się nigdy bez utraty życia jednego lub dwóch ludzi.

Szyję, ramiona i wiotkie kibicie dam zdobiły drogie koronki. Któż nie wie jak ciężko pracują koronczarki, jak są oburzająco mało płatne, i że wreszcie fach ich skazuje je bezlitośnie na suchoty.

Włosy, na palcach, przy uszach, bransoletach, pierścionkach, kolczykach, iskrzyły się wspaniale brylanty. A wiemy—(ku zbudowaniu przeczytajcie książkę kapitana Dreckera), — że w kopalniach kraju Przylądkowego robotnicy murzyni, — bracia nasi, — pracują pod strażą dozorców uzbrojonych w rewol-

wery, że muszą codziennie przed wyjściem z kopalni przyjmować środki przeczyszczające, i że odchody ich są poddawane analizie.

Zbytecznie chyba mówić dalej, ale gdyby ukazał się wśród nas ów wielki agitator Bernard ze Sienny, czy sądzicie, że nie mógłby rzucić w oczy, nie jednej z dzisiejszych naszych dam tego, co tak groźnie głosił w końcu XIV i na początku XV wieku, drżącym przed płomiennem jego słowem tłumom: „O niewiasty! niewiasty! Gdyby wycisnąć szaty i ozdoby wasze, popłynęłaby z nich krew bliźnich waszych!“

A więc miał słuszość Ojciec Gratry, zbytek jest mordercą. Jest nim bezpośrednio, jak to wykazaliśmy; jest nim także pośrednio.

Wiadomo, iż wiele przyczyn złożyło się na to (Leon XIII przypomina to w Encyklice *Rerum novarum*,) — że bogactwo coraz bardziej skupia się w rękach niewielu jednostek. Nieuniknionem następstwem takiego stanu rzeczy jest, że bogactwo nagromadzone u kilku, ze szkodą olbrzymiej większości drugich, sprawia, że większość jest o tyle uboższą, o ile bogata mniejszość tonie w zbytku. Ponieważ nasze istotne potrzeby są z natury rzeczy ograniczone, przeto chcąc korzystać ze zbywających dostatków, musimy z konieczności wymyślać nowe potrzeby, do zaspokojenia których służą przedmioty zbytku, dla jednych przyjemne, dla większości bezużyteczne.

Wielka bowiem zachodzi różnica między przedmiotem zbytku, który raz zużyty zostawia zupełną pustkę po sobie, a przed-

miotem użytku, który zapewnia ludziom utrzymanie życia.

Jeśli kupisz brylanty, będą zawsze nieużyteczne dla dobra społeczeństwa; lecz gdy kupisz pług, przyczyni się on do produkcji chleba. Kupisz książki, dopomogą do rozwoju umysłowego bogacąc społeczeństwo, stanowiąc kapitał procentujący; przeciwnie nabycie brylantów zuboży społeczeństwo, tworząc dobro unieruchomione.

I nie trzeba być Salomonem by pojąć ogromną różnicę, zachodzącą między nabyciem klejnotów za 10,000 fr., które tylko służą próżności, a zakupem sta lub dwustu sztuk bydła, które wyżywią pasterzy, gospodarzy rolnych, rzeźników, szewców, garbarzy i t. d.

Na tem właśnie polega prawdziwe zubożenie społeczeństwa, i tem się tłumaczy to ciekawe zjawisko, sprawdzone u upadających narodów, którego straszny przykład widzimy w historii Rzymu; a mianowicie: że społeczeństwo, będące w posiadaniu olbrzymich zasobów i sił produkcyjnych, nie jest w stanie zaspokoić najbardziej naglących potrzeb większości swych członków źle odzianych, źle pomieszczonych, podczas gdy inni zadawalniają najkosztowniejsze zachcianki.

I tak, naród upada powoli i bez ratunku! Kapitał idzie na wytwarzanie przedmiotów zbytku, wyżywia zaledwie niewielką liczbę ludzi ze szkodą rolnictwa i najpotrzebniejszych rzemiosł; wyrabianie rzeczy niepotrzebnych pochłania siły, któreby dopóty powinny wytwarzać przedmioty pożyteczne, dopóki

tylko będzie wśród nas choćby jedna istota głodna i bezdomna.

Zbytek zatem stwarza się kosztem nędzy; im bardziej się go popiera, tembardziej się uboży społeczeństwo, tembardziej spycha się do nędzy masy proletariatu, tembardziej pomnaża się liczbę ludzi bez grosza, bez chleba, bez dachu.

A więc wy, którzy jesteście chrześcijanami, wiedźcie, że jeżeli położenie wasze daje wam możność pewnego zbytku, prawo Boże pozwala używać go w ciasnych tylko granicach. Kapłani głoście to z ambon. A jeżeliby kto chciał w was wmówić, że zbytek popiera handel i daje utrzymanie robotnikom, pamiętajcie, że utrzymuje on chyba tylko grabarzy i mówcie to śmiało.

Co właściwie nazywamy przedmiotem zbytku? Jeżeli nazywamy rzeczami potrzebnymi, to wszystko, co służy do utrzymania życia materialnego, moralnego, lub umysłowego człowieka, to prócz przedmiotów koniecznych, nie będziemy też również uważać za przedmiot zbytku: ani książek, ani obrazów, ani instrumentów muzycznych, ani dzieł sztuki, ani tego, co służy do podniesienia narodowej świetności, ani nawet pewnej elegancji, która wpływa na wykształcenie dobrego smaku u ogółu i t. d. Zaś przeciwnie uważamy jako zbytek: brylanty, konie wyścigowe, zbyt liczną służbę i t. d.

\* \* \*

Ze wszystkich tych uwag, spróbujmy wyciągnąć moralne zasady.

Zbytek umiarkowany, zabawy i uroczystości, mogą poniekąd być użyteczne dla dobra kraju i spełniać niejako funkcję społeczną; ale na to trzeba:

1) Aby zbytek i zabawy były tylko uprzyjemnieniem, a nie wyłącznym zajęciem życia.

2) Aby były zewnętrzną oznaką stanowiska społecznego, a nie bezmyślną próżnością. Jeżeli np. prezydent Republiki francuskiej przyjmując panującego, poda mu szampana w złotym pucharze, ozdobionym brylantami—to czyn ten będzie zupełnie właściwym. Ale gdyby jaki prywatny człowiek, choćby bogatszy od prezydenta, uczynił to samo, byłoby to śmiesznem i nagannem.

3) Aby zbytek nie był szkodliwym przykładem. Pani X. wprowadza na swoich przyjęciach jakąś kosztowną innowację. Naturalnie wszystkie jej znajome nawet najmniej zamożne, będą ją naśladowały, i to często kosztem niemałej lekkomyślności finansowej lub moralnej. Zapewne, że one błędzą: — ale Bóg włożył na każdego z nas troskę o braci naszych, któż więc nie przyzna, że w tym wypadku znaczna część odpowiedzialności spada na panią X.?

I najlepszem zakończeniem tego rozdziału będą Boskiego Mistrza słowa:

„Beati pauperes spiritu“, „Błogosławieni ubodzy duchem“.



## ROZDZIAŁ XI.

### PANOWIE i SŁUŻBA. MORALNOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKA.

Świat, w którym się wzajemnie oskarżają.—Nauka według św. Pawła.— Co mi stara kobieta opowiadała.— Życie w nędzy, śmierć w opuszczeniu.— Wybór służących.— Odpowiedzialność moralna.— Kwestya mieszkania.— Odpowiedzialność z punktu widzenia religijnego.— Zapoznane obowiązki. Możliwa interwencya.— Dwie kwestye sumienia.— Konieczne odróżnienie.— Jeszcze moralność i kazuistyka.

Trudny to bardzo do napisania rozdział, — ale ponieważ chodzi o zasady, więc bądź co bądź postanowiliśmy iść śmiało naprzód.

Gdzież znaleźć pana lub panią domu, którzyby się nie uskarżali na służbę i odwrotnie, gdzie szukać służby zadowolonej ze swych chlebodawców, i w skargach tych ileż nieraz goryczy!

Zacznijmy od chlebodawców, później o służbie mówić będziemy.

Skarżycie się więc na służących, ale czy przed sformułowaniem tych

żałów porachowaliście się z własnym sumieniem? Być może, że oni są złymi sługami, ale czy wy, jako ich chlebodawcy nie macie sobie nic do zarzucenia. Czy szanujecie w nich to, co jest poszanowania godne? ich godność ludzką, czy macie poczucie waszej odpowiedzialności?

Bo wielka i ciężka jest odpowiedzialność wasza. Święty Paweł, który nie lękał się wypowiadać prawdy, określa tę odpowiedzialność strasznymi w swej zwięzłości słowy: *Servus, domino suo stat aut cadit*. „Pan jest opowiedzialny za wytrwanie, lub upadek sługi swego; a Bourdaloue w kazaniu swoim: „O staraniu o sługach“, mówi: „Jeżeli jeden z nich się potępi, będzie to na waszą zgubę i na wasz rachunek“.

Boć istotnie obowiązki chlebodawców nie ograniczają się jedynie do wypłacania należnego sługom wynagrodzenia.

Wedle sprawiedliwości zapłata należy się, jako wynagrodzenie za pracę, ale nie trzeba zapominać, że słudzy dają więcej: dają wolność swoją, co jest ważniejszym, gdyż wprowadzając do kontraktu nowy pierwiastek, nakazuje roztoczyć opiekę nad ciałem, i nad duszą podległych istot.

Czy sądzicie naprzykład, wy panie domu, że macie prawo, pod pozorem, iż chcecie mieć u siebie porządne służące, nie zepsute wpływem wielkich miast, zabierać ze wsi dwudziestoletnie dziewczęta, które może gdyby nie wy, nie opuściłyby nigdy swej wioski, a wyszedłszy za mąż za uczciwych wieśniaków, wychowałyby dzieci na dzielnych i zacnych ludzi?

Czy sądzicie, że z punktu widzenia społecznego, macie prawo przykładać rękę do tego opłakanego wychodźstwa, które wyludniając wsie nasze, z każdym rokiem powiększa liczbę proletariatu miejskiego?

\* \* \*

Oto co mi raz opowiadała stara kobieta.

„Wyjechali wszyscy czworo: ojciec, matka i dwoje dzieci“.

A jednak szczęśliwi byli na wsi, bo choć nie opływali w dostatki to przecież mieli własny kęs chleba i oddychali czystym powietrzem Bożem. I tak schodziły dni bez nadzwyczajnych wydarzeń, bez wielkich radości, lecz i bez prób ciężkich; żyło się pełniąc obowiązek.

Skąd im ta myśl przyszła? Niewiem. Może znęciły ich obietnice jakiej agencji. Zdawało im się, że w mieście odrazu się wzbogacą. Ja byłam już za stara, by z nimi jechać, w moim wieku nie tak łatwo zrywa się z przyzwyczajeniami. Zresztą, potrzeba mi powietrza, przestrzeni, trawy na łące i drzew naszych, więc zostałam, a oni pojechali.

— No matko, bądź spokojna; wrócimy zobaczyć Cię znowu. Tutaj trudno nam żyć, tam zarabia się więcej.

Pokiwałam głową; wszystkie te marzenia wydawały mi się bardzo piękne, ale to były tylko marzenia, nie wierzyłam. Długo płakałam po ich odjeździe, ale w końcu uspokoiłam się, otarłam łzy i powróciłam do cichych moich zajęć. Tylko codziennie wychodziłam na drogę w stronę, gdzie mi z oczu zniknęli. Wie-

działałam dobrze, że już nie wrócą, ale matki zawsze się ludzić muszą!

Tak było przez parę miesięcy; drobne moje oszczędności, powoli zaczęły się wyczerpywać.

Przysyłali mi wiadomości o sobie; z początku częste, potem coraz rzadsze,— w końcu zamilkli zupełnie. Ja pisać do nich nie mogłam, bo nie umiem, czekałam więc i znowu zaczęłam płakać, tak, że aż dziwiłam się nieraz, skąd mi się tyle łez bierze?

Nareszcie po dwu latach dowiedziałam się, że przybyło dziecko im; już było ich teraz pięcioro. Ale cóż oni tam robili i dlaczego to milczenie, zdające się pokrywać, jakąś bolesną tajemnicę? W końcu, dnia pewnego nie mogąc dłużej wytrzymać, zabrałam grosz ostatni i ruszyłam w świat, aby ich odszukać. Zdała od nich życie było mi zbyt ciężkie, chciałam przed śmiercią choć raz jeszcze dzieci moje zobaczyć.

„I tak przywędrowałam do Paryża!

„Ach! Ojczyzna, ten Paryż! Nie pojmuję, jak ta biedna moja córka mogła żyć tutaj! I te dzieci, co tak lubiły trawkę zieloną i pachnące kwiatki!...

„Nie mieszkali już tam, gdzie miałam nadzieję ich znaleźć. Odsyłano mnie od drzwi do drzwi, błąkałam się po tem mieście ogromnem, ja biedna starowina, bez rady i oparcia. Mój Boże, jakie życie jest ciężkie nieraz dla biednych ludzi!

„I jak się to stało, że po całotygodniowym poszukiwaniu zdołałam ich odnaleźć, nie wiem. Dziwiłabym się temu i dziś jeszcze, gdybym nie wierzyła w Opatrzność Bożą. Musiałam wejść aż

na szóste piętro jakiegoś domu smutnego, czarnego, jak otchłań piekielna!

Pchnęłam drzwi, na wpół otwarte: na ciemnym poddaszu, bez pieca, ni kominka, leżała w gorączce na stosie gałganów, biedna moja córka.

„Na mój widok, w oczach jej błysnął jakby promień wesela; próbowała powstać, lecz sił jej zabrakło, ciężko opadła na barłóg, a spojrzenie jej stało się smutne, tak bardzo smutne, że zasłoniłam twarz rękami, by niewidzieć tego cierpienia, które mi taką boleść sprawiło.

— Gdzież dzieci?—spytałam.

Ruchem ręki wskazała kołyskę, gdzie biedne stworzonko, blade, wychudzone, z podsiniałymi oczyma spało spokojnie.

— A tamte?

Podniosła rękę ku niebu. — Zrozumiałam.

Poszli oboje, tam, wysoko, do krainy aniołów. Zapewne oni tam szczęśliwi, ale ci co zostali!...

— Jakób?

Biedaczka spuściła głowę i wielkie łzy popłynęły jej z oczu.

— Czy i on umarł?

— Nie—odpowiedziała—opuścił mnie, taka straszna była u nas nędza...

Powstałam oburzona.

— O nie potępiajcie go matko! Przecie to ja go do Paryża zaciągnęłam, wiecie dobrze, że on nie chciał. Ale ja namawiałam go, podniecałam, wydawało mi się, że tu znajdziemy bogactwo. Uległ moim prośbom i pojechaliśmy.

Atak kaszlu przerwał jej mowę, krew wypłynęła na usta.

Chciałam nakazać jej milczenie, ale

ona, podniósłszy na mnie zmęczone oczy szepnęła:

— Pozwólcie mi mówić, otworzyć serce przed wami, to mi ulgę przyniesie. Od pierwszych zaraz dni zaczęła się nasza nędza. Chlebodawcy nasi byli zbyt wymagający i surowi, więc ich opuściliśmy. Jakób szukał pracy, ale tak o nią trudno, żeśmy nigdy nie mogli głodu zaspokoić. Z początku trzymał się mężnie, ale po śmierci dzieci popadł w zupełną rozpacz. Potem ja zapadłam na zdrowiu i wiecie matko, tylu jest złych kolegów! Zbałamucili go, — zaczął pić, aż w końcu pewnego dnia poszedł i więcej nie wrócił! Walczyłam potem sama, ale nędza mnie zwyciężyła. Już resztkami gonię. Niebo was przysyła, by mi oczy zamknąć, i jeżeli czas jeszcze, dziecko ratować!

Chciałam zaprzeczyć!

— Nie, nie przeczcie mi rzekła, czuję dobrze, że to już koniec. Nie śmiałam pisać wam tego wszystkiego, bośmy wyjechali wbrew waszej woli; wiem, że już zapóźno, by życie rozpocząć na nowo, ale błagam was przebaczcie mi bym mogła umrzeć spokojnie. Żyła jeszcze parę tygodni; umierając miała zaledwie lat trzydzieści. Prócz mnie nie szedł nikt za jej trumną.

Co z Jakóbem się stało, nikt nie wie.

Teraz wrócę do mojej wioski. Mam siedemdziesiąt dwa lata; biedna sierotka, którą mi córka pozostawiła ma dopiero ośmnaście miesięcy. Mam jeszcze kilkaset franków i spróbuję pracować u drugich i na chleb zarabiać, by to co mam zostawić sierocie; bo sama niedługo już żyć będę.

— A potem?

— Potem, — odrzekła głosem, którego nigdy nie zapomnę; potem pójdę za moją córką, tam wysoko, a Ojciec nasz Niebieski będzie żywił sierotę. Chyba, dodała, po chwili niewypowiedzianie smutnego milczenia, że drzewko młode złamie się jeszcze przed starem. Co Bóg da.

Wreszcie patrząc na mnie, dodała z dziwną jakąś mocą:

— Ojczy, kapłanem jesteś — jeśli ci się kiedykolwiek zdarzy sposobność, powiedz wszystkim wieśniakom, by nigdy nie myśleli o wielkich miastach. Wielkie miasto to otchłań, która pożera mężczyzn kobiety i dzieci; powiedz im, by nie opuszczali swych wiosek“.

A ja, ze łzami w oczach piszę tę opowieść i pragnąłbym by była nauką dla wielu.

\* \* \*

Czy sądzicie, wy, którzy macie liczną służbę, że wolno wam ze spokojnem sumieniem dobierać służących, uważając jedynie na ich fachowe uzdolnienie, a nie troszcząc się o to, jaki jest ich stan moralny, i czy złym przykładem nie zgorszą innych, nie zaszczepią w nich zepsucia?

Czy myślicie, że macie prawo przeznaczać pokojowej, lub pannie służącej pokój sypialny na poddaszu, gdzie obok, mieści się męzka służba?

Może mi powiecie, że wasze pokojowe lub panny służące są pełnoletnie i mają dość rozumu, by się same wystrzeżały.

A ja wam na to odpowiadam, że nie macie prawa tak mówić.

Z waszego to powodu, te młode istoty narażone są codzien, co rano, co wieczór na pokusy, które mogą im być okazyją do grzechu: dla tego, że są u was, w waszej służbie, pod waszą opieką, żeście nie użyli dostatecznych środków ostrożności, by je ustrzedz, ochronić przed niemi samemi i przed drugimi. Lękajcie się, by przekleństwo świętego Pawła nie spadło na was.

A pod względem materyalnym, czy jest lepiej?

Są domy, gdzie służący nie mają wcale własnego kąta—sypiają w jadalni lub przedpokoju, tam zaś gdzie im ten kąt dają, ileż razy się zdarza, że jest to prawdziwa nora, bez powietrza, bez światła, gdzie człowiek praży się w lecie, w zimie marznie, a gdzie mu zawsze źle!

Ależ odpowiedzcie mi, — cóż mamy czynić? Mamy za małe mieszkanie, by w niem pomieścić służbę, a dochody nie pozwalają na większe.

To żaden argument i z pewnością nikt z was nie będzie miał odwagi użyć go na swoją obronę przed trybunałem Bożym, gdy Sędzia surowy wskaże wam dusze, które może nigdy nieba nie ujrzą, dla tego żeście zapomnieli o odpowiedzialności waszej.

Bądźcież logiczni! Nic was nie zmusza najmować sługi, mieć ich dwoje lub więcej, ale skoro bierzecie sługę, powinniście szanować jego godność, pamiętać o obowiązku czuwania nad jego duszą i ciałem; nie zapominajcie o tem.

Jest to obowiązek, od którego zwol-



nić się można usługując samemu sobie, ale z chwilą gdy się wprowadza stan rzeczy pociągający za sobą obowiązki, trzeba je uznać i wykonać.

\* \* \*

Czy chlebodawcy, mają jakie szczególne powinności względem sług swoich z punktu widzenia religijnego?

Co do nas, nie mamy żadnej wątpliwości pod tym względem, ale ponieważ możnaby spierać się oto, jaki jest zakres tych powinności, więc spróbujemy określić bliżej niektóre punkty.

Pierwszym obowiązkiem chlebodawców jest ułatwiać sługom spełnianie praktyk religijnych. Ułatwiać, to znaczy pomagać, bo zdarza się często, że chociaż nie zakazuje się wyraźnie, jednak tysiącami sposobów się przeszkadza.

Trzeba tu, jak wszędzie postępować sumiennie. Jeżeli pani domu, pod pozorem, że w kościele parafialnym odprawia się Msza Św. co niedziela o godzinie piątej rano, zabroni służbie wychodzić z domu między szóstą rano a dwunastą—postąpi źle. Wie ona dobrze, że natura ludzka jest słaba, a tak wczesne wstawanie jest rzeczą bardzo przykrą; naraża więc służbę na opuszczenie Mszy św. gwałcąc tym sposobem obowiązek miłości. Gwałci też równocześnie obowiązek sprawiedliwości, bo nie można rozsądnie wymagać od sług, którzy zwykle kładą się spać późno, by odmówili sobie koniecznego snu, dla

spełnienia religijnego obowiązku, który łatwo wypełnić można o innej godzinie, przy obustronnej dobrej woli.

Idźmy dalej — bo to słowo „ulatwić“ ma rozleglejsze znaczenie. Być na Mszy cichej, krótkiej, co niedziela, wystarcza od biedy dla spełnienia obowiązku religijnego, ale w rzeczywistości to „*summum jus*, jest „*summum injuria*“; to też można powiedzieć, że, to dokładne zachowanie przepisu, nie jest jeszcze wystarczającym. Chrześcijanin powinien podtrzymywać wiarę w swej duszy i coraz dokładniej poznawać prawdy religijne, dla tego to Kościół ustanowił nauki i kazania niedzielne i świąteczne, Adwentowe i Wielkopostne. Otóż czyż można na to się zgodzić, aby istnieć miała cała klasa chrześcijan i chrześcijanek dobrowolnie pozostawionych poza tem działaniem Kościoła, którzy nigdy nie bywają na kazaniach bo pani domu wstaje późno, każe podawać sobie śniadanie do łóżka, lub nie chce się sama zająć dziećmi? Czy można dopuścić, żeby byli chrześcijanie i chrześcijanki, którzyby nigdy nie wysłuchali nauk adwentowych, lub wielkopostnych? w niedzielę, obowiązek przytrzymuje ich w domu, jeżeli mają tak zwane „*wychodne*“, to muszą zaczerpnąć trochę świeżego powietrza po jednym lub dwóch tygodniach zmudnej pracy, albo odwiedzić kogo z rodziny lub blizkich. A w ciągu tygodnia, państwo jedzą obiad o godzinie 7 a niedogodnie by im było przyspieszyć lub opóźnić porę obiadową lub samym sobie posłużyć. Ogólnie przyjętą zasadą jest, iż dla sług krępować się nie potrzeba. Ale drogi panie, droga

pani, wszakże wiara tego człowieka, tej kobiety cierpi, nic nie zasila ich religijnego życia, a was to nic nie obchodzi?

Och! gdyby trzeba tak o wszystkim myśleć!...

I to codziennie dają się słyszeć podobne odpowiedzi. Wprawdzie nie wszędzie dzięki Bogu, są chlebobdawcy chrześcijańscy albo po prostu tylko sprawiedliwi, którzy rozumieją, co to jest prawość i prawo. Ale obok tych wyjątków, dość na szczęście licznych, ileż zapomnienia i pogwałcenia prawa i sprawiedliwości przez ludzi, którzy mówią i wierzą nawet, że są chrześcijanami!

Mówiliśmy, że trzeba ułatwić spełnianie obowiązków religijnych; możnaby zapytać, czy wypada posunąć się dalej i przynaglać do ich wypełniania. Kwestja to trudna, ale może rozstrzygnięcie jej możliwe nie jest.

Może się trafić dwojaki przypadek.

Mam u siebie służących, którzy niegdyś każdej niedzieli słuchali Mszy Św., odprawiali spowiedź Wielkanocną—okazywali się dobrymi chrześcijanami. Powoli, wiara ich zaczęła słabnąć, zapomnieli o obowiązku Wielkanocnym, zaprzestali uczęszczać na Mszę Św. Zresztą służący wzorowi i pod każdym względem, co się tyczy spełniania obowiązków służby, jestem z nich zadowolony.

Czy mam prawo wywalić ich ze względu na zasadę, że chcę mieć u siebie tylko gorliwych katolików?

Bez wahania odpowiadamy: — nie.

Boć istotnie, ci służący, zawierając ze mną umowę, nie obowiązali się do wypełniania praktyk religijnych, zobowiązali się służyć mi wiernie i uczciwie,

to też nie mam prawa ich wydalać; służba ich jest uczciwą i wierną, chyba, że ich zachowanie pod względem religijnym stanie się gorszącem i może mieć wpływ ujemny na dzieci, lub resztę służby.

Ale wówczas nadaje mi to prawo przyczyna uboczna (zgorzenie) nie zaś sam fakt zaniedbywania obowiązków religijnych.

Drugi wypadek może się zdarzyć przy godzeniu sług.

Czy wolno mi powiedzieć służącemu: Chcę mieć u siebie jedynie dobrych katolików. Będziesz więc na Mszy św. co niedziela, a na Wielkanoc przystępować będziesz do Sakramentów Św.

Rozważmy to:

Owszem, o ile chodzi o akt zewnętrzny, to jest bywanie na Mszy św. bo to jest użycie czasu, należącego do mnie i sługa jest uprzedzony, że będzie musiał zastosować się do tego zwyczaju, który w niczem sumienia jego nie krępuje. Jakikolwiekby byłoby jego usposobienie wewnętrzne, czyn który spełnia, jest zewnętrznie dobrym. Ale rzecz się ma inaczej, jeżeli chodzi o spowiedź Wielkanocną, bo na to, aby czyn ten był dobrym, musi być przyzwolenie wewnętrzne, wywierając szczególny nacisk, naraża sługę na hypokryzyę świętokradztwa.

W każdym jednak razie, jest jedna rzecz, którą zakazać mogę pod groźbą wydalenia, choćby nie była wypisaną w zawartej umowie, a mianowicie bluźnierstwo.

Przysługuje mi prawo zabronić by pod moim dachem znieważano mego oj-

ca, moją matkę, a tembardziej mego Boga.

Tym zaś, którzy do woli mojej, zastosować się nie zechcą, wolno mi powiedzieć, że dla nich w domu moim miejsca nie ma.

## ROZDZIAŁ XII.

### CHLEBODAWCY i SŁUDZY. ODPOWIEDZIALNOŚĆ SPOŁECZNA.

Niedziela służących. — Zarzuty i odpowiedzi. — Przyjęcia niedzielne. — Trzeba się trochę krępować. — Czy Bóg stworzył dwa rodzaje ludzi? — Wnioski praktyczne. — Prawo pokojowych, kucharek, pańien służących. — Powinność obywatelska i rodzinna. — List margrabiny X... — Drobną przesadą. — Odpowiedź. — Co stanowi a co nie stanowi szczęścia w tem życiu. — Chleb biały i chleb czarny.

Powróćmy jeszcze do przedmiotu traktowanego w poprzednim rozdziale, by nacisk położyć na to, co w obowiązkach chlebodawców ma znaczenie społeczne.

„Pamiętaj abyś dzień święty święcił“ — mówi Dekalog. Przykazanie stało się przedmiotem długich komentarzy i tłumaczeń rozlicznych.

Ale i tu kazuistyka wcisnęła się na miejsce moralności. Zapytywano się nie o to, czy się godzi, czy należy czynić to lub owo, ale czy taka a taka rzecz będzie grzechem śmiertelnym, a gdy odpowiedź była przecząca, nie robiono sobie skrupułów.

Moralność mówiła: „by uczcić należyście dzień święty, trzeba go obrócić na służbę Bożą i wstrzymać się od prac służebnych“. Kazuiści wybadali do jakiego stopnia można zgwałcić to prawo, a jednak nie stanąć w zupełnej z niem sprzeczności. Wytłómaczyli, że ten kto wysłucha Mszy św. i wstrzyma się o ile ważna okoliczność nie zachodzi,—od pracy, gdzie ciało jest czynniejsze, niż umysł, jest w zgodzie z przykazaniem. I w ten sposób powstała, jakby minimalna taryfa obowiązku niedzielnego, odnośnie do ludzi i odnośnie do Boga.

Być na Mszy, na jaknajkrótszej, wstrzymać się od pracy przy roli, lub w warsztacie wydało się dostatecznym.

Dzień, który Stwórca dał na to, by wypoczywać i cześć Jemu oddawać, został obrócony bez skrupułów na przeróżne zajęcia i stał się niemal, jak inne dni, dniem pracy i wpływ jego umoralniający został zredukowany do minimum. W niedzielę nie było mowy zazwyczaj, ani o czytaniu ani o nauce, czy to prawd wiary, czy moralności. Słowem, niedziela stała się prawie niczem pod względem rozwoju religijnego. Łatwo odgadnąć, jak w tych warunkach uszanowano niedzielę służących. Msza święta o świcie, wyjście popołudniowe od drugiej do piątej, lub szótej co dwa tygodnie, oto wszystko; wiele pań i panów domu trzymało się tej reguły, nie przypuszczając, że ci ludzie mają prawo żądać od nich czegoś więcej.

Zapewne, i w niedzielę jest praca nie zbędna w domu: trzeba posiłek przygotować, załatwić się z gospodarstwem; ale zajęcia te powinny ograniczać się do

co niezbędne. Nie wolno wymagać od sług tego, czego byśmy sami w dniu tym nie robili. A zatem prócz tego, że mamy ułatwiać służbie wypełnianie obowiązków religijnych, należy im dać w niedzielę o ile możliwości, jaknajwiększą swobodę.

Czytając powyższe uwagi, niejednen czytelnik lub czytelniczka, pomyśli może, że autor jest bardzo naiwny.

Gdyby wiedział, na co to nasza służba, a zwłaszcza pokojówki i panny służące obracają niedzielę, nie głosowałby tak bardzo za udzieleniem im wolności.

Przeciwnie, twierdziłbym to samo. Wszak jest zasadą, że przypuszczalne nadużycie prawa nie jest wystarczającą racją, by bliźniego prawa tego pozbawiać. Wszyscy ludzie a zatem i służący mają od Boga dane prawo, a nawet obowiązek, odpocząć w niedzielę; nie możecie im przeszkadzać w korzystaniu z tego prawa, w spełnianiu tego obowiązku. Robimy wyjątek od tej reguły, tylko na ten wypadek jedynie, jeżeli sługa jest małoletnim, powierzonym waszej odpowiedzialności.

A dalej, zrozumiejmy się: Odpoczywać w niedzielę, to nie znaczy siedzieć z założonemi rękoma i niczem się nie zająć. Wypoczynek wymaga przechadzki, odetchnienia świeżem powietrzem, rozmowy z przyjaciółmi; sługi wasze nie wypoczną, gdy im nie pozwolicie wyjść z domu.

Przytem czwarta część niedzieli, co dwa tygodnie to stanowczo za mało.



A jeżeli dla przyczyn materyalnych, które każdy pojmie, możecie im dać tylko część dnia, to przynajmniej róbcie co możliwe, by zastosować się w jaknajobszerniejszej mierze do przykazania Bózego.

Zarzucają nam, że domu nie można zostawić bez opieki; jeżeli wszyscy wyjdą, któż go strzedz będzie?

Dom nie ucieknie, choćby cała rodzina wyszła na przechadzkę, a dobry zamek bezpieczeństwa zabezpieczy dostatecznie od włamywaczy. Zresztą, czyż się nie zdarza, że niejedynemu gdy mu przyjdzie ochota wyjechać latem na wieś, zabiera wszystkich ze sobą i jeszcze nie było wypadku aby dom sę ulotnił.

Nie macie prawa, chyba w wyjątkowych razach, zabierać niedzielę sługom waszym i słudzy nie mają prawa wam jej oddawać. Niedziela, to przywilej, który nie może być przedmiotem umowy. Bóg ją zachował dla siebie. Nie należy ani do was, ani do sług waszych, niedziela jest własnością Boga, nie tykajcie jej.

\* \* \*

Wielką przeszkodą do wypoczynku służby: są przyjęcia niedzielne.

Wszyscy znamy domy, gdzie weszło to w zwyczaj, przynajmniej przez większą część roku, przyjmuje się gości co niedziela wieczorem.

Jest to bezpośrednie i wyraźne gwałcenie przykazania. Ależ, powie mi kto,—boć nie ulega wątpliwości, że to wszystko, co mówię wywoła protesty,—z takimi zasadami życie stanie się wprost

niemożliwym; stosunki towarzyskie nadzwyczaj utrudnione; życie społeczne ogromnie skomplikowane.

— Proszę się nie obawiać. Nawet z naszymi zasadami życie będzie możliwe, stosunki łatwe, życie społeczne nie bardziej skomplikowane, niż dzisiaj, i co najważniejsza, przykazania boskie będą zachowane.

Tylko trzeba się będzie trochę krępować.

A ludzie dziś krępować się nie chcą i uważają, że wygodniej przyjmować gości w niedziele. Ponieważ jest służba, więc nikomu na myśl nie przychodzi troszczyć się, czy się ich nie krępuje.

Czyż im się za to nie płaci?

Płaci się im za to, żeby nam byli pomocą, ale nie za to, żeby z życia naszego usuwali wszystko, co może być przykrością, pracą lub ciężarem. Bóg nie stworzył dwóch rodzajów ludzi, a jeżeli dla przyczyn Jemu samemu znanych wybrał nas przed drugimi do zawiadywania dobrami stworzonymi dla ogółu, i jeżeli w nagrodę za tę usługę daje nam w życiu ułatwienia jakich inni nie mają, to nie idzie za tem, aby wolno nam było prowadzić życie sybaryty, abyśmy nie mieli ponosić ciężarów życia społecznego, które przypadają na nas, ani byśmy się uchylali od poświęceń i pracy. Ci którzy nam służą, sprzedają nam swoje usługi: nie sprzedają ani praw człowieka, ani praw chrześcijanina; nie sprzedają nam niedzieli, tembardziej, że ona nie do nich należy, lecz do Boga.

A zatem?

A zatem w danym wypadku należy postępować tak, jak ci, co już nie urzą-

dzają przyjęć niedzielnych, ci, którzy przyjmując w niedziele, czynią to w taki sposób, aby służbie pracy nie przysparzać.

Rzecz ta zresztą, nie przedstawia wielkich trudności, jeśli pani domu potrafi tak zarządzić obiad, aby się składał głównie z zimnych potraw, które w sobotę mogą być przygotowane.

Dodajmy, że zajęcie po obiedzie powinno być o ile możliwości sprowadzone do minimum, lub odłożone na poniedziałek.

Niektórzy uważać to będą, za niedogodność, ale nie o to tu chodzi. Krępować się jest rzeczą przykrą, gwałcić prawo, jest grzechem, wahania więc tu być nie może. A zatem — przyjmowanie w niedzielę jest grzechem? nie, tego głupstwa nie powiedzieliśmy, lecz tylko, że prawo Boże nakazuje szanować niedzielę: Pamiętaj abyś dzień święty święcił.

Kazuistyka może usprawiedliwi takie przyjęcia, ale prawo moralne je potępi. To chyba wystarcza dla uzasadnienia naszych twierdzeń.

A nawet i z punktu widzenia kazuistyki, mamy prawo przypuszczać, że pani domu, któraby przyjmowała gości każdej niedzieli, a nie robiła nic, aby służbie zajęć umniejszyć, usprawiedliwiłby się mogła.

\* \* \*

Nasuwa się tu jeszcze inna kwestja, która dotyczy przedewszystkiem służby żeńskiej.

Powinniśmy dać osobom, które u nas służą: pokojowym, kucharkom i t. d.,

czas, by mogły się zająć własnem ubraniem i bielizną. Żąda tego sprawiedliwość i miłość bliźniego.

Sprawiedliwość, bo utrzymywanie ubrania zdaje nam się być jednym z wyraźnych lub domyślnych warunków umowy: gdyż skutkiem pracy, zużycie odzieży jest o wiele znaczniejsze, zresztą ten sam powód dla którego uważamy za słuszne, aby służba nasza bieliznę swoją prała w domu, wymaga abyśmy pozwalali im naprawiać swoją odzież, tembardziej, że wynagrodzenie sług najczęściej nie wystarcza by oddawać mogły tę robotę poza dom.

Żąda tego miłość bliźniego, ponieważ trzeba koniecznie naprawić i załatać bieliznę i odzież, służące muszą tę pracę wykonywać wieczorem, po całym dniu pracy, co przyczynia im znacznego nieraz trudu, albo częściej jeszcze w niedzielę, pozbawiając się w ten sposób koniecznego wypoczynku i przyzwyczajając do gwałcenia prawa Bożego.

Wreszcie, na zakończenie tych paru uwag o obowiązku społecznym względem sług zaznaczymy jeszcze i to, żeśmy obowiązani dać im możliwość dopełnienia powinności obywatelskich, jeżeli są obywatelami i rodzinnymi, jeżeli mają rodzinę. Czytelnikom chrześcijańskim wystarczy zwrócić uwagę mimochodem na oburzające postępowanie tych pracodawców, którzy przyjmując do służby młode małżeństwo stawiają jako warunek, że natychmiast zostaną wydaleny jeśli im dziecko przybędzie.

\* \* \*

Mówiąc o posłannictwie duchowieństwa przytoczyliśmy list i daliśmy nań naszą odpowiedź. W przedmiocie, który nas teraz zajmuje, podamy znowu list, pisany tym razem przez pewną panią i to nawet przez wielką panią, a nad którym również wartości się zastanowić.

„Niech mi wolno będzie powiedzieć, pisała do mnie pani margrabina X., że zupełnie się nie zgadzam z pańskim szlachetnem nawoływaniem na korzyść służących. Mojem zdaniem są oni ze wszystkich ludzi pracujących najmniej pożałowania godni. Mają mieszkanie, pożywienie i byle się okazali wiernymi i przywiązanymi, dostają zwykle używaną odzież swych państwa. Ale służące nawet z małych domów, gdzie sama pani daje przykład największej oszczędności, chodzą na targ w jedwabnych spódnicach, w cieniutkich bucikach, a w niedziele stroją się ze śmiesznym zbytkiem. Przytem są wybredne w jedzeniu i rozrzutne. Daremnie starałam się obchodzić z nimi po macierzyńsku,—nie byłam zrozumianą. To też w końcu powiedziałam sobie: „Całe szczęście, że są przytułki dla nich na stare lata; bo doprawdy, najczęściej, na nic innego nie zasługują.

„Żeby więc roztkliwiać się nad sługami i podwyższać im wynagrodzenie, na to się nigdy nie zgodzę, i daruje mi Książdz Dobrodziej, że tym razem, nie mogę być jego zdania“.

Pewnie, że daruję Pani margr. ale z warunkiem, że Pani poczuje trochę skruchy.

Zbawiciel nasz, który był nieskończonem Miłosierdziem, żądał od dobrego

łotra, by uczynił akt skruchy, mamy więc prawo żądać tego i od pani.

Lecz wróćmy do listu i zastanówmy się nad nim.

Najpierw pozwoli Pani sobie powiedzieć, że jest w nim pewna przesada.

Widywałem i ja nieraz służące z dużych i małych domów, idące na targ; a odkąd otrzymałem list Pani, staram się uważać na nie lepiej, i wyznać muszę, że widzę więcej daleko sukien bawełnianych, niż jedwabnych spódnic. Prosiłem też znaczne i poważne matrony, by również uważać zechciały, ale i one nie spostrzegły, a przynajmniej nie w tak znacznej liczbie, cieniutkich bucików, ani jedwabnych spódnic.

Także w niedziele napróżno szukałem tego zbytku „śmiesznego“, o którym Pani mówi.

Widziałem służące, które zapewne ulegają trochę djablikowi kokieteryi, — ale zapytywane przez nas panie, odpowiedziały, że nie można przecież wymagać, by dwudziestoletnie dziewczęta ubierały się jak przekupki, a jeżeli w stroju ich przejawia czasem pewna rozrzutność, to nie dochodzi jednak do „grzechu śmiertelnego“, chyba bardzo rzadko.

Pani Margrabino, czy Pani nie przesadziła trochę i nie uczyniła wniosku zbyt pośpiesznie, sądząc ogół z pojedynczych wypadków?

Drugi punkt, który chcę Pani przedstawić, jest następujący: czy pani nie mięsza czasem skłonności ogółno ludzkich z przywarami właściwemi służącym? Marta, przypuśćmy, jest zalotna, rozrzutna, wybredna w jedzeniu, być może; ale czy dlatego ma ona te wady, że jest słu-

żącą? Nie; to dlatego, że w niej tkwi natura ludzka, — pani o tem wie równie dobrze, jak ja; te wady biednej ludzkości i wiele innych jeszcze ma pani i ja i wszyscy ludzie, a to skutkiem tego przekłętego pierworodnego grzechu, który takie spowodował zniszczenia, nie zaś dlatego, że ktoś jest panną służącą, praczką, kupcem, kucharką lub strażakiem.

Trzeci punkt, na który chcę zwrócić uwagę Pani, to pojęcie jej o doczesnem szczęściu. Mieć pożywienie, mieszkanie, pranie, i jeśli się jest wzorowym sługą nosić stare ubranie pana, lub pani, proszę mi wierzyć, to jeszcze szczęścia nie stanowi. Znam wielu ubogich, którzy za taką cenę, nie chcieliby zapewnić sobie utrzymania.

Mieć swoje ognisko domowe — proszę wierzyć mi, to rzecz nie mała. Mieć męża, dzieci, jeść chleb, choć suchy, ale swój, mózdz czasem wyjść z domu, gdy ma się ochotę i odetchnąć świeżem powietrzem, nie być zmuszoną co wieczór drapać się po 120 schodach na poddasze, by ułożyć się do snu, którego uczciwość nieraz utrudnia otoczenie mniej lub więcej podejrzanę; czy to nie ma też swego uroku?

Doprawdy pani margrabino, słudzy Jej składają ciężkie ofiary, więc cóż dziwnego, że ulegają pokusie by skądinąd sobie wynagrodzić? Proszę zauważyć, że na razie niechęć ani chwalić, ani ganić, tylko po prostu stwierdzam fakty.

A nie mówimy jeszcze o kapryśkach pań, które tak często trzeba znosić. Bo i pani domu ma swoje wady, tylko, że pani jest panią, więc mniej je

w sobie spostrzega, a więcej daje je uczuwać. Nie mówimy o dniach, w których trzeba czuwać do dwunastej lub pierwszej w nocy i czekać aż pani powróci z teatru, lub balu; ani o tak częstych przyjęciach niedzielnych, które biednym sługom (niech mi wolno będzie uznać się nad nimi mimochodem) przysparzają tyle zajęcia!

Czy Pani pomyślała o tem?

Może nie dostatecznie. I dlatego też zapewne pozostały bez skutku Jej macierzyńskie usiłowania. Nie udało się pani osiągnąć wpływu bo macierzyństwo Jej było prawdopodobnie zbyt wielkopańskie, a tem samem (przepraszam za wyrażenie) zbyt niezgrabne, aby doprowadzić do celu.

List Pani, Pani Margrabino, nasunąłby mi nie jedną jeszcze uwagę, ale nie chcąc przedłużać odpowiedzi, kończę, w nadziei, że tych parę myśli wystarczy by kwestyę sług w oczach Jej w nieco odmiennem przedstawić świetle.

A teraz, z serca życzę by Bóg Panią zachował, nietylko od przytułku na stare lata, ale jeszcze i od konieczności służenia u drugich; gdyby to nieszczęście spotkało Panią, zrozumiałaby Pani może, że lepszy jest chleb suchy, niż świeży, jeśli się świeży je u obcych, a suchy u siebie.



## ROZDZIAŁ XIII.

### PRACODAWCY i ROBOTNICY.

Prawo do pracy. — Rzeczywiste znaczenie tej zasady. — Kto jest odpowiedzialny? — Nasz plan reorganizacji. — Wolność która uciemieża. — Pracodawcy i syndykaty robotnicze. — Różnica pod względem użytkowania między moim domem, a moją fabryką. — Odpowiedzialność pracodawców. — Interwencja kościoła. — Zdziwienie pracodawcy. — niesprawiedliwy kontrakt. — Kilka przepisów praktycznych, odnoszących się do apostołstwa pracodawcy. — Poświęcenie bezinteresowne. — Zrozumienie. — Spostrzegać się niewdzięczności. — Faryzeusz. — Wytrwałość. — Pan Chagot.

W książce naszej p. t. „Własność, kapitał i praca“ \*) omawialiśmy kwestyę prawa do pracy. Ale jeżeli każdy człowiek ma prawo do pracy, należy zastanowić się, na kim ciąży obowiązek wprowadzenia tego prawa w życie: Czy na pracodawcach?

— Maszyny zmuszają ich do zmniejszenia sił roboczych.

---

\*) A in 12<sup>o</sup>, 422 str., wydawnictwo czasopisma „La Justice Sociale“, Paryż, rue Littré, 12. Cena 3 fr. 50 cn.

Czy może ciąży on na Państwie? na gminie? Czy są one do tego obowiązane? I jak?

Jest to pytanie ważne, spróbujmy na nie odpowiedzieć i sformułować odpowiednią zasadę.

Spółeczeństwo powinno przedsięwziąć takie środki, by każdy człowiek mógł korzystać ze swego prawa do pracy. Nie potrzeba, na to by rząd zakładał państwowe warsztaty i dostarczał bezpośrednio pracy robotnikom — wystarczy usunąć przeszkody, jakie napotyka w swoim zawodzie. A ponieważ główna przeszkoda pochodzi stąd, że jest więcej pracowników niż pracy, zatem najpilniejszą rzeczą jest założenie Stowarzyszeń zawodowych, któreby czuwały nad tem, by ci tylko mieli prawo pracować w danym zawodzie, którzy się go wyuczili w terminie. Równowagę zaś między popytem, a podażą, da się zaprowadzić, ograniczając liczbę terminatorów \*), stosownie do warunków popytu, łatwych do sprawdzenia.

A inni cóż robić będą? Czyż mają umierać z głodu?

Nie, bynajmniej; pamiętajmy, że Francja mogłaby wyżywić trzy razy więcej mieszkańców, tylko, że do uprawy ziemi brakuje rąk.

Na innym miejscu rozwinęliśmy szeroko nasz plan reorganizacji pracy, to też zamiast przedstawiać go tu powtórnie,

---

\*) Zob. w naszym dziele wyżej przytoczonym rozdział o organizacji zawodowej, który podaje sposoby łatwe i praktyczne, aby osiągnąć ten rezultat.

odsyłamy czytelników do wyżej wspomnianej książki: „Propriété, capital et travail“, łatwo się stamtąd przekonają, że można z łatwością zabezpieczyć prawo do pracy.

Co zaś do zarzutu, jakobyśmy dążyli do gwałcenia wolności, to powtarzamy raz jeszcze, że jeżeli wolność ta ma być li tylko ukrytą formą ucisku, to nie zasługuje ona bynajmniej by się o nią troszczyć.

Ale z innym jeszcze zarzutem:

Wszyscy zgadzają się z tem, że robotnicy mają prawo się stowarzyszać. Ale na cóż, powiadają, przyda się władza skrępowana? Na cóż się przyda syndykat, jeśli pracodawcy nie zechcą go uznać i z nim się znosić. Pracodawcom wogóle nielicznym w jednej miejscowości łatwo się porozumieć, łatwo się zorganizować, zresztą wiedzą dobrze, że robotnik zdać się będzie musiał na ich łaskę. Prawda, że robotnikom przysługuje również prawo stowarzyszenia się, ale pracodawcy mogą nie chcieć porozumiewać się z ich syndykatem. Kwestya zatem sprowadza się do pytania: czy wobec tego, że robotnicy mają prawo stowarzyszania się, pracodawcy obowiązani są wchodzić w porozumienie z ich związkami?

Według nas odpowiedź jest niewątpliwie twierdząca. Pracodawcy są do tego obowiązani; a jeśli według dziś obowiązującego prawodawstwa, nie można ich do tego przymusić, to przynajmniej wszystkiemi siłami starać się trzeba o prawo, któreby do tego przymusu upoważniło.

W artykule drukowanym w „Revue de Paris“, pan Sidney Webb uczony hi-

storyk Trade's Unionów, bardzo jasno określa interwencje stowarzyszeń zawodowych.

„Jeśli w jakiejś fabryce zaprowadza się innowację, która zmienia dotychczasowe warunki pracy: naprzykład nową maszynę, albo jakiś materiał surowy dotąd nieużywany, wskutek czego praca robotników staje się lżejszą, albo cięższą, pracodawca i robotnik zawiadamiają o tem agenta administracyjnego organizacji, do której należą. Agenci stron obu t. j. przedstawiciel syndykatu pracodawców i przedstawiciel trade-unionu, zwiedzają fabrykę, zbierają dane, oceniają za wspólnem porozumieniem skutki innowacji i określają w jakiej mierze przeciętnie byt robotników się polepszył, lub pogorszył. Przysługuje im prawo postanowić, że pracodawca płacić będzie przez czas trwania nowych warunków, aż do 10 procent więcej, lub 10 procent mniej niż wynosi płaca normalna, a zarządzenia te są skrupulatnie i dokładnie wypełniane.

Tak się rzeczy mają w przedsiębiorstwach w Lancashire, a pracodawcy nie czują się przez to mniej panami u siebie.

Bo w rzeczywistości nie idzie tu o własność, ale o kontrakt pracy. O ile idzie o to, co się ma wykonać i jak i w jakich warunkach, przez jakich pracowników i t. d., to oczywiście właściciel jest panem zupełnym i ma wszystkie prawa za sobą. Ale z chwilą, gdy w grę wchodzi element ludzki, skoro właściciel zetknął się z pracownikami, którzy stają się jego narzędziem, ale nie zrzekli się przez to, ani praw swoich, ani godności ludzkiej, rzeczy zmieniają swą postać, i zrozumieć łatwo, że pracodawca nie ma

prawa określać samowolnie i arbitralnie warunków pracy, jeżeli te warunki mogą naruszyć poważnie prawa i godność robotników.

Jasną jest równie rzeczą, jak to już nieraz zaznaczyliśmy, że nie można stać na równi własności zwyczajnej, np. domu prywatnego z warsztatem, gdzie się wykonuje wspólne dzieło i gdzie się gromadzi olbrzymia liczba robotników. Wreszcie z punktu widzenia społecznego łatwo pojąć różnicę, jaka zachodzi między wydaleniem ze swego domu jednego człowieka, a wydaleniem z fabryki pięciuset robotników, narażając przez to pięćset rodzin na nędzę, pod pozorem, że się jest panem u siebie. Wyznawać na tym punkcie zasadę nieograniczonej władzy pracodawcy i pozostawiać mu swobodę odrzucania wszelkiej interwencji, ze strony przedstawicieli jego współpracowników, jest to uniemożliwić zgodę społeczną i uprawnić najgorsze nadużycia.

Prawdą moralną, której konsekwencje mogą być bardzo poważne, jest że każde urzędowanie pociąga za sobą odpowiedzialność. Odpowiedzialność ta jak to dopiero co widzieliśmy, nie dotyczy wyłącznie strony materyalnej, ale i strony moralnej i religijnej.

Pracodawcy nie mają prawa uchylać się od tej odpowiedzialności i społeczeństwo zgodzić się nie może na to, by pieniądz ich miał służyć pośrednio lub bezpośrednio do wykorzenia moralności lub religii w tych, których u siebie zatrudniają. Byłoby błędem utrzymywać, pisał bi-

skup Freppel, że poza trzema społeczeństwami stworzonymi przez prawo Boże, naturalne lub ludzkie, to jest poza rodziną, państwem i Kościołem, nie istnieje już żadne inne ojcowstwo społeczne, ani obowiązek pieczy nad duszami.

Właściciel fabryki jest odpowiedzialnym za wszystkich, którzy w jej skład wchodzi, z punktu widzenia religijnego i obyczajowego; a odpowiedzialność jego nie jest jedynie *negatywną*, ale jest jeszcze *pozytywną*, to znaczy, że pracodawca powinien nie tylko czuwać nad tem, aby nikt nie stawiał robotnikom przeszkód w spełnianiu obowiązków religijnych, ale czynić wszystko, co jest w jego mocy, by *podnieść* ich stan moralny i religijny.

„Zasady te nie ulegają wątpliwości. Jeśli Pismo Św. mówi nam, że Bóg *każdemu z nas zlecił* czuwanie nad bliźnim: „*unicuique mandavit de proximo suo*“ (Eccl. VII, 12), to tembardziej obowiązek ten ciąży na tych, którzy stoją na czele całych grup ludzi. Niestety, wiem i widzę aż nadto często, że w naszych czasach obowiązek ten nie jest ani rozumiany, ani wypełniany. Znam przemysłowców, którzy sami osobiście spełniają obowiązki religijne, ale nie troszczą się bynajmniej o wzmocnienie lub zaszczerpienie wiary *wśród rodziny robotniczej, zostającej pod ich kierunkiem*, tak jak gdyby najmniejszej pod tym względem nie mieli odpowiedzialności.

„Jest to wynik wielkiego błędu naszych czasów, *liberalizmu*. Pod protekstem, że religja jest rzeczą czysto osobistą, że każdemu należy zostawić zupełną swobodę wierzenia w co chce i spełniania praktyk, jakie uzna za dobre,

pracodawcy nawet katolicy obojętni są najzupełniej tak na stronę religijną, jak moralną swych robotników. Niema działalności katolickiej w ich fabrykach, niema stowarzyszeń pobożnych, ani nawet znaków chrześcijańskich, *aby nie urazić niczyjej drażliwości*, co najwyżej jest szkółka elementarna dla dzieci. Tak to w czyn wprowadzają życzenie, zawarte w prośbie, którą co rano *zanoszą* do Boga: „Przyjdź królestwo Twoje, jako w niebie tak i na ziemi!”

„Kościół nigdy w ten sposób tych rzeczy nie pojmował.

Należy wyjść z zasady, że chrystyanizm przyszedł by *wszystko* naprawić: naprawić człowieka tak pod względem społecznym, jak indywidualnym, „instaurare omnia in Christo“, mówił Apostoł (List do Efez. I. 10). Jest to błąd zasadniczy *liberalizmu*, że naprawę tę ogranicza do jednostki. Tymczasem to *rodzina* cała powinna być chrześcijańską, w swem życiu wspólnem i zbiorowem, a nietylko składającą ją jednostki *wzięte pojedynczo*, niezależnie jedno od drugich. Chrześcijańskiem powinno być Państwo w swem życiu publicznem i społecznem, nie zaś tylko pojedynczy jego obywatele. Tosamo powiedzieć trzeba o *grupach społecznych*, złączonych wspólnymi interesami i potrzebami: tam również życie korporacyjne, życie społeczne powinno być życiem chrześcijańskiem, zastosowaniem do zasad Ewangelii i *kierowaniem tak, by każdy członek* łatwiej osiągnął swój cel ostateczny, poza celem swoim ziemskim i bezpośrednim.

„Wszystko to wymaga interwencji Kościoła, tudzież poszanowania jego wy-

roków, bo Kościół jest najpierwszym kierownikiem życia chrześcijańskiego, i o ile nie jest jego zadaniem, wchodzić w stosunki istniejące między członkami związków, gdy idzie o rzeczy czysto przemysłowe lub handlowe, o tyle interwencja jego jest uprawnioną i potrzebną, gdy w grę wchodzi moralność i sumienie“.

Jest w tych słowach wiele rzeczy do rozważenia.

\* \* \*

Razu jednego około Wielkiejnocy, zgłosił się do mnie prosząc o spowiedź, pewien znany przemysłowiec.

Wysłuchałem go w milczeniu, budując się głęboką jego wiarą i pragnieniem dążenia do doskonałości chrześcijańskiej, poczem zapytałem:

„Czy możesz mi zapewnić, że w twojej fabryce jest dostateczna wentylacja?— Spojrzał na mnie ze zdumieniem i zdawało mi się, że z trudem powstrzymywał pytanie: „Cóż to księdza może obchodzić?“ Nie odpowiedział mi wprawdzie w ten sposób, ale nie mógł się wstrzymać by nie zapytać o cel mego pytania.

„Rzecz bardzo prosta, odrzekłem. W pańskiej fabryce znajdują się życia ludzkie; te życia ludzkie pracują dla pana, to też odpowiedzialność za nie spada na pana. Jeżeli wskutek braku należytych urządzeń higienicznych, te życia marnieją lub zużywają się zbyt szybko, pan za to odpowiada. Taksamo, jak maszynom dostarczacie potrzebnego opał, tak ludziom należy dostarczać odpowiedniej ilości powietrza, bo ono dla płuc



jest temsamem, czem opał dla maszyny.

Miałem przed sobą człowieka, rozumnego i dobrej woli, więc odrazu mnie zrozumiał.

„Zdaje mi się, rzekł, że na tym punkcie jestem w porządku, jednak obiecuję dziś jeszcze przekonać się o tem“.

Wtedy zapytałem znowu:

— Ile drzwi wchodowych jest w pańskiej fabryce?

Tak dziwnem wydało mu się to pytanie, że kazał mi je powtórzyć.

— No tak, zapytuję ile pan masz drzwi w swojej fabryce?

— Ależ jedno, — odrzekł, czyż to nie wystarcza?

— Naturalnie, że nie wystarcza. Bo w ten sposób mężczyźni i kobiety wychodzą razem, co może dać powód do niemoralności, za którą pan odpowie. Dotąd mówiliśmy o stronie materyjalnej, teraz chodzi o stronę moralną; na obie trzeba zarówno baczność zwracać uwagę. Powinny zatem w fabryce być dwa zupełnie oddzielne i dość od siebie oddalone wejścia. Chyba, że ustanowi pan oddzielne godziny wyjścia dla robotnic i robotników.

Rozmowa przeciągnęła się na ten temat, a że jak mówiłem, miałem do czynienia z człowiekiem prawego charakteru, zostałem więc najzupełniej zrozumiany. Mówiliśmy o pracy kobiet i dzieci, o występku zarządzającego lub właściciela, gdy nie zważając na płeć, ani na wiek, nakazuje pracę zbyt ciężką, lub zbyt długą; gdy np. ta praca wstrzymać może rozwój fizyczny dziecka; lub gdy nie uwzględnia odpoczynku dla

kobiet w ciąży, albo zbyt prędko po chorobie powołuje je do pracy pod groźbą wydalenia.

I mało ich obchodzi, czy interesowani zgadzają się lub nie na takie położenie. Biedacy, zmuszeni koniecznością, godzą się na warunki najbardziej anormalne i najcięższe: tem nie mniej jednak przemysłowiec, zmuszający swych podwładnych aby się tym warunkom poddali, staje się winnym względem tych, których uciemieża, względem rodziny, którą zabija w zarodku, względem ojczyzny, którą osłabia, składając dzieci jej w ofierze na ołtarzu Molocha.

\* \* \*

Gdyby nas jaki pracodawca spytał, jak ma postępować by się przyczynić do dobra materialnego i moralnego swoich robotników, oto cobyśmy mu odpowiedzieli:

„Naprzód, trzeba się w duszy i sumieniu uważać za głowę rodziny, która pracuje dla jej szczęścia i nie ma prawa zniechęcać się bez względu na wszelkie pozorne czy rzeczywiste przegrane. Pierwszym tedy warunkiem powodzenia w podjętej przez pana apostolskiej pracy, jest poświęcenie się bezinteresowne. Nie dla siebie pan pracujesz, ale dla ludzi, braci twych; wysiłki twe i wytrwałość nie powinny zależeć od większego, lub mniejszego rezultatu. Jeśli jesteś chrześcijaninem powinienes wiedzieć, że Bóg żąda od nas pracy, a nie powodzenia.

Drugim warunkiem twojej pracy, jest jasne jej zrozumienie. Praca ta jest trudną. Nim się pan do niej weź-

miesz, trzeba zbadać grunt, wynaleźć środki najodpowiedniejsze do osiągnięcia celu, do którego pan dąży; starać się, stosownie do okoliczności i usposobienia pracowników, znaleźć z nimi prawdziwy punkt styczności. O ludziach, którzy żyją koło nas, możnaby powiedzieć tosamo, co o kamieniach leżących przy drodze. Każdy taki kamyk ma w sobie iskrę, ale wiele z nich jej nie wyda, bo nie zostały do tego pobudzone.

Szukaj zatem u twoich robotników sposobu wywołania tej iskry, a z pewnością zabłyśnie.

„Bądź przygotowanym na to, że cię nie rozumieją, że będą na złe tłumaczyć twoje usiłowania i najczystsze, najszlachetniejsze intencye. Bądź pewnym, że pierwszą myślą twych podwładnych, będzie posądzenie, że to interes twój własny skłania cię do lepszego obchodzenia się z nimi, i choćby nawet interesu nie widzieli, trwać będą w tych podejrzeniach.“

Opowiedzieliśmy już gdzieindziej, przegodę znajomego nam członka konferencji Św. Wincentego à Paulo, który odwiedzając raz powierzonych sobie biedaków, zastał tam po raz pierwszy ojca rodziny.

Człowiek ten, siedząc przy stole, czytał jakąś gazetę i palił fajkę. Wejście odwiedzającego nie zrobiło na nim żadnego wrażenia; nie przerwał ani czytania, ani palenia.

„Dzień dobry“—rzekł gość.

Robotnik zamiast odpowiedzi mruknął niechętnie.

„Pan dziś nie pracuje?”

Ponowne mruknięcie.

„Możesz pan chory?”

Trzecie mruknięcie.

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi— opowiada mój znajomy, poszedłem w drugi koniec pokoju do żony, porozmawiałem z nią przez chwilę i oddałem bony na węgle i żywność. Potem, nie chcąc odchodzić pod wrażeniem tak niegrzecznego przyjęcia, powróciłem do męża:

„Widocznie pan ma coś przeciwko mnie, rzekłem, mówię do pana grzecznie, dlaczegóż pan mi odpowiadasz tak nieuprzejmie?”

„Dlatego, — odpowiedział zapytany, żebyś pan odpokutował przyjemność udzielania mi „jałmużny“.

I doprawdy, — dodał mój przyjaciel, człowiek ten miał słuszość; w gruncie rzeczy, byłem faryzeuszem.

Dobrześ pan powiedział—odrzekłem— „przepraszam pana“.

Na te słowa rozjaśniła się jego twarz; kładąc fajkę na stole, wyciągnął do mnie rękę i zawołał:

— Dzielny z pana człowiek i szczerzy, nie taki jak inni; niech mi pan poda rękę“.

Bądź wytrwałym. Powiedz sobie, że rezultaty osiągniesz dopiero po długich wysiłkach i bądź przygotowanym na to, że czekać ci nań przyjdzie dziesięć i dwadzieścia lat, może.

Wreszcie, z robotnikami obchodzić

się trzeba jak z ludźmi dorosłymi, nie zaś jak z dziećmi. Robotnicy są bardzo wrażliwi na wszystko, co dotyczy ich godności i należnego im szacunku; trzeba o tem pamiętać.

Przykład p. Chagot jest pod tym względem bardzo pouczającym.

P. Chagot z Montceau-les-Mines, poświęcił był kilka milionów, na wszelkiego rodzaju zakłady filantropijne dla swych robotników, lecz w nagrodę za to doczekał się najstraszniejszego strejku XIX stulecia i zabójstwa jednego ze swoich inżynierów. Ale P. Chagot był człowiekiem niepospolitego rozumu i pojmował swój obowiązek.

Jako świadomy obowiązku, wiedział, że to niepowodzenie nie zwalnia go od wypełniania powinności pracodawcy. Jako człowiek rozumny, powiedział sobie, że skoro dotychczasowy sposób postępowania nie przyniósł oczekiwanych owoców, to dowód, że należy go zmienić. Więc na nowo zabrał się do pracy i na nowo otworzył swe filantropijne zakłady. Tylko zamiast traktować swych robotników jak dzieci i trzymać ich pod kuratelą, zamiast kierować wszystkim samemu, zaprowadził w swych instytucjach *self government* i kierunek ich oddał interesowanym.

Rezultatem tej nowej taktyki była zupełna zmiana w usposobieniu i zachowaniu się robotników. Od tego czasu w Montceau les Mines strejki się więcej nie powtórzyły, a nawet w czasie ogólnej zmowy górników, kopalnie te się do niej nie przyłączyły.

Sądzymy, że pracodawcy mogliby z ko-

rzyścią kierować się temi kilkoma wskazówkami, w pracy swej dla dobra robotników; oczywiście nie mogliśmy przewidzieć wszelkich sytuacji, ale to cośmy tutaj powiedzieli wystarczy, aby wskazać kierunek zasadniczy; reszty nauczy doświadczenie.

## ROZDZIAŁ XIV.

### NASZ STOSUNEK ZE ŚWIATEM ROBOTNICZYM.

Wszyscy jesteśmy pracodawcami.—Jakiemi zasadami należy się kierować, w stosunkach naszych ze światem robotniczym. Nie powiększać ciężaru. — Urzędnicy pocztowi, a niedziela. — Przewóz towarów. — Praca po zmniejszonych cenach. — Czas to pieniądz. — Szanować czas robotników. — Dwie kobiety. — Fałszywe poglądy na znaczenie pracy. — Wyzysk. — Obowiązek służby i robotników. — Dlaczego nie mówiliśmy o nim dotychczas. — Nauka Leona XIII. — Obowiązki ogólne i szczególne. — Uszanowanie, posłuszeństwo, względy należne chlebodawcom. — Tajemnica zawodowa. — Uczciwość. — Przestrzeganie regulaminu.

To, cośmy mówili w poprzednim rozdziale, stosuje się głównie do właścicieli warsztatów i fabryk. Ale nie zapominajmy, że każdy z nas bez względu na to, do jakiej warstwy społecznej należy, może w danym razie znaleźć się w roli pracodawcy i że wówczas także i obowiązki pracodawcy spadają na niego.

Powinniśmy przeto uważać pilnie, by nigdy praw sprawiedliwości nie pogwałcić. Zasada, na którą wskazywaliśmy niejednokrotnie, a która powinna kiero-

wać postępowaniem naszym, z punktu widzenia społecznego, mianowicie, że troszczyć się zawsze należy o to, jak czyny nasze odbić się mogą na życiu bliźnich, — zasada ta, w rozmaitych okolicznościach może mieć bardzo różnorodne zastosowanie.

Wiele jest czynów, którymi możemy bezwiednie nawet grzeszyć przeciw sprawiedliwości lub miłości. Naprzykład czy myślimy o listonoszach i urzędnikach pocztowych, kiedy oddajemy na pocztę listy i posyłki?

Pracuje tam mnóstwo ludzi, naszych braci, którzy oddają się na nasze usługi i którzy za składaną przez nas do śmieszności małą opłatę, oddają nam ogromne przysługi. Boć oczywiście między kilkoma centymami, którymi opłacamy listy lub posyłki, a przysługą nam oddaną, nie może być żadnego porównania, i wskutek tego jesteśmy poniekąd ich dłużnikami. A czy myśleliśmy kiedy o tem, co należy robić by ulżyć tym ludziom ciężaru, co jest obowiązkiem miłości—i nie przyczyniać się do ich wyzyskiwania, co jest obowiązkiem sprawiedliwości.

Naprzykład, czy staramy się w miarę możliwości, aby nie dodawać im pracy w niedziele? Bardzo często mogliśmy bez uszczerbku dla siebie i z łaskawością, przyspieszyć, lub opóźnić wysyłkę listu. List jeden więcej lub mniej nie jest rzeczą wielką, lecz gdyby wszyscy chrześcijanie trzymali się tej zasady, czyżby to nie stanowiło znacznej ulgi dla listonosza? Boć ostatecznie ten człowiek ma prawo do niedzieli. Skoro administracja pogańska i bezlitośna, nie chce uszanować tego prawa, czyż nie



słuszną jest rzeczą, byśmy chrześcijanie o ile to w naszej mocy, starali się naprawić tę niesprawiedliwość mając zawsze zwróconą uwagę na to, aby się nie przyczynić do najmniejszego nawet ucisku i wyzysku bliźnich.

Na tem, czy nas naśladować zechcą,— niewiele zależy—ale zależy bardzo wiele na tem, byśmy spełniali nasz obowiązek.

Doprawdy, czyż to nie politowania godne, że biedny listonosz wiejski, musi nieraz zrobić w niedzielę kilka kilometrów drogi, dla jakiegoś listu lub posyłki, które doskonale mogłyby być doręczone w poniedziałek; podczas gdy w ten sposób pozbawiony jest prawa do wypoczynku, prawa danego mu przez Boga.

To, cośmy powiedzieli o listonoszach, da się zastosować również i do innej służby pocztowej, a także do służby kolejowej. Byłoby tak łatwo np., przyspieszając lub opóźniając o jeden dzień zamówienia, zmniejszyć ich pracę niedzielną; byłoby tak łatwo, przynajmniej na pakunkach przeznaczonych na małe stacje — na większych nie zwracają na to uwagi — położyć napis: „Nie wydawać w niedzielę“<sup>1)</sup>, aby w ten sposób ulżyć tym pracownikom.

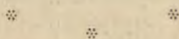
Czemu nie pomyślimy o tem? Dlaczego przyczyniamy się do niesprawiedliwości społecznej, która tych ludzi pozbawia odpoczynku?

Czy to zła wola? Nie. To prędzej

---

<sup>1)</sup> We Francji w Belgii jest to w użyciu (przyp. tłum.).

niedbalstwo; zapomnienie zasady, która każe troszczyć się o to, jaki wpływ czyny nasze wywierają na życie bliźniego. Ci ludzie mają rodzinę, mają dzieci, — niechże się tą rodziną nacieszą, niech dziatwę swoją upieszczą dowoli w tym dniu, w którym każdy radości szuka.



Przypomnijmy tu zasadę chrześcijańską, zapomnianą zupełnie przez liberalistyczną ekonomię polityczną, którą niestety jesteśmy wszyscy mniej lub więcej zarażeni, — a mianowicie: niewolno dla swego osobistego dobra, korzystać z trudnego lub nieszczęśliwego położenia bliźniego.

Jest to jak widzimy, potępienie słynnego „Struggle for life“, oraz zbrodniczych słów Kaina: „Azali jestem stróżem brata mojego? cóż mnie obchodzi co się z nim stanie?“

Przypuśćmy, że mam w domu sprzęt do naprawy. Udaję się do sąsiada mego, Pawła, stolarza biegłego w swym rzemiośle. Paweł przyjmuje robotę, godzimy się na cenę, którą uważamy obaj za właściwą: np. dziesięć franków. Tymczasem nadchodzi Piotr, inny stolarz, również w fachu swym uzdolniony, ale nie mający już od dłuższego czasu roboty. Obecnie z trudnością zarabia kilkanaście groszy: tyle tylko, aby z głodu nie umrzeć.

Otóż Piotr ofiarowuje się tę robotę wykonać za sześć franków. Umowa z Pawłem nie była jeszcze ostatecznie zawarta, słowa mu nie dawałem: Czy wobec tego mam prawo oddać robotę

Piotrowi za tę nową cenę sześciu franków.

Nie, nie mam prawa.

Nie mam prawa korzystać z trudnego położenia, w którym znajduje się Piotr, mój bliźni i dać mu tylko 6 franków za pracę, którą sam, ocenilem pierwiej na 10 fr.

Niemniej krzyżującym nadużyciem jest lekkomyślne, zabieranie czasu robotnikom.

Zarzucamy im często, że niedość są skrupulatni; że przewlekają robotę, że skracają dzień pracy, że za drogo sobie każą płacić, jest w tem wszystkim nie mało prawdy. Ale my czyż jesteśmy bez winy? Czyśmy sami dość skrupulatni?

Wymawiamy robotnikom, że nam kradną czas za który im płacimy; a czy nie zasługujemy by i oni nam zarzucili, że zabieramy im czas, którego nie są obowiązani nam poświęcać?

Czas dla człowieka pracy, to pieniądz. Sprowadzamy go do siebie, by się umówić o jakąś robotę;—przychodzi; ale właśnie w tej chwili jesteśmy przy obiedzie; nie chcemy sobie przerywać i każemy przyjść powtórnie. Otóż ten człowiek potrzebował przynajmniej półgodziny by przyjść do nas, tyleż czasu na nas czekał, drugie tyle stracił na powrót, nie rachując czasu potrzebnego, aby w ruch wprowadzić przerwana robotę: co stanowi razem około dwóch godzin. Jeżeli zarabia sześćdziesiąt centymów na godzinę, uczyni to 1 fr. 20 ct., które niepotrzebnie straci z naszej winy.

Czy znajdujesz kochany czytelniku, że to jest w porządku? Czy sprawiedliwość nie ma nam nic do zarzucenia?

Kiedy ten robotnik przyjdzie po wypłatę swej należności, ta sama historia z pewnością się powtórzy.

Przypuśćmy, że to nie z naszej winy. W każdym jednak razie byłoby bardziej po chrześcijańsku pójść samemu, lub posłać kogo, by dług zapłacił, zamiast narażać na stratę czasu i pieniędzy bliźniego swego, robotnika, który żyjąc z dnia na dzień, nie ma do stracenia, ani jednego ani drugiego.

\* \* \*

Oto zdarzenie prawdziwe.

W pewnym eleganckim salonie rozmawiają ze sobą dwie kobiety. Jedna z nich w jedwabiach i koronkach, druga w skromnej wełnianej sukience.

O strojnej pani mówią wszyscy, że jest równie wykwintną jak jej salon, że zna się doskonale na zwyczajach i formach tak zwanego „towarzystwa“.

Druga ma za sobą bolesną przeszłość.

Koronkową zasłony zdobiły jej koły-skę; — w złotych marzeniach minęły jej lata.

Wzrosła wśród zbytków, zabaw i szczęścia; rój wielbicieli ją otaczał, może dlatego, że była piękną, a z pewnością dlatego, że miała duży posag.

Dnia pewnego znikło wszystko.

Bank, w którym złożony był cały prawie jej majątek, zbankrutował skutkiem ogromnego krachu i dziewczę które już wtedy było sierotą, pozostało w nędzy.

Trzeba było wziąć się do pracy.

Powyższe szczegóły mało mają związku z celem naszego opowiadania, wspo-

minamy o nich jednak, naprzód dlatego, że są prawdziwe, a powtóre, że pomogą do utrwalenia w pamięci tego co następuje.

Zdarzyło się więc, że bogata pani zawezwała do siebie sierotę—nie znając zresztą jej przeszłości—aby jej dać jakąś robotę do wykonania. I w wielkim, bogato umeblowanym salonie stanęły obydwie naprzeciw siebie: pani domu sztywna, wyniosła, jak przełożona, która rozkazuje, — uboga pracownica pokorna, cicha z oczyma spuszczonemi jak podwładna, która musi słuchać.

Za chwilę przybyła, zacznie dziękować uniżenie, a pani skłoni lekko głowę; robotnica zrozumie, że audyencya skończona, skieruje się ku drzwiom, może zabłądzi w przedpokojach, podczas gdy pani pozwoli jej odejść, nie ruszając się z miejsca, boć to nie przyjęte, nie w dobrym tonie, odprowadzać podwładnych!

Zauważmy, że według ogólnie przyjętych pojęć nie zaszło tu nic oburzającego. Pani domu nie powiedziała nic przykrego, nie obeszła się niegrzecznie z osobą, którą przed chwilą przyjmowała; postąpiła po prostu według zwyczajów świata, do którego należy.

A jednak czy nie czujemy, że jest w tem coś, czego być nie powinno? — Dlaczego?

To co powiemy, wyda się wielu osobom przesadą.

Ale wiadomo, że nie cofamy się przed żadną „potwornością“.

A więc powtarzamy: dlaczego w przytoczonym wypadku jedna z osób jest społecznie wyższą, a druga niższą?

Nie z powodu różnicy wychowania, bo pod tym względem sierota nie ustępuje wielkiej pani; zresztą w takich rzeczach nie chodzi o wychowanie; wystarczy by każdy był grzeczny.

W czymże więc tkwi różnica?

Oto w tem, że jedna pracuje, a druga nic nie robi.

Powie nam kto może: jedna rozkazuje, a druga słucha.

Ale my zapytamy: dlaczego?

Czy nie byłoby słuszniej powiedzieć, że jedna czyni propozycję, druga się na nią zgadza? i wzajemnie czynią sobie propozycję i wzajemnie je przyjmują.

— Potrzebuję twojej pracy mówi jedna. Oddam ją w zamian za twoje pieniądze—odpowiada druga.

Dwie strony zawierają umowę i nie widzimy żadnej przyczyny, by jedna z nich uważała, że ma prawo panować nad drugą.

Ale idźmy dalej: robotnica skończyła swoją pracę; odnosi ją, nie zastaje nikogo w domu, nie odbiera zapłaty i usuwa się nieśmiało.

W parę dni później otrzymuje zawiadomienie, że znowu jej potrzebują. Wówczas na wspomnienie o wyniosłem nieco przyjęciu jakiego doznała, w skromnej dzisiaj pracownicy odzywa się dawna patrycyuszka i w tonie uprzejmym, choć cokolwiek oschłym, odpisuje, że chwilowo nie może się podjąć nowej roboty, dodając, że byłaby bardzo wdzięczną za przysłanie jej umówionej zapłaty.

Bogata pani oburza się na taką pretensję i odpowiada, że nie mając czasu na wypełnianie podobnych żądań, pieniądze zatrzy-

muje u siebie do chwili, w której się pracownica po nie zgłosi.

Pytamy raz jeszcze: dlaczego?

Dlaczego kapitał, który uważał za zupełnie naturalne, by praca przysła do niego, i przyniosła mu dzieło rąk swoich, uznaje za niesłuszne żądanie tejże pracy, która nie będąc wynagrodzoną natychmiast, żąda by się kapitał dla niej potrudził, tak jak ona potrudziła się dla kapitału?

Ależ, powie niejeden—tego się zazwyczaj nie robi.

Być może, ale to kwestyi nie zmienia. Nie idzie nam oto co się robi, ale oto co się robić powinno.

— Przedewszystkiem zauważmy, że tu nie chodzi o stosunek pana do sługi.

Sługa już z natury rzeczy przyjmuje stan zależny: nie czyni mu się propozycji, ale mu się rozkazuje; on nie przy staje, lecz słucha.

Co innego robotnik — i napróżno szukalibyśmy przyczyny, którąby można uzasadnić jego niższość.

A zatem, powiedzą ci, którzy nie cofają się przed absurdem, (takich nigdy nie brak) właściciel fabryki, który ma przypuśćmy tysiąc robotników, powinien wszystkich przyjmować i traktować jak hrabiów i zanosić im „*honoraria*“ osobiście do domów?

Odpowiadamy na to, że nikt nie jest obowiązany do tego, co niemożliwe i że robotnik nie wymaga, aby się z nim obchodzono jak z hrabią; wystarcza mu jeśli go traktują jak człowieka i grzecznie.

W każdej fabryce system wypłaty jest odpowiednio zorganizowany: zazwy-

czas oddaje się robotnikom na miejscu umówioną zapłatę, co jest zupełnie w porządku. Ale gdyby np. właściciel odrywał robotnika od zajęcia i posyłał go do banku po odbiór pieniędzy, wówczas robotnik miałby zupełnie prawo odmówić i powiedzieć, że nie poto przychodzi do fabryki.

Znałem i znam dotychczas przemysłowca, który mając fabrykę na przedmieściu w odległości kilku kilometrów od miasta, wypłaca robotników zamieszkałych w mieście nie w sobotę po pracy, co byłoby właściwszem, ale w niedzielę. Nieraz widziałem tych biedaków, jak tracić musieli po parę godzin, brnąc w śniegu 6 lub 7 kilometrów, aby odebrać nędzną zapłatę, a zazwyczaj jeszcze fabrykant korzystał z ich obecności, by wymódz na nich jaką drobną pracę bezpłatnie.

Czyż to nie wstrętny wyzysk? a jednak prawo, któreby natychmiast kazało okuć w kajdany człowieka co by z kasy takiego pana ukradł pięć franków, patrzy zupełnie obojętnie na tę niesprawiedliwość i na wiele innych gorszych jeszcze a o których wszyscy wiedzą.

I jakiż jest sens moralny tego wszystkiego zapytacie.

Sens moralny jest taki, że istniejący porządek ekonomiczny dopuszcza krzyczącą niesprawiedliwość, a mianowicie niższość pracy wobec kapitału.

\* \* \*

Jeżeli w kartach poprzedzających i w rozdziale XI mówiliśmy głównie o obowiązkach chlebodawów i pracodaw-



ców, to nie dlatego byśmy uważali służących i robotników, jako wolnych od wszelkich obowiązków. Ale musielibyśmy położyć główny nacisk na pierwszych, idąc w tem za wskazówkami i przykładem Ojca Św. Leona XIII który rzeczywiście bierze przedewszystkiem w obronę małych i słabych przeciw tym, którzy robią sobie „warownię ze swego bogactwa“, którzy „nakładają nieledwie niewolnicze jarzmo na niezliczony tłum proletaryuszów“, stwierdza on, że „większa część klasy niższej znajduje się w położeniu niedoli i nędzy niezasłużonej“, że „robotnicy odosobnieni i bezbronni zdani są na łaskę i nie łaskę *niehumanitarnych panów*“<sup>1)</sup>.

Wielki Papież pragnie polepszyć nędzny byt klasy robotniczej i *uczynić go godnym ludów cywilizowanych*“, co nas upoważnia do myślenia, że obecnie takim nie jest. Wreszcie, nie chce „*by tylu i tak pożytecznych ludzi było pozostawionych bez obrony i wydanych klasie bogatej, która z ubóstwa ich korzysta...*“ **Quae in rem suam vertit illorum egestatem**<sup>2)</sup>.

Ale powtarzamy: broniąc praw klas pracujących, nie zapominajmy, że one mają także obowiązki.

Słudzy i robotnicy winni swym panom i pracodawcom przedewszystkiem szacunek i posłuszeństwo, w granicach zobowiązań, jakie na siebie przyjęli: tego wymaga sprawiedliwość. Następnie winni im są na skutek tych podjętych zobowiązań pewne poszanowanie nawet poza ramami kontraktu. Słudzy i robotnicy

<sup>1)</sup> Encyklika *de conditione de opificum*.

<sup>2)</sup> List do Gasparda Decurtins.

mają również ścisły obowiązek nie marnować czasu i wypełniać sumiennie wszystko to czego się podjęli.

Szczególną powinnością sług, jest przestrzeganie dyskrecyi i zachowanie tajemnicy zawodowej. Drzwi domu stoją przed nimi otworem, mogą wszystko widzieć i słyszeć, popełniałiby ciężką winę, zdradzając zaufanie, którem z konieczności muszą ich chlebodawcy obdarzać. Nic nie może uprawnić, lub usprawiedliwić pogwałcenia tej ważnej powinności, która obowiązuje służących zawsze i bez wyjątku, nawet wówczas gdy chlebodawcy są względem nich niesprawiedliwi. Nie mają prawa dopuszczać obcych, lub kogokolwiek bądź do tajemnic rodziny w którą weszli: jest to punkt na który kłaść trzeba szczególny nacisk, tembardziej, że zbyt często bywa zapomniany.

Dalej słudzy powinni nakazać sobie skrupulatną uczciwość. Powinni uważać się jako szczególnie obowiązani do czuwania nad dobrem chlebodawców swoich; oraz do bronienia ich we wszystkich okolicznościach; a gdyby dostawcy domu ofiarowywali im pewne korzyści jak np. tak zwane „koszykowe“, lub inne zyski, nie powinni ich przyjmować, nie upewniwszy się poprzednio, że nie będzie to absolutnie ze stratą chlebodawców.

Robotnicy wykroczyliby przeciw obowiązkowi swego zawodu — tyczy się to również i służących—gdyby w chęci dostania się do fabryki, warsztatu lub domu, przedstawili fałszywe świadectwa.

Podobnie jak słudzy, tak i robotnicy obowiązani są zachować tajemnicę zawodową, dotyczącą sposobów fabrykacyi w które z konieczności są wtajemniczeni

albo których mogą się domyślać. Wreszcie powinni wypełniać w całej rozciągłości przepisy, obowiązujące w warsztacie lub fabryce.

Do rubryki: „obowiązki robotników“, wciąga się jeszcze wiele innych przepisów: nie upijać się, nie przeklinać i t. p., lecz to należy do obowiązków każdego człowieka i pilnować ich powinni zarówno pracodawcy, jak i robotnicy.

## ROZDZIAŁ XV.

### MORALNOŚĆ W HANDLU. SPRZEDAJĄCY.

Pojęcie o handlu w wiekach średnich. — Interwencja Kościoła. — Opieka i nadzór. — Konkurencja. — Bazar i wielki magazyn. — Drobny przemysł. — Wyzysk pracy. — Istnieje moralność handlowa. Solidarność handlowców. — Poszanowanie praw i przepisów zawodu. — Przykłady konkurencji legalnej i... nieuczciwej. — Drobny handel. Jego błędy Położenie krytyczne. — Ceny sprzedaży. — Co się na nie składa. — Cena maksymalna i cena minimalna. — Nauka teologów.

Zachodzi ogromna różnica między poglądami, jakie na handel miało społeczeństwo chrześcijańskie w wiekach średnich, a pojęciem, jakie stworzyło sobie o nim społeczeństwo dzisiejsze.

Podczas, gdy w rozumieniu naszym indywidualistycznym, handel przedstawia się nam głównie jako środek wzbogacenia się, ojcowie nasi widzieli w nim przede wszystkim sposób do pracy pożytecznej dla dobra ogółu; nie przypuszczali by człowiek miał zostać kupcem li tylko dlatego aby powiększyć swój majątek.

Święty Tomasz wyraźnie tak naucza <sup>1)</sup>, a dawni prawnicy zgadzali się na tym punkcie zupełnie z teologami. „Ze wszystkich zawodów, mówi Donat w swoim traktacie o „Prawie publicznem“, <sup>2)</sup> niema ani jednego, któryby bardziej niż kupiecki był wystawiony na pokusy chciwości i niesprawiedliwości. Pierwszym obowiązkiem, każdego kto się temu zawodowi poświęca, jest postawić sobie przed oczy inny cel — niż samo z bogacenie się i poprzestać na uczciwym zarobku“.

To też w epoce, w której Kościół kierował życiem społecznem, interesował się on handlem i ustanowił dlań prawa. Patrząc na kupiectwo z punktu widzenia ogólnego pożytku, popierał je całą swą potęgą i starał się o jego rozwój. Dla ułatwienia komunikacyi, Kościół obdarowywał łaskami duchownemi tych, którzy budowali mosty i drogi, nadając też same odpusty, jakie przysługują zwiedzającym miejsca święte. Ustanowił: „*Pokój*“ i „*Rozzejm Boży*“ dla bezpieczeństwa podróżnych t. j. kupców; włożył na rycerzy obowiązek bronienia ich przed zbójceckimi baronami i rabusiami wszelkiego rodzaju; miejsca wielkich pielgrzymek były jednocześnie miejscami targów; wreszcie, znany jest ogólnie udział Kościoła w ustanowieniu cechów.

Ale jeśli Kościół opiekował się ku-

---

<sup>1)</sup> Patrz Summ. Théol. II-a, II-oe, LXXVII, art. IV. Propter lucrum vero, nisi id sit ordinatum ad aliquem honestum finem, negotiari ex se est turpe.

<sup>2)</sup> Ks. I, tyt. XII, Sekt. II, I.

piectwem, to starał się zarazem i o to, by handel nieodbiegał od Opatrznościowego swego zadania: „Prawo kościelne, powiada Janssen, żąda kontroli wszystkich produktów i sprawiedliwej oceny towarów; Kościół dąży do możliwie równego podziału dóbr doczesnych i podług jego poglądu na handel oddana przysługa powinna być wynagrodzoną równoważną usługą, z drugiej strony.—Chciał więc by te wymiany odbywały się pod okiem władz lub korporacji robotniczych i aby ceny towarów ustanawiane były za wzajemnym porozumieniem uwzględnieniem istotnej wartości towarów, oraz ze sprawiedliwym ocenieniem trudności i kosztów jakie za sobą pociągało ich wykonanie lub sprowadzenie.

„Według prawa kanonicznego, aby produkty były uczciwie otaksowane, powinny być szacowane nie według swej wartości nominalnej, nie według ceny wytworzonej chwilowymi warunkami albo myśli, by z nich jaknajwiększą korzyść wyciągnąć; cena ich powinna odpowiadać wartości ich rzeczywistej i kosztom produkcji. Kupiec nie powinien oznaczać ceny stosownie do położenia w jakim sądzi, że kupujący się znajduje; kupujący znowu nie powinien się powodować położeniem kupca; gdyż korzystanie z niedostatku bliźniego, dla wyciągnięcia osobistego zysku, sprzeciwia się sprawiedliwości“<sup>1)</sup>.

Zasada ta jak widzimy, stoi w absolutnej sprzeczności z prawem nowożytnym,

---

<sup>1)</sup> Cytowane w XX Siècle, wrzesień 1892 r., str. 513.

które konkurencyę uznaje za dogmat i nie lęka się podporządkowywać dobra ogólnego interesom jednostki. Stara zasada chrześcijańska: żyć samemu i pozwolić drugim żyć, poszła w niepamięć; ignorowanie potrzeb społecznych stało się stanem normalnym tranzakcyi handlowych. Cena sprawiedliwa, wspólne szacowanie towarów, są to puste słowa, które nabierają znaczenia wtedy jedynie, gdy zmusza do tego konieczność; po za tem, byle tylko wyraźnie kodeksu nie naruszyć, można zupełnie bezpiecznie uprawiać nieuczciwą konkurencyę, i puszczać się na najbardziej podejrzanę spekulacyę.

I stąd pochodzi, że dziedzina przemysłu stała się podobną do pola bitwy, chociaż z natury swej jest potęgą pokojową: walka pomiędzy przemysłowcami, którzy za cenę złota porywają sobie nawzajem pomocników, wykradają jedni drugim tajemnice fabrykacyi i podrabiają towary; walka pomiędzy przemysłowcami a kupcami oszukującymi się na wyścigi, walka pomiędzy robotnikami a pracodawcami, którzy wyzyskują się wzajemnie ile się da.

Stąd również i nowy rodzaj feodalizmu, feodalizm kapitalistyczny w którym możnowładcy z poza swoich kas ogniotrwałych dowolnie ściągają okup z biednego ludu i stanowią tę arystokrację przemysłową, o której słusznie powiedział Tocqueville, że jest: „jedną z najtwardszych, jakie świat kiedykolwiek widział<sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> La Democratie en Amerique.

Jest to, jak widzimy, stan rzeczy głęboko niemoralny; w książce naszej, „*Propriété Capital et Travail*“ staraliśmy się udowodnić, że jest on również i antyspołeczny: powtarzać się więc tutaj nie będziemy.

\*

\*

\*

Bazar i wielki magazyn są bezpośrednio następstwem tego stanu rzeczy: bazar i wielki magazyn, które mogłyby się przyczynić do ogólnego postępu, stały się dzięki lekceważeniu prawa chrześcijańskiego i moralności społecznej, groźnymi czynnikami rozkładu.

A jednak wice hrabia d'Avenel <sup>1)</sup> wyśpiewuje w tonie lirycznym zasługi wielkich magazynów: „Na 150 milionów obrotu (z r. 1893) pisze on, magazyn *Bon Marché* zebrał zysku tylko 8 milionów, a więc 5 procent od sprzedanych towarów; *Louvre* osiągnął 8,300,000 fr. przy 120 milionach obrotu. Widać z tego, że wielkie te przedsiębiorstwa dzięki konkurencyi między sobą, dzięki także konkurencyi różnych spółek, które mogłyby się jeszcze bardziej rozwinąć, ograniczają do minimum swoje zyski, od których jeszcze Państwo zabiera więcej niż 12 procent. Kupujący korzysta z tej zniżki cen nie tylko przy zakupach czynionych w tych wielkich bazarach, ale także w skutek pressyi jaką one pośrednio wywierają na handel wogóle. Położenie zaś jakie zapewniają swym współpra-

---

<sup>1)</sup> *Le mecanisme de la vie moderne* G. d'Avenel, Paris, Colin, 1896 r.



ownikom, odpowiada pod względem niezależności i wynagrodzenia, co najmniej położeniu dawnych drobnych sklepikarzy. W „Bon Marché“, rada tak zwanych „intéressés“, czyli długoletnich oficyalistów, uczestniczących w zyskach przedsiębiorstwa, płatna jest dwakroć tyle co rada ministrów.

W produkcji spożywczej gotuje się podobna ewolucja, lecz postępuje znacznie wolniej.

Fabryka Potin nie ma obrotu większego nad 45 milionów rocznie, pomimo że zasadą jej jest, sprzedawać produkty w dobrym gatunku i zadawalniać się umiarkowanym zarobkiem. Ale cenniki tego przedsiębiorstwa rozpowszechniane wszędzie, wywierają olbrzymi wpływ na ceny w całym kraju, nie mówiąc o jego 160 filjach rozsianych po prowincjach. Czysty zysk tego przedsiębiorstwa, opłacającego dwie oddzielne gałęzie pracy: kupca i przemysłowca, nie dochodzi nawet do 4 od stu ogólnej cyfry obrotu. Na takie rezultaty, uskarżać się może chyba tylko służba, pozbwiona koszykowego, lub dawni drobni handlarze detaliczni, którzy prawie wszyscy uciekali się do środków najzupełniej nieuczciwych“.

Wiemy, że nie wszyscy podzielają ten zachwyty. Co do nas, należymy do tych, którzy pozwalają sobie utrzymywać, że najbliższym skutkiem powstania wielkich magazynów, było zadanie straszego ciosu drobnym przedsiębiorcom i kupcom, którzy stracili stopniowo niezależność i zajęli stanowiska podrzędne, o ile nie popadli w nędzę.

„Naco się przydadzą przedsiębiorcom małego i średniego przemysłu, mówi

p. du Maroussem — najgruntowniejsze zdolności umysłowe? Naco oryginalność pomysłów? Wielki przemysłowiec, który nic nowego nie wymyśla, zachowa jednak zawsze niedoścignioną wyższość, bo będzie produkował taniej niż jego współzawodnik. Zabawką będzie dla niego pochwycić myśl słabszego sąsiada, i to nie oglądając się na patent, bo wobec marudztwa władz, trzeba do bronięcia się mieć dużo czasu, to znaczy pieniędzy. W razie potrzeby sprzedawać będzie towar bez zysku, aby przeciwnika zabić i w ten sposób zapewnić sobie monopol w przyszłości.

Na próżno drobny przemysłowiec wymyśla przeróżne sposoby, aby obejść specjalność swego groźnego przeciwnika. Zakres produkcji jego rywała codziennie się rozszerza i wkrótce nie pozostawi mu żadnej gałęzi, którejby już sam nie wyzyskał. Napróżno chwytą się produkcji zabawek, które mają popyt przez cały rok; napróżno zaopatruje się w coraz lepsze maszyny, o ile tylko budżet jego na to pozwala; napróżno, ulegając ogólnemu, a tak fatalnemu losowi przemysłowców paryskich, dzieli pracę w nieskończoność, oszczędza na materjale, obniża zapłatę robotników, nie zatrudniając już wcale mężczyzn, lecz zadawalnając się pracą kobiet, młodych dziewcząt, dzieci nieomal; napróżno stał się sam zarazem blacharzem, giserem, rytownikiem, mechanikiem, dekoratorem; nadaremnie po ciężkiej dwunastogodzinnej pracy, spędza wieczory na sprawdzaniu rachunków i ekspedycji; wszystko to na nic: przewiduje on chwilę, w której trzeba będzie interes zwinąć i sprzedać za bez-

cen towar, który pochłonął jego oszczędności<sup>1)</sup>.

Posłuchajmy zdania człowieka, którego kompetencja w tej mierze nie ulega wątpliwości: „P. d’Avenel w *Revue des deux mondes* z 15 lipca 1894 r. — mówi P. Trépreau<sup>2)</sup> — badając mechanizm nowoczesnego życia, pisze: „Zamówienia czynione przez „Louvre“ i „Bon Marché“ w fabrykach, są dla fabrykantów początkiem lub powrotem fortuny“. Dalej uważa za rzecz wspaniałą, że długoletni oficjaliści (*les intéressés*), dostają wynagrodzenie wyższe niż ministrowie i wychwala uczciwość tych firm otwarcie, bo wypisują wszystko w zwyczajnych cyfrach. Nie mówi, że dla pierwszego lepszego powodu urzędnicy bywają gromadnie wydalani z końcem sezonu, lub gdy interes mniej przynosi; nie widzi oszukaństwa wystaw sklepowych, niesłychanej nadętości reklamy. Piotr Giffard w swem dziele „Wielkie bazyry“ (*les Grands Bazars*) mówi, że wielkie firmy paryskie płacą rocznie dziennikom za reklamę 30 miljonów franków. Autor ten jest jednym z rzadkich ludzi niezależnych, którzy podają prawdziwe szczegóły o „Wielkich magazynach“. Ileż to pań byłoby zbudowanych pod wielu względami, czytając to dzieło i nie powróciłoby do nich więcej!“

---

<sup>1)</sup> Cytowane przez Funck-Brentano: *Grandeur et décadence des classes moyennes*. Association catholique. 1894. 15 sierpnia. Str. 173.

<sup>2)</sup> Sprawozdanie złożone przez p. Trépreau, księgarza, na Kongresie „Union fraternelle“, w Paryżu 15 listopada 1896 r.

Taniość bazarów i wielkich sklepów osiągniętą bywa najczęściej ze szkodą producenta. Przytoczymy tylko jeden przykład: znanem jest, jak oburzająco mało płacą pracowniemi gotowej konfekcji swoim robotnicom i jak ciężkie jarzmo nakładają na przemysł. Z mowy wypowiedzianej w Izbie dn. 17 czerwca 1893 r. dowiadujemy się, że „Louvre“ stworzył w Szwajcarji, w Zurychu, konkurencję przemysłowi ljońskiemu, bo ten ostatni nie chciał się *poddać jego prawom*. Pierwszą przyczyną tego stanu rzeczy, którego konsekwencje są coraz smutniejsze, jest zapomnienie prawa moralnego. Nie chcemy szukać Królestwa Bożego i Jego sprawiedliwości; siejemy wiatr; cóż dziwnego, że zbieramy burzę.

\* \* \*

Są ludzie, którzy wyobrażają sobie, że wystarcza być uczciwym człowiekiem, aby być uczciwym kupcem.

Nie oszukiwać na jakości, lub ilości, to znaczy zachowywać w handlu moralność indywidualną, wydaje się im dostatecznem i zdziwiliby się niepomiernie gdyby im ktoś chciał dowieść, że w interesach, jak we wszystkim, istnieje moralność zawodowa, moralność, która obowiązuje sumienie i której lekceważyć nie wolno.

\* \* \*

Pierwszy artykuł kodeksu handlowego chrześcijańskiego mówi, że głównym obowiązkiem stanu kupieckiego jest miłość. Ta miłość obejmuje najpierw stosunki wzajemne między kupcami, i za-

czyna od postawienia granic wybrykom nieograniczonej konkurencji. Moralność handlu pogańskiego, wzięta z punktu widzenia klientów, zdaje się niekiedy streszczać w tej krótkiej formule: „Niszczmy jedni drugich, aby mocniejsi mogli łatwiej wzbogacić się po zniknięciu słabych“. Zgubna to maksyma, bo nawet pomijając zasady moralne, sam dobrze zrozumiany interes kupców powinienby im zalecać, jeżeli nie miłość, to przynajmniej solidarność zawodową.

Gdyby to prawo solidarności było zachowywane, prawdopodobnie nie jeden kupiec nie straciłby był kredytu, nie jeden uniknąłby ruiny, z której zresztą współzawodnicy jego żadnej nie odnieśli korzyści. Ale każdy myślał tylko o sobie i w rezultacie egoizm indywidualny rozrósł się z ogólną szkodą.

\* \* \*

Wskazaliśmy gdzieindziej<sup>1)</sup> reguły, których powinna przestrzegać konkurencja, jeżeli chce pozostać uczciwą i chrześcijańską; zadowolnimy się więc tutaj podaniem kilku wskazówek, które przedmiot wyjaśnią i pomogą do zastosowania naszych zasad do spraw handlowych.

\* \* \*

Zasady moralności zabraniają sprzedaży ze stratą, celem przyciągnięcia kli-

---

<sup>1)</sup> Patrz nasze dzieło: *Propriété, capital et travail*. 1 tom in 12 — 442 stron. Księgarnia „Justice Sociale“ 12 rue Littré; cena 3 fr. 50 — franco 4 fr.

jenteli sąsiada, równie surowo, jak włamanie się do kasy tegoż sąsiada.

Jest to proceder przynoszący krzywdę, a więc co za tem idzie, nieprawny i karygodny, którego nie można dość silnie potępić. Ale, powie kto, czy ta zasada nie jest zbyt surowa? Czy kupiec sprzedający ze stratą, nie może się uważać za hojnego ofiarodawcę? Czyż każdy z nas nie jest panem swej własności?

Z punktu widzenia moralności indywidualnej, być może; — z punktu widzenia moralności społecznej — nie.

Przez sam fakt, że należę do jakiegoś zawodu, mówi mi moralność społeczna, powinienem szanować jego prawa i zasady. Może być wolno człowiekowi prywatnemu wykonać czyn, którego by nie mógł wykonać kapłan, żołnierz, urzędnik, bez pogwałcenia obowiązków swego stanu, a temsamem bez popełnienia winy wobec Boga, wobec sumienia i wobec ludzi. Zresztą i tutaj musimy powrócić do zasady, na którą niejednokrotnie kładliśmy nacisk, mianowicie, że nie mamy nigdy prawa działać, nie troszcząc się o to, w jaki sposób czyny nasze odbiją się na życiu bliźniego. Oddawać towar za bezcen, jest rzeczą równie dozwoloną jak wyrzucić butelkę witryolu przez okno. Ale oddawać towar za bezcen w tym celu, aby hojność ta pociągnęła za sobą ruinę sąsiada; wyrzucić butelkę witryolu za okno, nie troszcząc się, czy ten niszczący płyn nie oparzy przechodniów: dozwolonym nie jest i być nie może, a czyny te wkładają na działającego prawdziwą, nieraz bardzo ciężką odpowiedzialność.

Jako przykład nieuczciwej konkuren-

cji handlowej, służyć może walka iście homerowska, którą prowadziły niegdyś ze sobą dwa towarzystwa żeglugi po Missisipi. Jedno z nich obniżyło ceny jazdy do ostatecznych granic; drugie ogłosiło, że będzie przewozić pakunki i towary za darmo. Pierwsze, aby nie pozostać w tyle, uczyniło tożsamo i ofiarowało w dodatku pasażerom wspaniałe lunch. Naturalnie stało się to, co było do przewidzenia: towarzystwo, które miało mniejsze kapitały, musiało zaprzestać walki i wystawić na sprzedaż swą flotę ze wszystkimi akcesorjami. Rywalizujące z niem towarzystwo odkupiło statki za bezcen; następnie zaś, stawszy się wszechwładnym panem żeglugi, podniosło ceny jazdy tak wysoko, że niebawem odzyskało straty poniesione w tej szalonej walce.

Prawo handlowe — według p. Iwona Guyot, zezwalało na taki manewr, ale moralność handlowa — nie! Możliwe jest, że każdy z członków zarządu zwycięskiego towarzystwa, uważał się do ostatka za uczciwego człowieka, bo mu się zdawało, że nie popełnia niesprawiedliwości indywidualnej; ale oczywiście był w błędzie. Czyż można być uczciwym człowiekiem, gdy, będąc w kupiectwie, nie jest się uczciwym kupcem?

\* \* \*

Drobny handel przebywa ciężką kryzys i wielu, nawet z pomiędzy jego najgorliwszych obrońców, pyta z niepokojem, czy ją przetrwa. Konkurencja bazarów i wielkich magazynów była dla drobnego handlu przyczyną stopniowego upadku, a przewroty ekonomiczne, na

które patrzymy, zgubnie nań oddziaływały; tembardziej, że nie chciał się bronić, bo nie umiał, czy nie chciał się zorganizować. Zamiast wyzwąć groźnych współzawodników do walnej rozprawy, z którejby mógł wyjść zwycięsko, wybrał drobne potyczki, w których zawsze odnosił klęskę. Nie umiał, czy też nie chciał uczynić niezbędnego wysiłku, aby się wydobyć z toni; członkowie jego byli zawsze dla siebie wrogo usposobieni, każdy się cieszył z upadku sąsiada, każdy — przynajmniej po większej części — wyzyskiwał kupującego, który się stał ofiarą, przestając być jak niegdyś (jak tego sama nazwa dowodzi) protegowanym, „klijentem“. Stąd utrata zaufania, z dniem każdym widoczniejsza, stąd coraz szybsza utrata klijenteli i jako następstwo anemja, wyczerpanie i śmierć.

Drobny handel z nieroztropnym uporem pomnażał niebezpieczeństwa. Między producentem a nim powstawali liczni a niepotrzebni pośrednicy, którzy go zmusili do podniesienia cen, i przeszkadzali mu zadawalniać szybko potrzeby i życzenia kupującego; nieraz też uchybił uprzejmości, jednym słowem nagromadził błędy, za które dziś pokutuje. Jeden tylko środek mu pozostawał, aby złamać, w granicach możliwości, groźną potęgę wielkich magazynów, a raczej bazarów, których rola jest o wiele bardziej szkodliwą dla jego rozwoju. Trzeba było utworzyć silny syndykat dla obrony swych interesów i kupować hurtem, w olbrzymich ilościach, ażeby otrzymać wielki opust na towarach, któreby można wskutek tego, sprzedawać taniej; trzeba było trochę więcej poczucia solidarności,



jeżeli już nie miłości chrześcijańskiej, trochę więcej bezinteresowności; drobni kupcy zapomnieli i o miłości i o bezinteresowności, dlatego też ponieśli liczne klęski.

\* \* \*

Biorąc pod uwagę obecny stan rzeczy i nie wchodząc w niepotrzebne szczegóły, — przypomniawszy, że nie trzeba oszukiwać ani na ilości, ani na jakości, zwrócimy tutaj uwagę tylko na jeden punkt, mianowicie, że trzeba stawiać ceny sprawiedliwe.

Kupiec nie ma prawa — przynajmniej gdy chodzi o towary mające częsty zbyt — naznaczać ceny własnowolnie, bez uwzględnienia pewnych granic, które należy zawsze szanować.

Teologowie, którzy studjowali kwestję moralności, w następujący sposób określają przyczyny, wpływające na ustanowienie ceny przedmiotu.

Z punktu widzenia *handlowego*, trzeba uwzględnić cenę samego towaru, koszta ogólne, mały procent dla zabezpieczenia od nieprzywidzianej straty, wreszcie zysk umiarkowany sprzedającego.

Z punktu widzenia *przemysłowego*, trzeba uwzględnić materiał surowy, koszta ogólne, płacę robotników, amortyzację narzędzi, wynagrodzenie majstra albo dyrektora fabryki, umiarkowany zysk od kapitału. Zarobek kupca i zysk przemysłowca nie mogą oczywiście być oznaczane w sposób absolutny i niezmienny; stąd trojaki sposób oznaczenia ceny przedmiotu: cena *średnia*, oznaczona ogólnie przyjętym zwyczajem; cena *minimalna*, poniżej której sprzedający byłby pokrzyw-

dzony i pracowałby ze stratą; cena *maksymalna*, ponad którą byłaby niesprawiedliwość na niekorzyść kupującego.

Cenę minimalną od ceny maksymalnej dzieli naturalnie przestrzeń, którą nie zawsze jest łatwo ocenić. Uczony Lék-mühl przyjmuje, że ta przestrzeń może wynosić około 20%. Trzeba dodać również, że teologowie, którzy się tą kwestją zajmowali: Habert, Callet, Billuart, teologowie z Salamanki, św. Tomasz, Urban III, Grzegorz IX, nauczają wyraźnie, że nie wolno jest sprzedawać drożej na kredyt, niż za gotówkę, chyba że istnieje prawdziwy *lucrum cessans*, co jest kwestją, którą w danym wypadku, sumienie może i powinno rozstrzygnąć.

## ROZDZIAŁ XVI.

### MORALNOŚĆ W HANDLU. KUPUJĄCY.

Obowiązki kupującego.—Skąd pochodzi taniość? Trzy przyczyny. — Taktyka wielkich magazynów.—Przykład: Przemysł ubiorów gotowych.— Czy wolno się targować?—Gdzie się kończy to prawo?—Jak naucza encyklika *Rerum novarum*? Kupcy żydowscy i masonscy.—Zasada którą powinniśmy się kierować.—Bądźmy miłosierni, nie bądźmy naiwni.—O pewnym obowiązku delikatności chrześcijańskiej. — Czas sprzedającego. — Sprawunki niedzielne. — Czy wolno kupować w wielkich magazynach?—Różnica między Paryżem a prowincją. — Kwestja sprawiedliwości.

W sprawach handlowych, nie tylko sprzedającego obowiązują pewne zasady; kupujący ma również obowiązki i to o wiele liczniejsze niż się na ogół ludziom zdaje. Musimy się nad nimi bliżej zastanowić.

Błędnem jest przekonanie, jakoby kupujący miał prawo nabyć cokolwiek bądź, bądź gdzie, bądź jak, byle tylko miał moralną pewność, że przedmiot rzeczywiście należy do kupca.

Tego prawa kupujący nie ma.

A najpierw, czy mu wolno zawsze zwracać się do kupca, który sprzedaje taniej?

Tak, jeśli ceny u tego kupca nie odbiegają zbyt od cen ogólnie przyjętych; nie, jeśli różnica jest tak wielka, że towar jest sprzedawany o wiele niżej kursu. Każde znane mu są firmy, które pewne przedmioty odstępują w takiej cenie, w jakiej się ich nie znajdzie w żadnym innym handlu równie wielkim, a znanym z uczciwości.

Ta różnica cen może mieć rozmaite przyczyny.

Pan X\*\*\*, właściciel sklepu może być np. zawodowym bankrutem. Posiadając specjalne środki, uczciwym ludziom niedostępne — splacania swoich dostawców, może sprzedawać ze stratą i zyskać jeszcze na procencie, który syndyk ofiaruje wierzycielom, przy jego najbliższem bankructwie. W tych warunkach, rzecz prosta, kupujący robi dobry interes kosztem wierzycieli; interes ten lepszy dla niego, im jest gorszym dla nich.

Jest więc w tem niesprawiedliwość i kupujący przyczynia się mniej lub więcej nieswiadomie do nieuczciwości.

Druga przyczyna leży w nieuczciwej konkurencji, o której już mówiliśmy. Pan X\*\*\* chce zrujnować sąsiada, lub jedyne go współzawodnika, którego ma w mieście. Więc obniży ceny i sprzedawać będzie przez pewien czas ze stratą, aby uniemożliwić swemu współzawodnikowi prowadzenie interesu, i stać się wyłącznym panem targu. Tu znowu kupujący przyczynia się mniej lub więcej bezwiednie, do niesprawiedliwości i nieuczciwości.

Trzecia przyczyna różnicy cen, pochodzi z pewnej taktyki handlowej, która polega na tem, że się jakąś ilość przed-

miotów odstępuje niżej kosztu, dla reklamy, aby przyciągnąć klientelę, z intencją zresztą bardzo wyraźną, aby sobie powetować na innych przedmiotach, sprzedawanych za drogo klientom, którzy się tego nie domyślają, gdyż sklepy te mają fałszywą opinię tanich. W ten sposób, jedni kupując tanio, płacą za mało, z krzywdą tych, którzy zapłacą za dużo.

Tu znowu kupujący bierze udział mniej lub więcej świadomie, w niesprawiedliwości lub nieuczciwości.

Wreszcie niektórzy kupcy sprzedają po niższych cenach tylko dlatego, że dają swoim robotnikom i robotnicom płacę głodową. W tym wypadku kupujący odnosi korzyść ze szkoda swych bliźnich, wyzyskiwanych niekiedy w okropny sposób. Wiadomo jaka jest pod tym względem taktyka niektórych „wielkich magazynów“. Firmy te mając znaczny zbył, mogłyby z łatwością zapewnić na cały rok stałą pracę olbrzymiemu zastępowi robotników. Ale na to trzebaby dawać wynagrodzenie normalne, a toby im się wydawało powrotem, pod względem interesów, do kolebki przemysłu.

To też postępują całkiem inaczej. Zamiast bezpośrednio traktować z robotnikami, wielkie magazyny zwracają się do przedsiębiorców, którzy zwalniają ich od tego kłopotu, ale z drugiej strony ciągnąc zysk, słusznie zresztą ze swego przedsiębiorstwa, o tyleż zmniejszają zapłatę zatrudnianych przez siebie pracowników. Przedsiębiorca jest w tym wypadku niepotrzebnym pośrednikiem, żyjącym kosztem swoich producentów; zwracając się

do niego, wielkie magazyny wykraczają przeciw swoim obowiązkom społecznym.

I jeszcze gdyby na tem poprzestawały! Ale to jest tylko początek ohydneho wyzysku. Weźmy jako przykład przemysł konfekcji, czyli gotowych ubiorów. Gdyby wielkie magazyny działały zgodnie z obowiązkiem społecznym, rozdawałyby zamówienia w ten sposób, że klęska bezrobocia byłaby zmniejszona, a może nawet w znacznej mierze usunięta. Ubrania letnie byłyby sporządzane w zimie, ubrania zimowe w lecie i robotnice miałyby zawsze zajęcie.

Zamiast tego, oto w jaki sposób postępują:

Szef działu gotowej konfekcji nie robi nigdy zamówień w czasie właściwym, np. w listopadzie na ubrania letnie. Mija listopad, grudzień, styczeń, czasem i luty, a tymczasem robotnice są bez zarobku. Wreszcie w marcu decyduje się i ofiarowuje przedsiębiorcom nieprawdopodobne ceny. Ci opierają się, ale ponieważ położenie ich jest bez wyjścia, bo przez całą zimę nie było pracy, a ich robotnice przymierają głodem i mają po kilka zaległych terminów, trzeba przeto wreszcie ofertę przyjąć. Zmniejszają więc swój zysk, zmniejszają też naturalnie i płacę robotników; a wielki magazyn, który „zajmuje się handlem a nie filantropią“, może utrzymać opinię taniego sklepu, nie przestając robić milionów.

A kupujący, świadomie lub nieświadomie, znowu bierze udział w niesprawiedliwości lub nieuczciwości.

Ale, zapyta kto, czyż trzeba za każdym razem, kiedy się idzie kupować, przeprowadzać dochodzenie? Nie, bynajmniej;

byłoby to zresztą za trudne, a najczęściej bezcelowe. Wystarczy postawić sobie następujące pytanie: Czy płacę za ten przedmiot tyle, ile on jest wart, według mego racjonalnego przypuszczenia? Jeśli tak, kupuję; — jeśli nie, wolę zapłacić kilka centymów albo nawet franków więcej, niż współdziałać w niesprawiedliwości. A jeżeliby nawet kazuistyka zapewniła mi, że w tym lub owym wypadku płacąc niżej ceny normalnej nie zgrzeszyłem, to moralność mię potępi, mówiąc, że nie mam prawa korzystać z nie-szczęścia, w które dla mojej właśnie korzyści — wtrącono mego bliźniego.

Jest powszechnie przyjętą zasada, że kupującemu przysługuje zawsze prawo kwestjonowania w obec kupca ceny jego towarów. Rzecz to zupełnie słuszną: wolno przecież do ludzi nie mieć zbytniego zaufania; a przytem ponieważ różnica między ceną minimalną a maksymalną jest dość znaczna, łatwo zrozumieć, że kupiec pragnie o ile możliwości osiągnąć tę ostatnią, podczas, gdy klient usiłuje zapłacić jaknajmniej.

Ale jeśli wolno jest *targować się*, to nie należy aby *targowanie się* dochodziło do niesprawiedliwości, jak się to często zdarza.

Konkurencja istniejąca wszędzie, konkurencja nieuczciwa tak często praktykowana, zmusza kupców do licznych ofiar i rozmaitych ostrożności, aby nie stracić klienteli. Są klienci, którzy z tego trudnego położenia korzystają i narażają kupców na prawdziwe straty, — i to pod groźbą, że ich opuszczą.

Powie kto może: nikt nie zmusza kupca do oddawania towaru niżej kosztu; jeśli klient ma niemożliwe wymagania, to niechże idzie sobie gdzieś indziej.

Tak, jest to rzecz na pozór bardzo prosta, ale w praktyce bywa najczęściej inaczej. Bo po pierwsze, kupiec musi dbać, aby się towar prędzej rozchodził, by nie wyszedł z mody, lub się nie zniszczył leżąc na półkach.

Powtóre, to co w ostateczności byłoby możliwem z niektórymi klientami, stałoby się stanowczo rujnującem z drugimi. Zrozumieją nas dobrze kupcy; oni wiedzą, że pewne grupy ludzi kupują zawsze u jednych i tych samych firm. Jeśli jeden członek takiej grupy się odłączy, zachodzi obawa, aby cała grupa nie poszła za nim, przynosząc tem wielką krzywdę kupcowi. Jeśli zatem sprzedający przyjmuje warunki, jakie mu naznacza kupujący, to w tym wypadku tylko z musu, ulegając naciskowi, być może bardzo niesprawiedliwemu. Kupujący przeto, nie ma prawa w ten sposób postępować, a zgoda kupca wymuszona, nie zmniejsza bynajmniej niemoralności popełnionego czynu.

Zasady te są zresztą niczem innym, jak nauką o płacy, zawartą w encyklice *Rerum novarum*, a zastosowaną do kupców. „Niech pracodawca i robotnik zawierają taką umowę, jaka im się podoba, niech się zgodzą mianowicie co do wysokości płacy: ponad ich wolną wolą jest prawo sprawiedliwości naturalnej, wyższe i starsze, a mianowicie, że płaca nie powinna być niedostateczną do utrzymania robotnika wstrzemięźliwego i uczciwego. Jeżeli robotnik zmuszony potrzebą, lub



popchnięty obawą gorszego zła, przyjmuje warunki twarde, których zresztą nie był w możności odrzucić, bo mu są narzucone przez chlebobawcę, to w tym wypadku ulega przymusowi, który jest przeciwny zasadom sprawiedliwości.“

A zatem targowanie się, nie ma być wywieraniem przymusu. Powinniśmy się zresztą stosować do wyrażonej już tu zasady, mianowicie, że nie należy kupować niżej ceny normalnej, lub — jeśli cena normalna nie jest nam znaną, — niżej takiej, która nam się słuszną wydaje.

\* \* \*

Mówiąc o obowiązkach kupujących, nie możemy pominąć milczeniem pytania, czy katolik ma prawo kupować u każdego kupca bez różnicy i czy w wyborze dostawców nie powinien uwzględnić pewnych ograniczeń, niezależnych od stosunków handlowych.

Zdaniem naszym odpowiedź nie może być wątpliwa. Ograniczenia te istnieją i ogólnie biorąc wybór kupującego musi im podlegać.

Oczywiście, mówimy w tej chwili z wyższego punktu widzenia niż poprzednio, mając na myśli katolików, pragnących znać i wypełniać swój obowiązek w zupełności.

Gdyby cel życia ograniczał się do spraw materialnych, nie potrzebowalibyśmy tej kwestji poruszać; ale ponieważ życiem kierują wysokie idee moralne, przeto musimy się z niemi liczyć, nawet w czynach codziennych i zapytywać siebie często, czy czyny te, jakiegokolwiek są, są zgodne z zasadami nakazanemi przez te idee?

Wielka idea, która się unosi ponad życiem ludzkim w ogólności, a która powinna szczególnie przyświecać życiu katolika, to idea dobra. Powinniśmy czynić dobrze; największem naszym staraniem, zawsze, we wszystkim, powinno być szerzenie dobra. Czy wobec tego, wolno jest katolikowi wybierać sobie za dostawców wojujących sekciarzy, powiększać klientelę zaciekłych nieprzyjaciół Chrystusa i Jego Kościoła, dostarczać im w ten sposób nowych środków do powiększenia wpływu i służenia złej sprawie?

Zrozumiejmy się jednak: naszym zamiarem nie jest przymusowe narzucanie — poparte w razie potrzeby ścisłym bojkotem — naszych przekonań, naszych praktyk religijnych, ani wymaganie od dostawców zapewnienia lub dowodu odbytej wielkanocnej spowiedzi. Ale o ile nie mamy prawa kontrolować sumienia bliźniego, o tyle nikt nie może nam zabronić czuwać nad sprawami naszej świętej religii, ani zmusić nas do wzbogacania tych, którzy używają swych środków do walki z Kościołem. Jeśli pan X., przemysłowiec lub kupiec, służy szatanowi, wolno nam mu w tem nie dopomagać.

A więc, pochwały są godni katolicy, którzy mają za zasadę wykreślać bez litości z listy swych dostawców, wrogów Boga i Wiary.

Bardzo to pięknie być hojnym i miłosiernym, ale te cnoty nie powinny z nas robić ludzi niekonsekwentnych i bez zdania. Co rano mówimy w pacierzu: *Adveniat regnum tuum*, Przyjdź Królestwo Twoje, Panie, a często pierwsze nasze wyjście z domu ma na celu dostarczenie

nieprzyjaciołom Bożym, środków do zwalczania z większem lub mniejszem powodzeniem, a przynajmniej z większą łatwością, tegosamego Królestwa, o które prosiliśmy w modlitwie. To jednak nie przeszkadza pójść do kupca katolickiego, u którego się nie kupuje, z kwestą na instytucje, nad których ruiną jego współzawodnik pracuje z zaciekłością.

Można czasem być nielogicznym, ależ doprawdy nie do tego stopnia.

A jednak, iluż popada w ten błąd!

Idźmy dalej.

Czyż nie jest obowiązkiem moralności społecznej, popierać o ile można najbardziej tych, którzy dają dobry przykład i służą dobrej sprawie? Tych naprzykład, którzy (praktykujący lub nie) pracują społecznie nad wprowadzeniem w życie przykazań Boskich, szczególnie trzeciego: *Pamiętaj, abys dzień święty święcił* i piątego: *Nie zabijaj*?

Czyż nie należy aby katolicy popierali kupców, którzy w niedzielę zamykają sklepy, to znaczy zachowują prawo Boże i szanują wolność swych pracowników?

Czyż nie należy unikać sklepów, w których źle się obchodzą z personelem — takich np.—że wymienimy mimochodem tylko ten jeden fakt,—gdzie zmuszają nieszczęśliwe młode kobiety lub dziewczęta sprzedające, do stania od pierwszej do ostatniej godziny dnia roboczego?

O ileż mniej byłoby tych nadużyć, gdyby kupujący chcieli!

\*

\*

Niesprawiedliwością, której nie należy przemilczeć, jest lekceważenie czasu sprzedających.

Ktoś pragnie się dowiedzieć o cenie lub użyteczności jakiegoś przedmiotu, na wypadek gdy go będzie w stanie nabyć; udaje się więc do sklepu, każe rozpakować towar, ogląda go na wszystkie strony, żąda tysiącznych wyjaśnień. Potem pod ładą pozorem odkłada kupno na później i idzie do innego sklepu, gdzie rozpoczyna ten sam proceder. Jest w tem, powtarzamy, prawdziwa niesprawiedliwość.

Kto tak czyni, ten literalnie sprzedającego okrada, bo zabiera mu czas, któregoby mógł użyć na jakąś pracę pożyteczną i korzystną. Oczywiście, nie jest się obowiązany kupić za każdym razem, gdy się zajmuje czas sprzedającego: ale nie należy umyślnie zajmować go bez potrzeby.

Inna niesprawiedliwość: zakupna niedzielne. Dziewięćdziesiąt dziewięć razy na sto, możnaby z łatwością załatwić sprawunki — z wyjątkiem niektórych produktów spożywczych — w sobotę, lub inny dzień powszedni; ale trzebaby się może umyślnie po nie pofatygować, więc wygodniej odłożyć do następnej niedzieli. I tak, nie rzadko się zdarza, że ludzie skądinąd zacni, dobrzy chrześcijanie i dobre chrześcijanki, wracając ze Mszy św. lub może nawet od Komunii, wstępują do sklepów i w ten sposób podwójnie gwałcą dzień Pański: po pierwsze, nie przestrzegając Boskiego prawa i wymagając pracy w dzień zakazany, — bo sprzedawanie jest pracą, — powtóre, krzywdząc bliźniego: bo kupiec zmuszony jest z powodu tego grzesznego nawyknienia kupujących, poświęcić swą wolność i wolność swego personelu.

Jeszcze słówko o wielkich magazynach, odnośnie do odpowiedzialności kupujących.

Trzeba tu wziąć pod uwagę dwa wypadki: jeden wchodzi w zakres miłosierdzia, drugi w zakres sprawiedliwości.

Jeśli się kupuje w wielkich magazynach lub bazarach w mieście, w którym się mieszka, to może w tem być zapomnienie miłości chrześcijańskiej; — często bowiem byłoby wielką zasługą, chociaż by się miało zapłacić trochę więcej — przyczynić się do utrzymania na jej stanowisku społecznem rodziny, na którą czyha bankructwo i której członkowie zejść do rzędu proletarjuszów, dzięki temu, że klientela zwraca się coraz więcej do wielkich magazynów. Byłby to bardzo rozumny sposób dawania jałmużny i miłowania bliźniego, to jest tego, który jest blisko nas.

Zresztą, nic nie przeszkadza zapisać tę nadwyżkę wydatków, do rubryki uczynków miłosiernych.

Narzekamy często na drobny handel, nie dogadza nam mniejszy wybór i nieco może wyższe ceny; a zapominamy, że niedogodności te spowodowane słabszym zbytem towarów, zostałyby usunięte, gdyby się klientela zwiększyła.

W tym więc wypadku, powtarzamy, grzeszy się brakiem miłości — jednak nie powiedzielibyśmy aby i sprawiedliwość także była obrażoną.

Co innego gdy chodzi o zakupna czynione przez mieszkańców prowincji w wielkich magazynach paryskich.

Rzecz to łatwa do zrozumienia.

Miasto które zamieszkują jest czyste, ulice wybrukowane, chodniki dobrze utrzymane, wieczorem palą się latarnie, policja należycie pilnuje porządku, jednym słowem mieszkańcy mają liczne dogodności, które osobiście ich nie lub prawie nie nie kosztowały.

Dlaczego?

Dlatego, że to miasto ściąga podatki, a między innymi podatek patentowy, który szczególnie drobnym kupcom daje się we znaki.

W rezultacie więc dzieje się to, że ci kupcy ponoszą znaczne ciężary, z wielkim nieraz dla siebie uszczerbkiem, aby dostarczyć rozmaitych udogodnień ludziom, którzy ze swej strony nie chcą się w niczem krępować i nie mają najmniejszego pojęcia o tem, że może przecie jakieś obowiązki na nich ciążą, w zamian za to, co inni dla nich czynią.

Wyjątek robią tylko w jednym wypadku: kupują w Paryżu gdy kieszeń pełna, kupują u siebie gdy się fundusze kończą. W ten sposób narzucają kupcowi niedogodność kredytu, a nie dają mu korzyści wypływających z płacenia gotówką.

Bądźmy miłosierni, bądźmy sprawiedliwi, a wprowadzimy nieco ładu w nasze stosunki społeczne.

## ROZDZIAŁ XVII.

### SPRAWIEDLIWOŚĆ I MIŁOSIERNIE SPOŁECZNE.

Drażliwa kwestja.—O pewnym sposobie pełnienia miłosierdzia społecznego.—W rodzinie.—Fałszywa droga. — W klasztorze. Ucisk. — Skargi Siostry Marty.—Dalszy ciąg rozmowy. — Przełożona dowiaduje się o czemś, o czem nie wiedziała.—Dobry objaw.—Drobne usługi.—Układy i kontrakty.—Dwa małżeństwa.—U szwaczki.—Zabójcza praca. Wielki dzień.—A Święci na witrażach płakali...—Bezczelność czasopisma „Justice Sociale“.—Rzecz sumienia.—Panie komitetowe.—Miłosierdzie pozorne, a miłosierdzie rzeczywiste. — Sofizmaty miłosierdzia. — Minimum płacy. — Zakończenie.

Istnieją w życiu naszym społecznem obowiązki, o których trudno powiedzieć czy są z dziedziny miłosierdzia, czy też z dziedziny sprawiedliwości,—leżą bowiem na granicy między temi dwiema cnotami.

Pełnić dzieło miłosierdzia, społecznego, znaczy to dostarczać bliźniemu jakiejś korzyści, z powodu oddanej przez niego przysługi — korzyści, którejby można odmówić, nie naruszając bynajmniej spra-

wiedliwości, ponieważ przysługa została już skądinąd słusznie wynagrodzoną.

Myśl tę wyjaśnimy przykładami.

\* \* \*

Pani X. wraca rozpromieniona do domu. Widocznie spełniła dobry uczynek: jak Tytus, nie straciła dnia.

— „Wystaw sobie, mówi, witając się, do córki, umówiłam właśnie szwaczkę, która wydaje mi się bardzo zręczną, a będzie brała o 50 centymów mniej, niż nasza szwaczka dawniejsza.

— Ależ, mamo, dawna była równie bardzo zręczna, a przytem utrzymywała starych rodziców i dwoje młodszego rozeństwa!

— Bez wątpienia, bez wątpienia, ale pomyśl tylko moje dziecko, że szwaczka szyje u nas prawie codziennie, z wyjątkiem niedziel, przez osiem miesięcy; oszczędzimy więc mniej więcej sto franków; to przecież także coś znaczy. Zresztą oszczędzonych pieniędzy użyję nie dla siebie; lecz na jałmużny. Dam podwójną wkładkę na ubogich chorych, 10 franków więcej siostrze Teresie na jej doroczną kwestę, taksamo na tanią kuchnię — resztę, bądź pewna, będzie łatwo ulokować.

— O, nie wątpię mamo, ale czyż to racja, aby mniej płacić osobom, które u nas pracują?

— Oczywiście, nie byłaby to racja, gdyby płaca nie była dostateczną; ale pomyśl, że nawet ta zmniejszona zapłata będzie większą od tej, którą zwykle dają szwaczkom. Trzeba pamiętać o dobrych uczynkach moje dziecko.

— Ja temu nie przeczę, mamo, ale czy mama myśli, że to nie jest dobry



uczynek dopomódz biednej dziewczynie, która ciężką pracą utrzymuje małych braciszków i niedołączonych rodziców.?

— Pewnie, że to dobry uczynek, ale i innych nie należy zaniedbywać.

— Oczywiście, ale przykazanie miłości każe kochać bliźniego i pomagać mu. Czy się więc mamie nie wydaje, że obowiązkiem naszym jest, dopomagać najpierw tym bliźnim, którzy się bezpośrednio z nami stykają, którzy dla nas pracują, a potem dopiero „dalszym“ bliźnim? Czy pozwoli mi mama powiedzieć jeszcze kilka słów?

— Jakżebym mogła przerywać tak wymownemu kaznodziei!

— Chociaż mama ze mnie żartuje, ja jednak powiem wszystko co myślę. Myślę, że dać kilka franków więcej naszej szwaczce, bliższemu bliźniemu, znaczy więcej, niż dać większy nawet datek na cele, o których mama wspominała, ale które dopomagają dalszym bliźnim. A zresztą jest jeszcze coś innego.

— Cóż takiego?

— Płacąc trochę lepiej naszej szwaczce, daje mama jałmużnę, zapewne, ale jałmużnę zaszczytną dla tej, która ją odbiera i wcale dla niej nie upokarzającą.

— Jakto! bronisz pychy!?

— Nie, bynajmniej, ale sądzę, że gdyby mi przyszło wyciągać rękę, byłoby to dla mnie rzeczą okropną. Ponieważ zaś chcę kochać bliźniego, jak siebie samą, według słów przykazania, więc go oszczędzam. Ale i to jeszcze nie koniec.

— Jeszcze!

— Tak mammo. Chciałam jeszcze powiedzieć, że taka jałmużna nie tylko nie upokarza bliźniego, ale do tego i mnie

w dumę nie wzbija. Jeżeli podwoję wkładkę dla ubogich chorych, jeśli wrzucę 10 fr. więcej do skarbonki siostry Teresy, spotkają mnie podziękowania, pochwały, które będą schlebiały mojej miłości własnej, próżności i pysze. I tak, miłosierdzie moje mogłoby być bez zasługi, bo nie pójdę za nauką Pana Jezusa: „Niech nie wie lewica, co czyni prawica“.

— Wiesz, drogie dziecko, że wszystko co mówisz jest bardzo słuszne, i doprawdy zadziwiasz mię. Ale skąd nauczyłaś się tak rozumować?

— Pamięta mama, że nam pożyczono kilka książek napisanych przez autorów demokratów. Mama zdaje mi się jeszcze ich nie otworzyła, ale ja przeczytałam je od deski do deski i w ten sposób dowiedziałam się wielu rzeczy, o których poprzednio nie miałam pojęcia.

— Jakto, więc to są zasady demokratów?

— A tak, mamó.

— Więc dlaczegoż ludzie tak na nich napadają?

— Nie wiem; może dlatego, że wiele osób z naszego świata, nie lubi aby im przypominano ich obowiązki. Demokraci są niewygodni — zaprzeczyć im jednak niema sposobu, a więc przynajmniej wykląć ich trzeba.

\* \* \*

Było to w niedzielę.

Rzecz się dzieje w rozmównicy klasztornej. Za kratą siedzi zakonnica, przełożona zgromadzenia.

Mówimy o prześladowaniu fiskalnem i o prawach krzywdzących zgromadzenia zakonne. Dodaję, że nie jesteśmy ani

u Klarysek ani u Karmelitanek i że przez drewnianą kratę, która nas dzieli, mogę śledzić wyraz oburzenia na inteligentnej twarzy siostry.

Podczas gdy rozmawiamy, szukając sposobu zwyciężenia trudności obecnej chwili, ktoś puka do drzwi i siostra Marta, furtjanka, zbliża się powoli, pokornie, jak wypada wobec władzy.

Pomimo widocznych wysiłków, siostra Marta nie może ukryć pewnego wzruszenia — głos jej drży.

— Cóż tam takiego, moja siostró,— zapytuje przełożona łagodnie, — dlaczego siostra taka zafrasowana?

— Moja matko, — odpowie siostra jeszcze cała wzruszona—znowu się zgniewałam. Ale nie można sobie doprawdy dać rady z tymi ludźmi; przyrzekłam, że matce o tem powiem i że kupować będziemy gdzieindziej.

— Niech się siostra uspokoi i powie mi o co chodzi.

— Chodzi znowu o piekarza. Właśnie przyniesiono bułki dla pańienek. Już jest po ósmej, śniadanie będzie spóźnione. Ciągłe się o to gniewam, ale to nic nie pomaga, a do tego roznosicielka bułek widocznie robi to umyślnie, bo zauważyłam że szczególnie w niedzielę się spażnia, właśnie w dzień, kiedy z powodu dwóch Mszy św. i kazania księdza kapelana, tem większej trzeba punktualności.

— Siostró Marto, nie zawsze przyznaję siostrze rację, ale tutaj ma siostra widocznie słuszność; jeśli się to powtórzy, zmienimy piekarnię; płacimy, zatem możemy wymagać punktualności. Może siostra już iść, ale w przyszłą niedzielę

proszę mnie zawiadomić, gdyby się to powtórzyło.

Podczas tej ożywionej rozmowy, zachowywałem milczenie, które widocznie niepokoiło przełożoną, dając jej do myślenia, że może nie jestem zupełnie jej zdania. Milczenie przeciągnęło się jeszcze kilka sekund, wreszcie rzekła:

— Czy ksiądz redaktor nie znajduje, że wszystko powinno mieć swoje granice, nawet cierpliwość? To też jestem zupełnie zdecydowana.

— Moja matko, odpowiedziałem z uśmiechem, czy matka przypomina sobie, o czym rozmawialiśmy przed chwilą?

— Naturalnie, mówiliśmy o prześladowaniu zakonów.

— Chciałbym jeszcze zapytać dlaczego prześladowanie to wydaje się matce podłym?

— Bo zaprzecza nam najświętszych praw: prawa życia życiem zakonnem, które jest naszym powołaniem i prawa postępowania według rad ewangelicznych.

— Bardzo słusznie. Czy wielbna matka pozwoli, że wrócimy teraz do kwestji chleba?

— I owszem, ale nie widzę wcale co ma jedno z drugim wspólnego?

— Zaraz zobaczymy. Proszę o chwilkę uwagi. Mówimy, że życie zakonne jest powołaniem z woli Bożej, mającem swe prawa i obowiązki. A życie chrześcijańskie, czy jest także powołaniem z woli Bożej i czy ma również swe prawa i obowiązki?

— Naturalnie!

— Czy więc -- co zatem idzie -- jest prześladowaniem i niesprawiedliwością indywidualną i społeczną, gdy niektórzy

ludzie znajdują się bez swojej winy, w absolutnej niemożności korzystania ze swych praw i wypełniania swych obowiązków?

— Znowu zgadzam się z tem najzupełniej; ale do czego ksiądz redaktor zmierza?

— Czy wielebna matka przyznaje, że tak jak władza popełnia niesprawiedliwość, stawiając ją w niemożności korzystania z jej praw i wykonywania jej obowiązków w życiu zakonnem, tak również każdy, kto stawia bliźniego w niemożności korzystania z praw i wykonywania obowiązków życia chrześcijańskiego, popełnia niesprawiedliwość?

— Przyznaję.

— A więc tę właśnie niesprawiedliwość, matka wielebna popełnia.

— Ja? doprawdy nie rozumiem!

— A jednak rzecz to zupełnie jasna: wasz piekarz jest chrześcijaninem, roznosicielka chleba jest również chrześcijanką; oboje mają prawo i obowiązek wypocząć w niedzielę i wysłuchać Mszy św. Tymczasem ten piekarz aby wam dostarczyć świeżego chleba na dzisiejszy ranek, pracował całą noc i naruszył przykazanie spoczynku niedzielnego. Po nocy bezsennej, trzebaby doprawdy heroizmu, aby zapomnieć o zmęczeniu i iść na Mszę św. Idzie więc spać. Położywszy się o siódmej, wstaje o dwunastej. To nie jest za wiele snu, ale niema już Mszy św. o tej godzinie. Co do roznosicielki, zaczęła swoją pracę o piątej rano, kiedy jeszcze kościoły są zamknięte; kończy ją po południu; a więc dla niej również niema ani Mszy św., ani wypoczynku w dniu Pańskim.

— A zatem ksiądz redaktor oskarża mnie, o gwałcenie prawa do życia chrześcijańskiego, piekarza i roznosicielki chleba?

— Nie, ja nie oskarżam, tylko przedstawiam, to Mateczka wyciąga wnioski.

— Ale przecie jeść musimy nawet w niedzielę!

— Naturalnie; ja także jadam tego dnia, tylko kupuję chleb w wilję, jak również wszystkie zapasy spożywcze, które się dają przechowywać. I tak—dodałem z uśmiechem — staram się nie prześladować nikogo — co mi daje prawo do energicznego powstawania przeciw prześladowaniu.

Wiedziałem już że przełożona była kobietą inteligentną; przekonałem się teraz, że była również pełną serca.

— Dziękuję — odrzekła. — Zobaczysz ksiądz redaktor, że potrafię skorzystać z nauki. Przyznaję, że nigdy mię tych rzeczy nie uczono; to prawdziwe odkrycie dla mnie; to też dziękuję Bogu, że mi księdza redaktora dzisiaj przysłał. Będę wpajała te zasady w naszą młodzież, aby i ona w życiu postępowała według prawdy i sprawiedliwości.

I zadzwoniła. Znowu ukazała się siostra Marta.

— Moja siostró, rzekła Przełożona, — gdy roznosicielka chleba powróci, proszę mi ją przysłać. Muszę ją przeprosić. Dalej, począwszy od tego tygodnia, siostra będzie brała w sobotę podwójną ilość bułek i chleba. Nie chcę aby chrześcijanka była pozbawioną niedzieli i Mszy św. z naszego powodu.

— Ależ, proszę matki to niemożliwe! Najpierw roznosicielka będzie i tak rozno-

siła bułki innym, a powtóre rodzice panienek będą niezadowoleni.

— Jeśli rodzice skarżyć się będą, to mi ich siostra przyśle. Jeśli zechcą odebrać swoje dzieci, to im je oddam, ale zdania nie zmienię: powinniśmy dawać dobry przykład. Co zaś do innych kupujących, to ich postępowanie do nas nie należy; nie wolno nam, dla jakiegobądź względu, przyczyniać się do niesprawiedliwości.

.....

A ja przedkładam opis tej rozmowy moim czytelnikom, aby ją rozważyli.

\* \* \*

Zdarza się, iż mimo najlepszej woli, zmuszeni jesteśmy korzystać w niedzielę z usług bliźniego; ale w tym wypadku, dlaczegóż nie mielibyśmy uważać tej usługi za wyjątkową, i dlaczego nie dotalibyśmy jakiegoś naddatku do zwykłego wynagrodzenia? Dajmyż zatem w niedzielę większy napiwek woźnicy; to mu się słusznie należy, bo w dniu tym czas jest cenniejszy, niż w inne dni tygodnia. Dajmy również większe wynagrodzenie zatrudniając bliźnich naszych wczas rano, lub późno wieczór, np. jeśli bierzemy dorózkę lub jedziemy tramwajem po dziesiątej wieczorem. O tej spóźnionej porze czas jest droższy, zmęczenie większe; uznać to, jest obowiązkiem miłości chrześcijańskiej. Człowiek który poświęca nam niedzielę lub noc, staje się poniekąd naszym niewolnikiem: osłódźmy mu nieco tę niewolę.

Wreszcie nie zapominajmy przy zawieraniu kontraktów, zabezpieczyć w gra-

nicach możliwości prawa pracowników. Gdy mamy budować dom, gdy podpisujemy kontrakt dzierżawny, wymagamy aby przedsiębiorca lub dzierżawca zachowywał spoczynek niedzielny; zastrzeżmy robotnikom minimum płacy i oznaczmy maximum godzin pracy; a jeśli mielibyśmy przez to stracić kilkaset franków lub więcej nawet, nie żałujemy tej straty; stokroć gorzej byłoby rzucić w podwaliny domu naszego lub w bruzdy naszych łąnów, posiew niesprawiedliwości i grzechu.

Niejeden z naszych czytelników pomyśli może, że wszystko to jest bardzo skomplikowane, i że życie stanie się nieznośnem, gdy trzeba będzie uważać na podobne drobnostki.

Za pozwoleniem: nie o to idzie, czy to jest skomplikowane, czy nie, ale czy istnieje zasada sprawiedliwości, zabraniająca gnębić bliźniego i zasada miłości, nakładająca obowiązek ulżenia mu w miarę możliwości, ciężaru, nałożonego koniecznością. Nie mamy prawa mówić o komplikacjach, jeśli obie te zasady istnieją, i nic nie pozostaje innego, jak do nich się stosować.

Zresztą, czyż to naprawdę takie skomplikowane? Czyż gdy chodzi o uniknięcie przykrości, o sprawienie sobie przyjemności, nie robimy większych starań i liczniejszych zabiegów?

Powróćmy więc do wielkiej idei chrześcijańskiej, dotyczącej używania dóbr tego świata. Bóg nie uczynił nas bogatymi dla nas, ale dla dobra ogółu, według pięknych słów św. Tomasza, który nazywa własność: *potestas procurandi et dispensandi*. Jesteśmy szafarzami Opatrzności, a jeśli używamy powierzonych nam dóbr



w sposób utrudniający bliźniemu życie, — gwałcimy porządek Boży na świecie i sprzeciwiamy się wprost zamiarom Stwórcy.

Jeśli — bez żadnej zasługi zresztą — otrzymaliśmy więcej niż brat nasz robotnik, winniśmy mu za to zadosyćuczynienie. Bóg nie powierzył nam dobr tych, abyśmy wygodniej żyli, ale abyśmy nimi zarządzali po chrześcijańsku; a wygodę z których mamy prawo korzystać, są tylko rodzajem wynagrodzenia za trudy, jakie na nas ten obowiązek nakłada.

Wprawdzie, rozumując w ten sposób, odbiegamy daleko od ogólnie przyjętych zapatrywań. Ale mniejsza o te zapatrywania: prawda pozostanie prawdą — zawsze.

\* \* \*

Było ich dwie siostry.

Ślub ich miał się odbyć jednego dnia.

W małym, prowincjonalnym mieście, w którym mieszkały, to podwójne małżeństwo było ważnym wypadkiem: należały bowiem do rodziny, znanej z bogactwa w okolicy, w której duże fortuny nie są rzadkością — a przytem odznaczającą się prawdziwą pobożnością, jakoteż hojnością dla ubogich.

Życzeniem matki obu narzeczonych było, aby wyprawy ich były wspaniałe i zupełnie jednakowe.

Udała się więc do najlepszej krawcowej:

— Przyszłam zamówić u pani dwie wyprawy; proszę tylko o akuratność w wykonaniu i dotrzymaniu naznaczonego przezemnie terminu, bo ostrzegam panią, że w przeciwnym razie roboty nie przyjmę.

Raczej wszystko kupię gotowe w Paryżu, bo nie lubię odkładać na ostatnią chwilę.

— Ależ to czego łaskawa Pani żąda jest zupełnie niemożliwe, czas jest za krótki; mimo największej pilności moich robotnic, nie zdążymy. Trzebaby pracować do późnej godziny i dziewczęta musiałyby wracać w nocy do domu. Łaskawa Pani wie, jakie to niebezpieczne, a do tego zima teraz, mrozy silne, a ich zdrowia nie tęgie...

— To są szczegóły, w które nie mogę wchodzić, kochana pani. Czy się pani podejmuje roboty, czy nie?

— Owszem, w każdym razie przyjmę jedną wyprawę. Możeby pani oddała drugą do innej pracowni.

— O! nie — wszystko, albo nic; nie chcę najmniejszej różnicy między wyprawami moich córek. Niech więc pani się decyduje.

Krawcowa przyjęła, i zaraz, tegosamego dnia dwanaście robotnic wzięło się do pracy.

Czas upływał z niepojętą szybkością, a robota postępowała bardzo wolno. Starano się wprowadzić o powiększenie liczby pracownic, ale potrzeba było zdolnych robotnic: a te, wiedząc, że to zarobek chwilowy, chociaż znaczny, nie chciały opuszczać zapewnionej roboty, dla niepewnej.

Podwajano więc wysiłki i dzień przedłużano do ostatecznych granic. W rzeczywistości istnieją prawa normujące pracę kobiet i dziewcząt; ale ponieważ w owej miejscowości, nie było inspektora przemysłowego, więc prawo stało się martwą literą i można je było gwałcić bez narażania się.

I tak, do dziesiątej, do jedenastej, do północy, krajano, szyto, haftowano; oczy były czerwone, palce sztywniały, piersi odychały ciężko, a męka ta ponawiała się co dnia, bez końca. W pracowni było gorąco, ale wiatr dał na dworze i gdy trzeba było wychodzić, wicher zimowy ścinał krew w żyłach, a chłód przejmował aż do kości.

Od czasu do czasu, matka dwóch narzeczonych przychodziła obejrzyć robotę, chwaliła wykonanie, ale narzekała, że postępuje zbyt wolno.

— Jednakże niech pani wierzy, mówiła krawcowa, że robimy wszystko, co jest w naszej mocy; dziewczęta pracują po szesnaście i siedemnaście godzin dziennie: więcej czynić niepodobna.

Ale zawsze dawała się słyszeć tasma odpowiedź:

— „Nie mogę wchodzić w takie szczegóły“.

Wreszcie wszystko zostało wykończono na oznaczony termin. Właścicielka pracowni i jej robotnice otrzymały piękną gratyfikację, oraz zaproszenie na ślub.

Do przybranego bogato starego kościoła, weszły, przy dźwięku organów obie młode pary.

Pracownice zajęły miejsce w nawie, na przeznaczonych dla siebie klęcznikach.

W czasie uroczystości, podczas gdy organy grały, gdy artyści śpiewali, a kapłan w wymownych słowach wyrażał radość chwili obecnej i nadzieje na przyszłość, — Święci ze starych witraży przyglądali się nieruchomi... Nagle, ujrzeli ze zdumieniem, w oczach Aniołów-Stróżów oblubienic, wielkie, brylantowe łzy... Jak-

by wzruszenie przeszło tam, wysoko, pod sklepieniem i jakby szept przebiegł od okna do okna.

Dlaczegoż płakali Aniołowie?

Wówczas, jeden ze Świętych, patron kościoła i miasta, zstąpił, niewidzialny dla tłumu, ze starego witrażu aż do prezbiterjum i pochylając się cicho nad płaczącymi Aniołami, zapytał o przyczynę ich łez...

A Aniołowie, w milczeniu, wskazali mu w głębi kościoła, dwoje klęczących dziewczątek.

Jedna z nich utrzymuje chorego ojca i trzech małych braciszków; matka jej już dawno w niebie.

Pewnego wieczoru, ostatniej zimy, gdy wychodziła z pracowni, złamana trudem, w stanie takiego zmęczenia, w którem organizm traci już wszelką odporność, przejął ją gwałtownie chłód nocny. Od tego czasu kaszel pierś jej rozrywa—dostała suchot; niedługo podaży za matką...

Druga była uczciwą jeszcze miesiąc temu. Pewnego wieczoru, gdy wychodziła z roboty i przechodziła przez miasto koło północy, ktoś, który szedł za nią już poprzedniego dnia, zatrzymał ją. Dnia tego praca wydała się jej była cięższą i cięższymi warunki bytu... Nikt nie przechodził, nikt jej nie mógł widzieć... Wróciła do domu o dwie godziny później, tłumacząc się, że ją dłużej w pracowni zatrzymano.

I Święty z witrażu zrozumiał dlaczego płakali Aniołowie. I zapłakał również, myśląc, że te piękne stroje okupione zostały życiem ciała i życiem duszy. I zdjęła go trwoga, że Bóg nie pobłogosławi oblubienicom.

\* \* \*

Zdarzają się rzeczy wprost nieprawdopodobne, ze stanowiska sprawiedliwości i miłości społecznej, nawet na polu działalności dobroczynnej; niech mi wolno będzie przytoczyć jeszcze jeden fakt.

Co tydzień, tygodnik „La Justice Sociale“ ogłasza kilka wskazówek praktycznych, pod tytułem „*Obowiązek społeczny*“.

Razu jednego, po rozmowie z pewną ubogą kobietą, napisałem do rubryki „*Obowiązek społeczny*“ następujący artykuł:

„W pewnem wielkiem mieście, którego nie chcemy wymieniać, istnieje komitet, zajmujący się ubogimi chorymi. Komitet opłaca dozorczyń, które czuwają przy chorych w nocy, w ich mieszkaniu.

Zapłata tych dozorczyń wynosi 1 fr. lub 1 fr. 50 najwyżej, bez pożywienia.

Zapytujemy:

*Po pierwsze:* Czy zapłata jest dostateczną?

*Po drugie:* Co sądzić należy o postępowaniu komitetu, który zmniejsza płacę dozorczyń, aby móc wesprzeć większą liczbę nieszczęśliwych?

Oto odpowiedź:

*Po pierwsze:* Zapłata jest niedostateczną. W wielkiem mieście nie wystarczy ona nawet na pożywienie, tembardziej, że praca nocna jest zawsze bardziej wyczerpującą i wymaga obfitszego odżywiania się.

*Po drugie:* Komitet popełnia niesprawiedliwość, której nie uniewinnia pobudka miłosierdzia.

Należy naprzód płacić długi, a dopiero później rozdawać jałmużnę. Zapłata każdego pracownika jest długiem.

Dawajmy trochę mniej jałmużny, jeśli tego potrzeba, ale bądźmy sprawiedliwi, zawsze“.

Widocznie wydrukowanie tych kilku wierszy było z mej strony wielkiem zachwalstwem. W pewnych kołach zanio-  
sło się na burzę i instytucja dobroczyn-  
na, którą w moim artykule miałem na  
myśli, postanowiła wysłać do mnie dele-  
gację, dla wypowiedzenia mi słów pra-  
wdy.

Nazajutrz, przed mojem skromnem  
mieszkaniem, nie przyzwyczajonem do  
podobnych zaszczytów, zatrzymały się dwa  
ekwipaże i cztery panie zapytały, czy  
mogą się ze mną widzieć.

Ponieważ rzecz to najłatwiejsza w świe-  
cie, wpuszczono je, a ja natychmiast wy-  
szedłem naprzeciw nich.

„Księżę redaktorze“, rzekła ta, która  
stała na czele wyprawy — jestem prze-  
wodniczącą „Towarzystwa Opieki nad cho-  
rymi“, mam zaszczyt przedstawić panią X.,  
wiceprezydentkę, panią Y., skarbniczkę  
i panią Z., sekretarkę.

Skłoniłem się w milczeniu.

Pani przewodnicząca mówiła dalej:

„W zeszłym tygodniu była o nas  
mowa w prasie. Czy ks. redaktor to zna?“

I p. przewodnicząca podała mi wy-  
cinek z gazety, z owym sławnym artyku-  
łem.

„Naturalnie, łaskawa pani“ odrzekłem,  
jest to wycinek z „La Justice Sociale“ —  
artykuł ten ukazał się w zeszłym tygo-  
dniu w naszym piśmie.

— I cóż Ks. redaktor na to?

Trzeba było słyszeć jakim tonem po-  
stawionem było to pytanie. Na szczęście,  
zdarzało mi się odpierać groźniejsze ata-

ki, to też ten, który się w tej chwili gotował, nie przerażał mię zbytńio. Odpowiedziałem z najuprzejmiejszym uśmiechem:

„Łaskawa pani, zdaje mi się, że ten artykuł jest bardzo dobry, bo zawiera prawdziwie chrześcijańskie zasady; a wierzę w to tem silniej, że go sam napisałem“.

„A więc Ks. redaktor nas znieważa, i pragnie aby uczciwi ludzie potępili naszą pracę?“

„Ależ bynajmniej! doprawdy niezdolny jestem do tylu zbrodni; nie miałem najmniejszej intencji znieważyc pań, lub narazić na potępienie. Osoba, która mi udzieliła informacyj, nie wymieniła nazwy instytucji, a ja, szanując jej dyskrecję, nie pytałem o szczegóły. Co więcj nie wiedziałem absolutnie o istnieniu pań i dopiero z ust pani się dowiaduję, że to właśnie na jej pracę spada potępienie.

Tu wtrąciła p. wiceprezydentka:

„A zatem Ks. redaktor przyznaje, że to na nas palcem wskazano?“

— „Za pozwoleniem łaskawa Pani, nic nie przyznaję, tylko konstatuję fakt.

— „I żeśmy publicznie oszkalowane?“

— „I to nie: Ja nie szkaluję, tylko przedstawiam prawdę i wykazuję bład. Zdarzyło się, że ta prawda panie razi, i że panie ten bład popełniają. Czyż za to odpowiadam? Nie stwarzam sprawiedliwości ani prawdy.

„Sprawiedliwość, sprawiedliwość“ przerwała p. Skarbniczka — zapomina Ks. redaktor, że jest także miłosierdzie.

— Wybaczy, łaskawa pani, sprawiedliwość jest cnotą i miłosierdzie jest cnotą; obie te cnoty powinny żyć w zgodzie, i nie trzeba nigdy aby w życiu naszym

jedna z nich przynosiła uszczerbek drugiej.

— „Ale czyż Ks. redaktor nie pojmuje, że gdybyśmy powiększyły zapłatę dozorczyń, to przez to samo musiałybyśmy zmniejszyć fundusze przeznaczone dla chorych. Ostatecznie, ta napaść nie przynosi nam żadnej szkody, a pokrzywdziłaby mogła tylko ubogich, których wspieramy“.

— „Odpowiedź na to łatwa. Istnieje pewna hierarchia w naszych obowiązkach: obowiązek placenia długów, który jest obowiązkiem sprawiedliwości, idzie przed obowiązkiem jałmużny, która jest obowiązkiem miłosierdzia; każda powinność obowiązuje tem ściślej, im jest ściślej określona. Nie są panie obowiązane pielęgnować wszystkich chorych, którzy się zgłoszą; natomiast są panie obowiązane płacić wszystkim osobom, które w jakiegokolwiek służbie u nich pozostają. Nie mają panie żadnych obowiązków względem chorego, którego panie nawet nie znają, — *muszą* zaś panie zapłacić dozorczyń, które zatrudniają“.

„Ponadto, pozwoli mi pani zwrócić sobie uwagę, że byłoby grubym błędem mniemać, iż w tych warunkach pełnią panie miłosierdzie. Gdy za kilka miesięcy, na dorocznem zgromadzeniu Towarzystwa opieki nad Chorymi, odbiorą panie zwykłe pochwały od X. Arcybiskupa, za gorliwość i miłosierdzie, pochwały te będą niezasłużone, bo panie utrzymują swoją instytucję kosztem źle płatnych dozorczyń: i w gruncie rzeczy to te biedne kobiety, źle żywione i mało wynagradzane, mają całą zasługę; panie macie tylko pozór hojności.“



„Czy pani mi pozwoli odczytać sobie doskonały ustęp, który znalazłem przed chwilą w pewnej doskonałej książce: „Dajemy robotnikowi lekarzy, lekarstwa za pół ceny, przytułki dla starców, czegoż on jeszcze żąda?“ Żąda więcej i mniej; dajecie mu wszystko, czego potrzeba ażeby za darmo umarł, — on zaś żąda poprostu tego, co mu się należy; a należy mu się to, czego potrzebuje, aby żył jak człowiek; od miłosierdzia, którego można mu odmówić, woli sprawiedliwość, do której ma prawo; od jałmużny, za którą się należy wdzięczność, woli dostateczną płacę, za którą wystarczy pokwitowanie. Któż więc śmiałby nazwać poczucie godności robotnika zbyt drażliwym? Płaca, przy której umiera z głodu, nie ma być powiększoną przez datek, ale przez jej podwyższenie“.

Biskup Bagshave, którego w tej chwili cytowałem, pisze jeszcze: „Gdyby klasy rządzące chciały oddać ubogim tylko to, co im się należy po ścisłej sprawiedliwości, zobaczylibyśmy, że te sumy byłyby nieskończenie znaczniejsze, niż wszystkie ich dary i datki razem wzięte“. Jesteśmy obecnie świadkami, jeśli mi wolno tak powiedzieć, poniżenia boskiej cnoty miłosierdzia: wina to wielu miłosiernych, którzy uważają jałmużnę albo jako środek panowania, albo jako mniej kosztowny równoważnik sprawiedliwości“.<sup>1)</sup>

Może pani przypuszcza, że Leon Grégoire jest socjalistą, albo co najmniej jednym z tych strasznych demokratów chrześcijańskich, którzy popychają do wal-

<sup>1)</sup> Léon Grégoire: Le pape, et la question sociale. str. 123.

ki klasowej? Niech mi więc pani pozwoli odczytać sobie inny ustęp, wyjęty z kazania wygłoszonego wyłącznie dla chrześcijan ze sfery, do której pani należy. Oboje znajdziemy w niem najzdrowsze rady.

„Żyjemy i posuwamy się naprzód jedynie z pomocą maluczkich, którzy od wieków służą naszym potrzebom, naszym zachciankom i naszym kaprysom. Czujemy dobrze wartość tej pomocy, którą nam dają i uznajemy ją; ale nie chcemy, aby oni zdawali sobie sprawę z jej wartości! Oburzamy się gdy spokój nam zamęczają te głosy słabe i uporczywe! Skarżymy się, że przez brutalność swoich żądań, odbierają nam przyjemność (bo jeszcze i tej przyjemności nam potrzeba) dobrowolnego miłosierdzia! Panowie, nie dziwmy się, że te głosy, które tak długo pozostawały bez odpowiedzi, stają się dzisiaj gwałtowniejsze; nie żądajmy zbyt delikatności od tych dużych dzieci, których nie zadaliśmy sobie trudu ogładzić. A raczej, nie bądźmy sami, pod pretekstem delikatności, w gruncie tak samolubni i nie-  
delikatni. Okażmy z naszej strony nieco tej rycerskości, którą chcielibyśmy widzieć w nich. Niechże nam mówią o sprawiedliwości, skoro nam tak trudno to słowo wymówić i podziękujmy im raczej, że nam przypominają swoje prawa, ponieważ to jest sposób i najpewniejszy i jedynie, aby nam przypomnieć nasze obowiązki“.<sup>1)</sup>

P. przewodnicząca nalegała:

— Ks. redaktor zapomina, że nie zmuszamy nikogo. Nasze dozorczyńie są za-

---

<sup>1)</sup> L'abbé Vignot: „La vie pour les autres“. str. 165.

dowolone z zapłaty i szczęśliwe, że mają zarobek.

— Tak, tak, wiem o tem, łaskawa pani; ale zbyt daleko zaszlibyśmy z takim rozumowaniem. Znajdę paniom dozorcynie, które spędzą noc przy chorym za 25 centymów, bo nie mają co jeść.

Ale czy pani odważyłaby się powiedzieć, że pani ma prawo kazać im pracować za tę cenę i że nie byłoby w tem zbrodniczego wyzysku?

— A zatem, według Księdza redaktora, ileżby trzeba dać? dwa franki, trzy franki, pięć franków, dziesięć franków, dwadzieścia franków?

— Dwadzieścia franków byłoby za dużo, dziesięć franków wydaje mi się ceną również zbyt wygórowaną. Należałoby dać tyle, aby ta osoba przez czas swej służby u pani:

1) Mogła jeść i odrestaurować w zupełności swe siły.

2) Zapłacić za mieszkanie i zużycie odzieży.

3) Aby była dostatecznie wynagrodzoną za pracę nocną, o wiele cięższą niż praca dzienna, ponieważ może nadwyrężyć zdrowie i oddala osobę pracującą od domowego ogniska, pozbawiając ją przyjemności przestawania z rodziną.

Niech pani zauważy, że to jest tylko minimum; ale trzeba zacząć od małego, aby otrzymać wiele. Nie odrazu Kraków zbudowano“.

P. przewodnicząca i jej towarzyszki powstały.

— Muszę już iść — rzekła — ale Ks. redaktor mię nie przekonał.

— To bardzo możliwe, łaskawa pani; nie żałuję jednak naszej rozmowy. Jest

czas siewu i czas żniwa. Nie zbiera się w dniu, w którym się sieje.

Panie skinęły głową na pożegnanie i wyszły.

Zauważyłem jednak, że pani sekretarka nie brała żadnego udziału w rozmowie. Usunęła się, aby przepuścić swe towarzyszki i zbliżając się do mnie:

— Ks. redaktor ma słuszość—rzekła. Niech Bóg nas strzeże od niesprawiedliwości i faryzeuszowstwa! Niema wstrętniejszych wad.

## ZAKOŃCZENIE.

---

Ostatnie wyrazy poprzedniego rozdziału, służyć mogą jako zakończenie tego dziełka, w którym staraliśmy się przypomnieć ważność obowiązku społecznego i rozwiązać niektóre zagadnienia codziennego życia. Mogą się jeszcze nasunąć liczne kwestje, których nie poruszaliśmy: ale może czytelnik znajdzie w tej pracy podstawę do ich rozwiązania. Może znajdzie w niej także nowy bodziec do zwracania duszy ku Dobru, wraz z kilku praktycznymi środkami, mogącymi wesprzeć jego dobrą wolę.

Gdyby autor mógł mieć nadzieję, że jego skromna praca zwiększy w sercu jednego choćby z jego braci, poczucie odpowiedzialności społecznej, solidarności ludzkiej i chrześcijańskiej, poświęcenia dla maluczkich i wydziedziczonych tego świata, czułby się wynagrodzonym za swe usiłowania, stokroć bardziej niż zasługuje.

K O N I E C.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!*

~~30/45~~

27 45-  
209/m. VII 62

